

1933
rok założenia

Światowa wystawa „FOTOGRAFIA KRESOWA”

KRAMENA

KWARTALNIK KRESOWY

NR 1 (926) 1990

CENA 800 ZŁ

W numerze:

- „Światowa wystawa FOTOGRAFIA KRESOWA” – regulamin [1]
Marta Staszczak: „Z lęku i samotności” [3]
Jerzy Górny: „Cierpiący Bug” [5]
Eugeniusz Janas: „Wielkość i niesława rodu Rzewuskich” [6]
„Czuję się dinozaurom kresowym” – rozmowa z Janem Meysztońcem [11]
Mieczysław Wieliczko: „Polonia w ZSRR?!” [14]
Zofia Grzesiak: „Ten umarł, ta zwariowała, tamtego zabili w więzieniu” [17]
Felieton obrazkowy [23]
Felieton kwartalny:
Hera: „Złote zęby i takie czasy” [24]
Okolice sztuki: IJK: „FIAC” [25]
Eda Ostrowska: „Poezje” [26]
Włodzimierz Sedlak: „Byłem w raju (2) – Boski wiatr” [28]
Jan Orłowski: „Hej, Słowianie?” [34]
Stanisław Jedynek: „Tomasz Masaryk a Polska” [36]
„Od teokracji do demokracji” – rozmowa Karola Čapka z Tomaszem Masarykiem – z czeskiego przeł. Stanisław Jedynek [39]
Notatnik słowiański:
Mieczysław Buczyński: „Czeski i słowacki” [43]
„Przenikanie się słowem” [44]
Regionalny słownik biograficzny:
Konstanty Prozogo: „Wiktor Ambroziewicz, Maria Hemplówna” [45]
W przestrzeni:
Mieczysław Kurzątkowski: „Zamek w Krupem” [46]
Rozmaitości kresowe [48]
Kronika wschodnia [50]
Listy do redakcji [52]

Od redaktora:

Abyśmy w 1990 roku zdrowsi byli i normalniej żyli, a w masowej wyprawie po złote runo demokracji nie tratali pojedynczych ludzi.

Z LĘKU I SAMOTNOŚCI

MARTA STASZCZAK

Zdecydowana większość samobójców waha się między pragnieniem życia a pragnieniem śmierci, zaś sam akt samobójczy jest ostateczną tragiczną formą wołania o pomoc przez jednostkę wyobcowaną z danej zbiorowości. Wielu spośród niedoszłych samobójców ponownie podejmuje próbę pozabawienia się życia.

O RZEWUSKICH

EUGENIUSZ JANAS

Dla jako tako zorientowanych w historii Rzewuscy niezmiennie kojarzą się z jedną tylko osobą – z hetmanem polnym koronnym Sewerynem Rzewuskim. Uczniowie jednym tchem wymieniają go razem ze Stanisławem Szczęsnym Potockim i Franciszkiem Ksawerym Branickim. To oczywiście przywódcy haniebnego konfederacji targowickiej.

TEN UMARŁ, TA ZWARIOWAŁA

ZOFIA GRZESIAK

Oprócz tego, że umarł Fiszke i jego bratowa Kresie, przez co wiejskie Żydówki utraciły swoją lektorkę, co im tak ładnie czytała psalmy i inne modlitwy, najpiękniejsza panna we wsi, Golde, zaczęła wygadywać, po prostu wypluwać z siebie takie słowa, że aż strach było słuchać. W dodatku rozebrała się i nago zaczęła obnosić swoje grzeszne ciało po ulicy, a szczególnie wtedy, kiedy byli mężczyźni w pobliżu. A gdy próbowano ją ubrać, złapała siekierę i chciała wszystkich zarząbać.

BOSKI WIATR

WŁODZIMIERZ SEDLAK

W jakimś popołudnie pisk nieznanego rozległ się na podwórzu. Dzieci pobiegły w kierunku dziwnych głosów. Szumielewicz wypałat złapanemu szczurowi oczy rozżarzonym drutem. Z dzikim skowytom pognął niewidomy do komórki, innym szczurom powiedział o ludziach.

MASARYK A POLSKA

STANISŁAW JEDYNAK

W trakcie swojej kampanii politycznej wielokrotnie podkreślał, że bez wolnej Polski nie będzie wolnych Czech, ale też i bez wolnych Czech nie będzie wolnej Polski. Na Zachodzie Masaryk spotykał się niejednokrotnie z polskimi działaczami niepodległościowymi, przede wszystkim z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim. Dyskutowano o przyszłej współpracy polsko-czechosłowackiej, o możliwości federacji.



W październiku i listopadzie ub.r. czynna była w Wojewódzkim Domu Kultury w Chełmie wystawa twórczości plastycznej Zenona Waśniewskiego (1891–1945), grafika, malarza, poety, tłumacza z literatury niemieckiej, współzałożyciela „Kamenu”, dla której wykonał wiele linorytów, m.in. ten reprodukowany wyżej „Motyw z Chełma”, znajdujący się w nr. 3 pisma z 1935 roku. *Pamiętam, jak niektóre z nich podobały się Czechowiczowi – wspominał Kazimierz Andrzej Jaworski w Ostatnim liście do przyjaciela, zmarłego z wycieńczenia w obozie koncentracyjnym w Bergen–Belsen. To nieprawda, że Ciebie nie ma. Jesteś przy mnie w tej chwili, uśmiechasz się pobłaźliwie i słyszę, jak szepczesz słowa Błoka z książeczki, którą ozdobiłeś pięknymi wkładkami: ... wszak wynik jest wiadomy: wszyscy umierają.* Do postaci i twórczości Zenona Waśniewskiego powrócimy wkrótce na łamach „Kamenu”.

Redaguje zespół:

Ireneusz J. Kamiński – redaktor naczelny

Stanisław Duszak, Jerzy Górny

Henryk Radej

NR INDEKSU 362573

Adres redakcji:

22-100 Chełm, ul. Lubelska 57

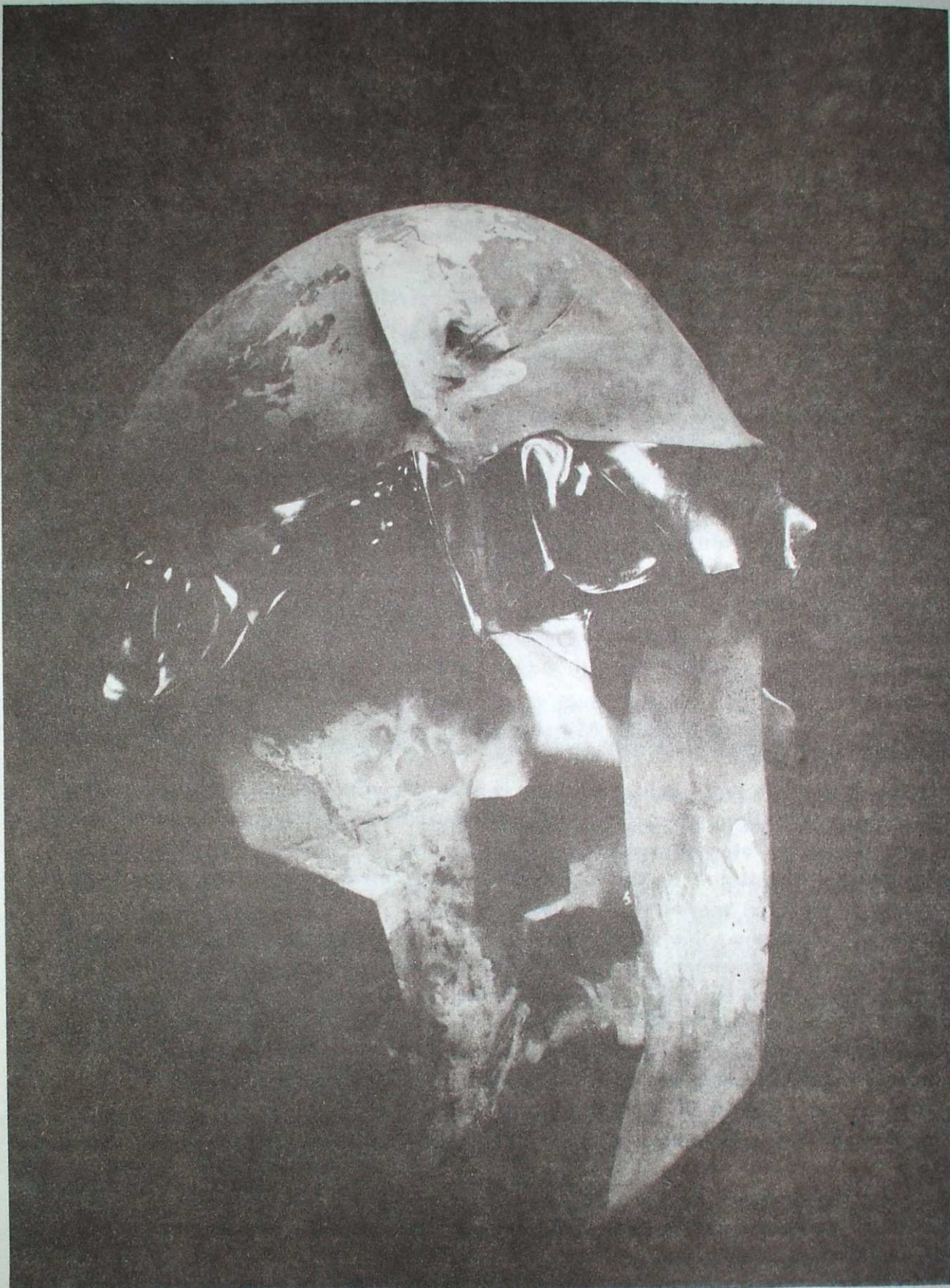
Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca autorom.

Pismo wydawane przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Funduszu Rozwoju Kultury.

Skład, przygotowalnia offsetowa, blachy: Wydawnictwo Polonia – Lublin, druk: Spółdzielnia „Kartodruk” w Krasnymstawie.

Światowa wystawa „FOTOGRAFIA KRESOWA”

1. Światową wystawę „Fotografii Kresowej” organizują: kwartalnik kresowy „Kamena” i Muzeum Okręgowe w Chełmie.
 2. W wystawie może uczestniczyć każdy, bez względu na kraj zamieszkania, kto posiada fotografie spełniające warunki regulaminu.
 3. Organizatorom chodzi o pozyskanie fotografii, które zostały wykonane na obszarze zwanym w okresie II Rzeczypospolitej (1918–1939) Kresami Wschodnimi. Przyjmowane też będą zdjęcia wykonane na terenach położonych dalej na wschód, np. w Kazachstanie, na Syberii itp.
 4. Zakres chronologiczny wystawy: bez ograniczeń.
 5. Zakres tematyczny wystawy: fotografie przedstawiające życie polskie i polski los, dzieło kulturowe i cywilizacyjne Polaków oraz osób utożsamiających się z polskością. Oczekiwane są zdjęcia: portretowe, rodzinne, okolicznościowe, rodzajowe i folklorystyczne, a także zdjęcia notujące sceny z życia państwowego, społecznego, gospodarczego, kulturalnego, naukowego, szkolnego, religijnego, towarzyskiego, nadto zdjęcia o tematyce wojskowej (w tym wojennej) oraz takie, które przedstawiają obiekty architektury, budownictwa i motywy krajoznawcze.
 6. Przyjmowane są tylko fotografie oryginalne, tj. wykonane z oryginalnych negatywów. Wyklucza się pocztówki, reprodukcje zdjęć oryginalnych, prasowych etc.
 7. Warunkiem przyjęcia fotografii na wystawę jest zaopatrzenie jej w informacje nadające odblask wartości dokumentu, tj. uwzględniające takie dane, jak np.:
 - a. określenie osób przedstawionych na fotografii;
 - b. miejsce, okoliczności i data wykonania zdjęcia – choćby w przybliżeniu.
- Organizatorzy będą zobowiązani za dołączenie do przesyłki związanej noty biograficznej nadawcy.
8. Do przesyłki należy dołączyć oświadczenie, czy nadawca życzy sobie zwrotu fotografii, czy też wyraża zgodę na włączenie jej do zbiorów Muzeum Okręgowego w Chełmie, które tworzy specjalny dział dokumentacji kresowej.
 9. Fotografie, które zdaniem jury (będzie powołane w późniejszym terminie) zasługują na szczególną uwagę, otrzymają dyplomy honorowe. Organizatorzy poczynią też starania o ufundowanie nagród pieniężnych dla nadawców fotografii wyróżnionych przez jury.
 10. Wystawa zostanie zaopatrzona w katalog. Łącznie z dyplomem uczestnictwa otrzyma go każda osoba, której fotografie będą zakwalifikowane do ekspozycji.
 11. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo nieodpłatnego wykonania reprodukcji nadesłanych fotografii – dla potrzeb działu dokumentacji kresowej Muzeum Okręgowego w Chełmie.
 12. Nadesłane fotografie mogą być wykorzystane w różnego rodzaju publikacjach, bez wynagrodzenia dla ich autorów czy posiadaczy. Osoby, które nie życzą sobie, by nadesłane przez nich fotografie były publikowane, proszone są o zgłoszenie wyraźnego zastrzeżenia w tym względzie.
 13. Odpowiednio zabezpieczone przesyłki ze zdjęciami należy kierować pod adres:
Muzeum Okręgowe, ul. Lubelska 55, 22-100 Chełm, Polska, (tel. 530-35)
 14. Termin nadsyłania fotografii upływa z dniem 30 listopada 1990 roku. (Obowiązuje data stempla pocztowego.)
 15. Otwarcie wystawy przewiduje się w 1991 roku.
 16. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo ewentualnego przeniesienia wystawy do innych miast kraju po jej zamknięciu w Chełmie.
 17. W przypadku zastrzeżenia zwrotu fotografii, zostaną one odesłane nadawcom do końca 1991 roku.
- Z okazji wystawy wydany zostanie specjalny numer kwartalnika kresowego „Kamena”.



Adam Myjak: z cyklu „Głowy”, 1987, brąz, sztuczny kamień, 80 x 50 x 60 cm. Od grudnia ub. roku w chełmskiej Galerii 72 czynna była wystawa artysty, który uznawany jest za jednego z najwybitniejszych twórców współczesnej sztuki polskiej

Z LĘKU I SAMOTNOŚCI

MARTA STASZCZAK

Tak jak rozmaite są koleje ludzkiego życia, tak różne są oblicza śmierci. Człowiek umiera w sposób naturalny, na skutek biologicznych zmian starczego lub chorobowych, bądź ginie śmiercią gwałtowną. Ta ostatnia może być spowodowana wypadkiem, zabójstwem lub samobójstwem.

Samobójstwo stanowi następstwo działania człowieka przeciwko własnej osobie, czyli formę samouśmiercenia. Jest ono w powszechnej opinii zachowaniem niezgodnym z prawami natury, a w naszym kręgu kulturowym również z prawami boskimi i przyjętymi normami społecznymi. W przeszłości wzbudzało społeczne potępienie, a w niektórych krajach nawet dotkliwe sankcje prawne wobec niedoszłego samobójcy i jego rodziny. Kościół odmawiał chowania zwłok *s u i c y d e n t a* na cmentarzu w poświęconej ziemi.

Obecnie postawy wobec samobójców są bardziej zróżnicowane. Jeżeli zdarzy się przypadek autodestrukcji, ludzie zadają sobie wówczas pytanie: dlaczego on to zrobił? Niekiedy sprawa nabiera w środowisku samobójcy posmaku niezdrowej sensacji. W rodzinach, w których doszło do autodestrukcji, fakt ten traktowany jest jako rzecz wstydliva. Na ogół też bliscy *s u i c y d e n t a* nie potrafią podać faktycznych przyczyn zamachu. Niekiedy znają i mówią o przyczynie bezpośredniej, która jest niewspółmiernie błaha w stosunku do faktycznego motywu.

Obecnie w Polsce zjawisko nie ma charakteru plagi społecznej, jak to obserwuje się w niektórych innych krajach (m. in. na Węgrzech). Niemniej jednak notuje się u nas systematyczny wzrost liczby przypadków samobójstw, obniżanie się wieku *s u i c y d e n t ó w* w całej populacji oraz trend do wyrównywania wskaźników między miastem i wsią.

W latach 1975–1988 w województwie chełmskim odnotowano 541 zamachów samobójczych, z czego 501 zakończyło się zgonem. W tym okresie popełniano średnio 36 samobójstw rocznie. W roku 1983 liczba zamachów samobójczych po raz pierwszy wyraźnie przekroczyła tę średnią. Zarejestrowano wówczas 48 przypadków autodestrukcji. Rekordowe okazały się tu lata 1984 (53 przypadki) i 1985 (50 przypadków).

Najczęściej samobójstwo popełniane jest przez powieszenie, które w literaturze naukowej uznaje się za najbardziej skuteczny sposób odebrania sobie życia przez *s u i c y d e n t ó w*. W przypadku powieszenia czas na udzielenie skutecznej pomocy, odcięcie wisielczej pętli jest bardzo krótki. Dlatego też w województwie chełmskim na każde 100 zamachów samobójczych, w których ofiara wybiera ten właśnie sposób samounicestwienia, jedynie w 3–4 przypadkach nie dochodzi do zgonu. W rozpatrywanym okresie 84,6 proc. zamachów zostało popełnionych przez powieszenie.

Najwięcej samobójstw popełniano w dni świąteczne i w poniedziałki, najmniej – w soboty.

W przypadku kobiet do tragedii dochodziło najczęściej w godzinach 6.01 – 14.00, natomiast wśród mężczyzn między godzinami 14.01 a 22.00. Najmniej autodestrukcji było w nocy.

W omawianym czasie 62 proc. wszystkich przypadków zdarzyło się w środowisku wiejskim, zaś 38 proc. w miastach. Ujmując zagadnienie bardziej obrazowo można powiedzieć, że na każde trzy samobójstwa mieszkańców miasta przypada pięć na wsi. Jeszcze niedawno samobójstwo było zjawiskiem typowo miejskim, obecnie jednak, również na ziemi chełmskiej, odnotowuje się zmianę proporcji. Jest to zapewne następstwem powtórzenia się na wsi zespołu czynników, które pierwotnie występując w mieście działały szczególnie suicydogennie. Zalicza się do nich rozluźnienie mechanizmu kontroli społecznej, osłabienie więzi rodzinnych, sąsiedzkich i środowiskowych oraz związane z tym poczucie izolacji i osamotnienia.

Czynnikiem bardzo istotnym w etiologii i nasileniu samobójstw jest płeć. Badania wykazują, że mężczyźni kilkakrotnie częściej dokonują samobójstw niż kobiety. W województwie chełmskim stosunek liczby samobójstw mężczyzn do kobiet wynosi 3,6:1, przy czym największa rozpiętość wystąpiła w roku 1987, gdy mężczyźni popełniali je sześciokrotnie częściej niż kobiety.

Motywy powstrzymującym kobiety przed autodestrukcją jest przede wszystkim macierzyństwo. Analiza akt upoważnia do stwierdzenia, że na samobójstwo decydują się przede wszystkim kobiety bezdzietne lub takie, których dzieci są już dorosłe. Najczęściej są to kobiety w wieku 30–55 lat. Wśród mężczyzn dominują osoby w przedziale 31–50 lat (prawie 40 proc. wszystkich *s u i c y d e n t ó w* płci męskiej) oraz 21–30 (około 25 proc.).

Wśród kobiet najczęstszą przyczyną samobójstwa była choroba nerwowa (niekiedy również psychiczna), warunkowana w pewnym stopniu atmosferą domu rodzinnego, a także nieporozumienia rodzinne, zwykle awantury z mężem nadużywającym alkoholu. Równie częstą przyczyną bywa odejście męża lub jego śmierć, wywołujące zazwyczaj u kobiet poczucie samotności i bezsensu życia.

Mężczyźni na ogół dokonywali samobójstwa na skutek nieporozumień rodzinnych, bądź też z obawy przed odpowiedzialnością karną za popełnione wykroczenia lub przestępstwa. Pewną część stanowią ludzie systematycznie nadużywający alkoholu, co nie znaczy, że alkoholizm predestynuje do samobójstwa; on występuje jedynie na tym samym podłożu. Wybitny kryminolog, Brunon Hołyst, stwierdza w swej publikacji

„Samobójstwo – przypadek czy konieczność”, że „picie alkoholu może stać się swoistą stylizowaną formą samobójstwa. Alkoholizm to rozłożone w czasie wiązanie „pętli”, którą samobójczo zaciska każdy następny kieliszek”.

Wśród suicydentów z województwa chełmskiego duży jest odsetek osób, które dopuściły się autodestrukcji w stanie nietrzeźwym; wśród mężczyzn wynosił około 50 proc., wśród kobiet 45 proc. Błędem jednak byłoby zaliczanie wszystkich tych ludzi do nałogowych alkoholików. Z analizy danych statystycznych wynika, że „tylko” około 19 proc. systematycznie nadużywało alkoholu, z czego około 4 proc. leczyło się w poradni przeciwalkoholowej. W pozostałych przypadkach należy raczej podejrzewać, że dawka alkoholu spełniła rolę czynnika znoszącego lęk przed przekroczeniem granicy życia i śmierci.

Nasuwa się więc pytanie: czy jednostka rzeczywiście chciała tę granicę przekroczyć? Mówiąc o samobójstwie nie możemy bowiem zapominać, że jest ono zazwyczaj wyborem nie między życiem a śmiercią – jak się potocznie sądzi – lecz między o k r e ś l o n y m życiem a śmiercią. Wielu suicydentów znajdowało się w sytuacji, gdy życie stało się dla nich zbyt ciężkie do zniesienia lub, na skutek utraty osoby bliskiej, puste i pozbawione głębszej treści.

Niektórzy samobójcy pozostawili listy pożegnalne do swoich bliskich i przyjaciół. Tylko w kilku przypadkach są one nacechowane agresją do otoczenia. Zdecydowana większość autorów przeprosza za kłopot, jaki ich śmierć sprawi, prosi, aby nikogo o nią nie obwiniać. Inne zawierają wskazówki co do pogrzebu, sposobu podziału majątku, niekiedy wyjaśniają powód. Starzy ludzie najczęściej piszą, iż nie mają dla kogo żyć, lub że robią to dla oszczędzenia wstydu dzieciom. Jedna z kobiet bała się, że zapadnie na chorobę psychiczną i tym samym ośmieszy swoje dzieci w środowisku. Nastolatka wyznała, że żał jej życia, lecz musi odejść, aby rodzice nie wstydzili się córki, która źle się uczy...

Nawet pobieżna analiza tych wstrząsających dokumentów potwierdza, że akt autodestrukcji jest w swej istocie ukierunkowany bardziej na życie niż na śmierć. Spośród grupy 541 suicydentów co piąty wcześniej sygnalizował zamiar pozbawienia się życia, podejmując próby samobójcze. Wielu innych dawało do zrozumienia, że znajdują się w trudnej sytuacji życiowej, a jedynym rozwiązaniem, jakie dostrzegają, jest samobójstwo. W większości przypadków rodzina i sąsiedzi nie traktowali tych wyznań poważnie i dlatego nie próbowali dociekać faktycznych przyczyn samobójczych myśli.

Znaczna część samobójstw (około 9 proc. męskich i 11 proc. żeńskich) wynika z przewlekłej, nieuleczalnej choroby somatycznej. Akt autoagresji podejmowany wówczas bywa w zamiarze przerwania życia w celu uniknięcia bądź skrócenia dotkliwego bólu.

Badania wykazują również, że prawdopodobieństwo popełnienia samobójstwa zwiększa przynależność do określonej kategorii społeczno-zawodowej. W województwie chełmskim o rozmiarach zjawiska przesądza duży odsetek robotników i rolników wśród ludności. Robotnicy stanowili prawie 34 proc. w całej populacji samobójców, natomiast rolnicy ponad 31 proc. Oznacza to, że co trzeci suicydent prowadził własne gospodarstwo rolne, bądź niedawno przekazał je państwu w zamian za emeryturę. Ponad 50 proc. aktów autodestrukcji zarejestrowanych w grupie rolników przypada na lata 1984–88. Najniższy

procent (3) samobójstw w tej kategorii społeczno-zawodowej wiąże się z okresem 1980–81.

W omawianych 14 latach najmniej aktów autodestrukcji notowano wśród rzemieślników (około 2 proc.) oraz w grupie pracowników umysłowych (około 7 proc. ogólnej liczby samobójstw).

Kolejną cechą charakteryzującą populację samobójców województwa chełmskiego jest ich stan cywilny. Najwięcej samobójstw (59 proc.) popełniły osoby pozostające w związku małżeńskim. Dokładna analiza akt wykazała jednak, że w większości przypadków istniało szereg czynników zaburzących właściwy kontakt między małżonkami oraz między nimi a dziećmi. Były to m. in. częste awantury, alkoholizm, brak poszanowania godności osobistej oraz inne objawy zerwania więzi emocjonalnych. Na drugim miejscu w tym zestawieniu figuruje grupa kawalerów i panien – 26 proc. ogólnej liczby samobójców. Na następnych pozycjach znajdujemy kategorie: rozwiedzeni lub separowani (około 9 proc.); wdowy i wdowcy (ponad 6,5 proc.); żyjący w konkubinacie (ponad 1,5 proc.).

Jeśli chodzi o dwie pierwsze z ostatnio wymienionych grup to czynnika suicydogennego należy upatrywać w gwałtownej zmianie sytuacji psychicznej człowieka, wynikającej z nagłego osamotnienia, które powoduje poczucie izolacji i społecznego nieprzystosowania. Kumulujące się wówczas trudne problemy życiowe, związane z domem, rodziną i pracą zawodową, bez wątplenia mocno wpływają na samobójcze decyzje. Wiadomo, że wystąpienie silnego stresu narusza równowagę psychiczną jednostki.

Przedstawione fakty przeczą niektórym obiegowym opiniom o samobójstwie. Błędne są zatem sądy, że: wszyscy, którzy popełniają lub chcą popełnić samobójstwo są chorzy psychicznie, a każdy taki akt jest czynem „niezdrowego na umyśle”; ten kto mówi o samobójstwie, nie ma zamiaru go popełnić; do samobójstwa dochodzi nagle, bez poprzedzającej je sygnalizacji; kto popełnia samobójstwo, ten koniecznie chce odebrać sobie życie; poprawa po kryzysie oznacza koniec ryzyka.

Fakty przemawiają za tym, że suicydent wprawdzie jest krańcowo nieszczęśliwy, ale niekoniecznie chory psychicznie. Ludzie, którzy mają zamiar odebrać sobie życie, sygnalizują to przeważnie czytelnym znakiem lub działaniem. Zdecydowana większość samobójców waha się między pragnieniem życia a pragnieniem śmierci, zaś sam akt suicydalny jest ostateczną, tragiczną formą wołania o pomoc przez jednostkę wyobcowaną z danej zbiorowości. Wielu spośród niedoszłych samobójców ponownie podejmuje próbę pozbawienia się życia. Z całą pewnością samobójstwo nie jest zjawiskiem dziedzicznym, lecz indywidualnym, a przy tym uwarunkowanym przez wielorakie czynniki tkwiące w środowisku społecznym jednostki.

MARTA STASZCZAK

CIERPIĄCY BUG

JERZY GÓRNY

Panuje potoczne przeświadczenie, że rzek i jezior mamy pod dostatkiem. Tymczasem pod względem zasobów wodnych Polska znajduje się na 26 miejscu w Europie, a na 22 w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Te ubogie zasoby wód powierzchniowych są zanieczyszczane wielką ilością ścieków przemysłowych i komunalnych – w 1988 roku ponad 12 kilometrów sześciennych! Ponad jedną trzecią ścieków wymagających oczyszczenia odprowadzono do wód powierzchniowych bez przeprowadzenia tego zabiegu. Spośród ścieków oczyszczanych ponad połowę stanowiły oczyszczane mechanicznie, a więc metodą polegającą na usuwaniu jedynie zanieczyszczeń nierozpuszczalnych. Tylko 37 procent ścieków oczyszczono biologicznie.

Ostatnia ocena stanu czystości rzek, opracowana w roku 1987, wykazała, że 65 proc. badanych odcinków 175 rzek nie spełnia warunków wody klasy trzeciej (w trzystopniowej skali) i płyną nimi wody nie nadające się do gospodarczego wykorzystania. Do tych rzek zalicza się również Bug.

Napisane niegdyś przez Antoniego Goreckiego słowa: *już weszli w ten kraj piękny, gdzie Bug wody toczy* należałoby obecnie nieco zweryfikować. I krajobraz nie wszędzie ładny, złamany poprzez ułożone tu i ówdzie obiekty przemysłowe, i wody już nie takie jak niegdyś, bo obficie „wzbogacone” związkami chemicznymi.

Wody Bugu, wypływające ze źródeł na Wyżynie Podolskiej, płynąc przez Wołyń i Podlasie do Narwi, pokonują odległość 722 kilometrów i w środkowym biegu rzeki tworzą granicę państwową PRL-ZSRR. Jeszcze niedawno sprawa czystości Bugu, ze względu na „delikatność” problemu, nie była publicznie poruszana i – prawdę mówiąc – nadal głośno się o niej nie mówi. Rzeka, często nazywana propagandowo „rzeką przyjaźni”, stała się przez lata milczenia prawdziwą rzeką ścieków.

Prowadzone w ostatnich latach rokowania pełnomocników rządów PRL i ZSRR do spraw gospodarki wodnej na wodach granicznych doprowadziły do opracowania „Programu ochrony i przyspieszenia poprawy jakości wód w zlewni granicznego odcinka rzeki Bug”. Te godne pochwały ustalenia, zweryfikowane podczas reporterskiej podróży wzdłuż Bugu, są – jak na razie – tylko cennym materiałem dowodowym, nie znajdującym szerszego odzwierciedlenia w działaniach ekologicznych. Rządowy program jest w terenie mało znany lub wręcz nieznan, a tym samym pomijany w kształtowaniu i realizacji lokalnych programów ochrony środowiska.

Do Bugu na odcinku granicznym ze strony polskiej uchodzą 12 dopływów. Pięć z nich – Huczwa, Udal, Uherka, Włodawka i Krzna – są systematycznie badane pod kątem jakości wód. Niestety, wyniki tych badań przygnębiają. Huczwa, przy ujściu do Bugu rzeka pozaklasowa, wprowadza do tej rzeki wody silnie zanieczyszczone, głównie przez Okręgową Spółdzielnię Mleczarską w Łaszczowie, Zakład Utylizacyjny w Tyszowcach i Cukrownię w Werbkowicach. Zakłady te posiadają niewystarczające urządzenia oczyszczające. Podobnie jest z

Uherką, której wody w strefie przy ujściu są całkowicie pozbawione tlenu. Ilość ścieków w Uherce, pochodzących głównie z miasta Chełma i miejscowych cementowni, upoważnia do traktowania tej rzeki jako otwartego kanału ściekowego. Również pozaklasowa jest woda płynąca Krzną, zanieczyszczana w przeważającej mierze przez Łuków, Międzyrzec Podlaski i Białą Podlaskę.

Ze strony radzieckiej na tym odcinku wpada do Bugu pięć dopływów, z których najwięcej zanieczyszczeń niesie ze sobą Ługa. Istotne zagrożenie stanowią wody kopalniane z okręgu Nowowołyńska oraz ścieki komunalne i przemysłowe z Brześcia.

W sumie – czytamy we wspomnianym „Programie” – do granicznego odcinka rzeki Bug dopływają bezpośrednio ze źródeł punktowych po obydwu stronach zlewni ścieki w ilości 135 tysięcy metrów sześciennych na dobę, w tym z polskiej zlewni około 10 procent, a z radzieckiej 90 procent.

Podkreślmy: tylko do granicznego odcinka! Już wcześniej do Bugu zrzucały się znaczne ilości zanieczyszczeń z obwodu lwowskiego.

Podczas rajdu reporterskiego wzdłuż Bugu, który po stronie radzieckiej był możliwy dzięki współpracy łuckiej redakcji „Mołodij Leniniec”, mogłem przekonać się, że kwestia czystości Bugu znajduje się tu na bardzo odległym planie. Być może wynika to z faktu, że Komitety Ochrony Przyrody na Ukrainie zaczęły tworzyć dopiero w początkach 1988 roku, przy czym zarówno komitet obwodowy w Łucku jak i komitety rejonowe nie posiadają praktycznie żadnych danych na ten temat. Przykładem może być Nowowołyńsk.

– Wiemy, że do Bugu spływają zasolone wody kopalniane. Budowa oczyszczalni opóźnia się, gdyż brak ludzi do tej pracy – wyjaśniał przewodniczący nowowołyńskiego Komitetu Ochrony Przyrody, Siergiej Nazaruk – Jeśli dobrze pójdzie, oczyszczalnia zostanie oddana do użytku w 1991 roku. Ale pamiętajmy, że dotychczas było mało pieniędzy na ochronę środowiska, a czystość wód nie jest jedynym problemem do rozwiązania, ponieważ mamy jeszcze zanieczyszczenie atmosfery. A ministerstwo nie daje wystarczającej ilości pieniędzy.

Szczerze zainteresowanie tym problemem, pozbawione jednak jasnej perspektywy działania, znalazłem w wypowiedziach innych osób, m.in. Iwana Strielcowa z Komitetu Ochrony Przyrody w Łucku i kierowniczkę tamtejszego laboratorium ochrony środowiska, Larysy Jacenko. Odniosłem przy tym wrażenie, że usprawiedliwienie fatalnego stanu rzeczy wszyscy moi rozmówcy znajdują w braku dostępu do rzeki od strony radzieckiej, spowodowanym przebiegającym wzdłuż niej pasem granicznym. Jakby Bug był po drugiej stronie granicy!

Działania strony polskiej są bardziej konkretne, ale i one nie dają nadziei na radykalną i choćby względnie szybką zmianę sytuacji. Jednym z ważniejszych problemów do rozwiązania jest zmniejszenie zawartości fosforanów, których aktualne stężenie dyskwalifikuje gospodarczą przydatność wody Bugu. Ich wysokie stężenie powoduje eutrofizację wody, czego skutkiem jest intensywny rozwój glonów utrudniających uzdatnianie wody do celów komunalnych. Całkowite usunięcie azotu i fosforu ze ścieków wymagałoby jednak bardzo dużych nakładów finansowych, niemożliwych obecnie do uzyskania.

Tak więc perspektywa czystego Bugu jest odległa. Podjęte dotychczas działania są jedynie drobnym krokiem na długiej drodze do celu, o którym tymczasem możemy sobie tylko pomarzyć...

JERZY GÓRNY

WIELKOŚĆ I NIESŁAWA RODU RZEWUSKICH

Eugeniusz Janas

Kiedy przeglądamy dziś listę polskich rodów magnackich, bez trudu wskazać możemy nazwiska, które za sprawą wybitnych przedstawicieli czy znakomitych dokonań, w tradycji zapisały się trwale i raczej pozytywnie. Na owej honorowej liście znalazłoby się zapewne Zamoyscy i Czartoryscy, Sobiescy i Ossolińscy, Działyńscy i Raczyńscy. Pewnie jeszcze Żółkiewscy i Koniecpolscy. Dla Rzewuskich z pewnością miejsca by zabrakło.

Dla jako tako zorientowanych w historii, Rzewuscy niezmiennie kojarzą się z jedną tylko osobą – z hetmanem polnym koronnym Sewerynem Rzewuskim. Uczniowie jednym tchem wymieniają go razem ze Stanisławem Szczęsnym Potockim i Franciszkiem Ksawerym Branickim. To oczywiście przywódcy haniebnego konfederacji targowickiej. Ludzie, którzy w polskiej tradycji historycznej pełnią rolę najbardziej chyba wyrazistych, niekwestionowanych symboli zdrady narodowej.

Nieco bardziej czytani pamiętać jeszcze będą Henryka Rzewuskiego, twórcę głośnych i ciągle popularnych *Pamiętek Soplicy*. Autor wielu jeszcze innych utworów historycznych i publicystycznych, dziś przeważnie zapomnianych, nie budzi już większych emocji. Przed z górą stu laty jednak, swoimi ultrakonserwatywnymi, lojalistycznymi wobec zaborców poglądami wywoływał gniew i oburzenie.

Zatem każda próba rehabilitacji Rzewuskich jest skazana raczej na porażkę. Nasza świadomość historyczna nie lubi zmian, wszelkie próby rewizji utrwalonych schematów zwykle mają małe szanse. Zresztą czy można bronić Seweryna Rzewuskiego, człowieka, który w imię partykularnych interesów odważył się sprowadzić obce wojska? Czy można usprawiedliwiać Henryka Rzewuskiego, którego Marcin Król nazwał „jakobinem polskiej kontrrewolucji”, Janusz Tazbir apologetą kolaboracji, a autor



„Krzywda”
Herb Rzewuskich

światłej biografii pisarza, Andrzej Ślisz, umieścił go wśród antybohaterów epoki?

Skrupulatny historyk znajdzie przecież i w rodzie Rzewuskich przykłady ludzi, którzy historii ku pokrzepieniu bardzo by odpowiadali. Ale nie chodzi o kreowanie nowych bohaterów. Warto chyba, bez aspiracji do jakichkolwiek rewizji, pokazać dzieje rodu magnackiego, tym bardziej, że może to być przykład procesów i zjawisk historycznych, które dla „kompletności” naszej tradycji mają pewne znaczenie.

Początki Rzewuskich herbu Krzywda, jak to zwykle bywa przy tego rodzaju wywodach, giną gdzieś w mroku wieków. Wiemy niewiele. Konwencja sarmackiego świata nakazywała wywodzić przodków z czasów bardzo odległych, nawet z antyku. Pole do nieskrępowanej twórczości genealogicznej było więc szerokie. Starożytność rodu była legitymacją ułatwiającą zajęcie odpowiedniego miejsca w hierarchii, wyróżniała, budowała prestiż, zastępowała nieznaną u nas tytuły dziedziczne. Rzewuscy wykazali jednak umiar nie sięgając, jak inni, do Aleksandra Macedońskiego.

Dom swój wyprowadzali od „walecznych” Jadźwingów, co zresztą nie musi być koniecznym całkowitym wymysłem, jakieś ziarno prawdy może kryć się w owej rodowej legendzie. W roku 1685 biskup kijowski Andrzej Załuski, wygłaszając w pałacu wilanowskim mowę z okazji zamążpójścia jednej z Rzewuskich, wymieniał długi poczet znakomitych i „nienaganych” przodków, po których panna dziedziczyć miała „męstwo i urodę”. Wskazywał też dalej na świetne i nadzwyczaj szerokie koligacje rodziny.

Do wywodów biskupa, zwłaszcza głoszonych w tak uroczystych okolicznościach, odnieść się trzeba z należyтым scepty-

czynem. Prawda z pewnością była bardziej banalna. Aż po połowę XVII wieku Rzewuscy nie liczyli się. Wielka kariera była dopiero przed nimi. Pochodzili z niezamożnej, drobnej szlachty podlaskiej żyjącej często z pracy własnych rąk. Zamieszkiwali rozmożeni wieś Bejdy i Rzewuski koło Janowa Podlaskiego. Jak inni ambitni, szukali możliwości awansu. W XVII wieku służyli w wojsku, czekając na szansę zdobycia majątku, urzędów, sławy.

Wiele szlacheckich rodzin wiązało swą przyszłość z kresami państwa. Migracje na wschód były częste. Kresy, owo „złote jabłko Korony Polskiej” – jak wyraził się w XVII wieku prymas Wacław Leszczyński, kusity i przyciągały. Możliwości awansu majątkowego były tu większe, dość świeże jeszcze układy społeczne również sprzyjały ludziom „nowym”. Udział w walkach, częstych na tym głównym teatrze wojennym Rzeczypospolitej, mógł także przynieść intratne nadania.

Jako pierwszy na Kresach znalazł się Krzysztof Rzewuski. W pierwszych latach XVII wieku, za bliżej nieznanego zasługi wojenne, otrzymał dzierżawę wsi królewskiej na Podolu. Dopiero jednak jego syn Stanisław potrafił pełniej wykorzystać rysujące się możliwości i na trwałe osadził rodzinę wśród społeczności kresowej.

Przede wszystkim powiększył majątek, który osiągnął spore rozmiary. Składał się z dóbr na Podolu i Rusi Czerwonej oraz na rodzinnym Podlasiu. Związki z potężną rodziną Zamoyskich pozwoliły też Stanisławowi na nabytki w województwie lubelskim (dzierżawa włości kraśnickiej). Niewątpliwym sukcesem okazało się małżeństwo z Anną Czerniejowską, podkomorzanką lwowską. Przyniosło po pierwsze nowe dobra – miasteczko Rozdół (odtąd główną siedzibę rodu) i okoliczne wieś w powiecie żydaczowskim. Drugim, mniej wymiernym, ale niemniej ważnym efektem mariażu był związek z rodziną liczącą się na tym terenie od schyłku XV wieku.

Tym samym wchodził Stanisław Rzewuski w skomplikowaną sieć powiązań z miejscową szlachtą, to zaś było niezbędnym warunkiem zdobycia zaplecza do kariery urzędniczej, roli politycznej, pozycji społecznej. Stawał się członkiem lokalnej elity – kilkakrotnie obierano go marszałkiem sejmiku województwa ruskiego, sprawował kolejno kilka urzędów i godności, nie unikał pełnienia różnych drobnych funkcji doraźnych. Umierając w 1668 r. był sędzią ziemskim lwowskim. Kilka razy posłował na sejm, co dowodzi, że jego ambicje nie kończyły się na granicach województwa. Ufundował kościół, a następnie klasztor karmelitów w Rozdole – był więc zamożny, miał też zrozumienie dla inicjatyw służących tworzeniu rodzinnego prestiżu.

Z pięciorga dzieci Stanisława Rzewuskiego prawdziwą karierę zrobił jedynie syn Michał Florian. Jego dziełem były podstawy XVIII-wiecznej, już magnackiej pozycji rodu. Był przede wszystkim żołnierzem, a taką biografią rycerską jak jego szczytaby się każda szlachecka rodzina. To właśnie Michał Florian, nie zaś jego trzech potomkowie, którzy w XVIII wieku dzierżyli hetmańskie buławy, pracował na rycerski wątek tak ważny w każdej tradycji rodowej.

Wedle tradycji zapisanej przez Kaspra Niesieckiego, debiut wojenny Michała Floriana miał miejsce w przegranej bitwie stoczony ze Szwedami pod Gołębim (18 lutego 1656). Chyba jednak walczył już wcześniej, zapewne w 1655 r. był porucznikiem, czyli faktycznym dowódcą chorągwi kozackiej. Pod komendą Stefana Czarnieckiego uczestniczył w sławnej wypra-

wie duńskiej, później zaś, nadal u boku wybitnego wodza, w walkach z Rosją na Litwie (1660–1661).

Oczywiście służba wojskowa nie przesądzała jeszcze późniejszej kariery. W Rzeczypospolitej nie brakowało w końcu zdolnych oficerów z dobrych rodzin. Momentem decydującym stał się związek Michała Floriana z hetmanem wielkim koronnym Janem Sobieskim.

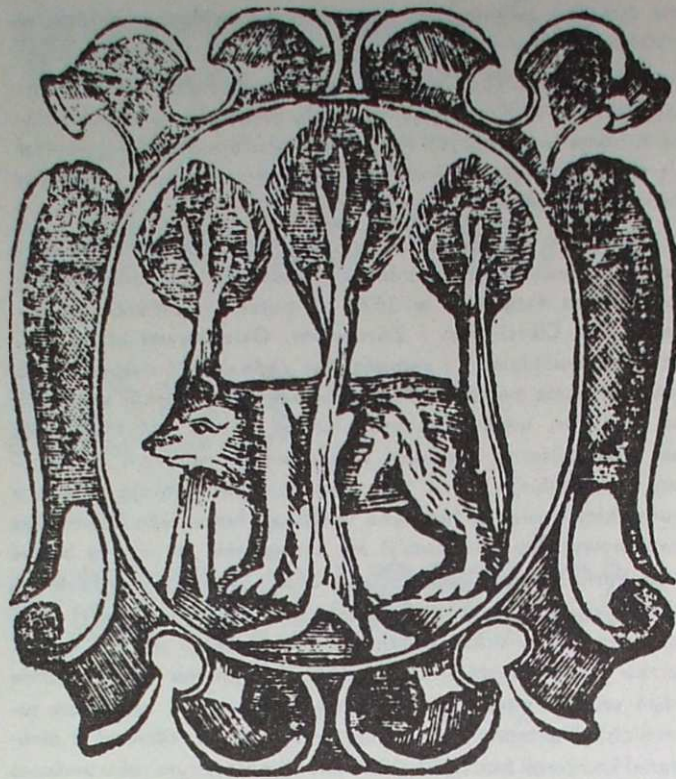
Stopniowo awansował do grona zaufanych oficerów hetmana. Walczył w znakomicie prowadzonej kampanii przeciw czambułom tatarskim w 1672 r., potem w bitwach z Turkami pod Chocimiem i Żórawnem. Otrzymywał coraz bardziej odpowiedzialne i samodzielne zadania. W sierpniu 1675 roku na czele partii wojska rozbił zagony tatarskie grasujące na Pokuciu, uwolnił znaczną liczbę jeńców. W 1683 roku na czele własnej chorągwi pancernej uczestniczył w odsieczy wiedeńskiej. Pełnił tam równocześnie funkcję dowódcy husarskiej chorągwi hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego. Odznaczył się szczególnie w drugiej bitwie pod Parkanami (9 października 1683), kiedy to na czele 10 chorągwi jazdy, w świetnej szarży przełamał i rozproszył szki tureckie. W zbiorach rodzinnych Rzewuskich jeszcze w XIX wieku przechowywano zbroję Michała Floriana spod Wiednia obok szeregu zdobytych wówczas łupów (m. in. namiotów tureckich). Następne lata spędził także w polu. Walczył w nieudanej kampanii budziackiej 1686 r. W następnym roku podczas blokady zajętej przez Turków twierdzy w Kamieńcu Podolskim, jak pisze Niesiecki: *paraliżem ruszony, do Lwowa zawieziony, tamże na wieczny się pokój przeniósł*. Bywał używany do delikatnych misji politycznych (w 1673 r.), a w 1677 r. sekretarzował polskiemu poselstwu do Konstantynopola.

Elekcja Jana Sobieskiego w 1674 r. otwierała i przed Michałem Florianem Rzewuskim zupełnie nowe perspektywy. Król niemal od początku panowania miał do czynienia z silną opozycją magnacką. Mogła ją zneutralizować choć w części grupa stronników króla złożona z ludzi wiernych, wyniesionych przez monarszą protekcję. Siłą, na której mógł się oprzeć król, było wojsko, od lat mu oddane. Nie było zatem dziełem przypadku, że szereg urzędów (w tym krzesła senatorskie) otrzymywali ludzie wywodzący się z wojska. Należał do nich również Michał Florian od 1684 r. pełniący dygnitarską godność podskarbiego nadwornego koronnego. Wcześniej, w 1676 r., otrzymał dość intratne starostwo chełmskie przynoszące około 20 tys. złp rocznego dochodu. Dzierżył ponadto starostwo nowosieleckie składające się z siedmiu wsi, położone również w ziemi chełmskiej.

Poparcie króla ułatwiała też korzystne koligacje. Żenił się Michał Florian trzykrotnie – z Anną Dzierżkówną, Anielą Oborską oraz Anną Potocką – wszystkie pochodziły z senatorskich rodzin. Pozostawił aż dziewięcioro dzieci.

Awans do magnackiej elity nie był rzeczą prostą. W drugiej połowie XVII wieku była to już grupa zamykająca się, niechętnie czy wręcz pogardliwie traktująca ambitnych „nowych” ludzi. Jest rzeczą ciekawą, że dzięki poparciu Sobieskiego wielu ludzi zrobiło karierę, najczęściej jednak były to kariery indywidualne. Tylko nieliczni potrafili przekształcić osobisty sukces w trwałą awansu rodu. Do tych wyjątków należą Rzewuscy.

Potomkowie Michała Floriana utrzymali i pomnożyli dorobek ojca. W XVIII stuleciu wchodził Rzewuscy już z mocną



Herb Ziemi Chełmskiej

pozycją, wkrótce też osiągnęli szczyty społecznej hierarchii. W XVII wieku nie zdołali wejść do senatu, zwyczajowo zarezerwowanego dla przedstawicieli szlacheckiej elity. W wieku XVIII byli już tam stale obecni. Trzech Rzewuskich – Stanisław Mateusz, Wacław i Seweryn – sprawowało urzędy hetmańskie. Ponadto Wacław, na krótko przed śmiercią w 1779 r., otrzymał tytuł kasztelana krakowskiego, został więc pierwszym w hierarchii świeckim senatorem Rzeczypospolitej. Badania Teresy Zielińskiej dotyczące znaczenia rodów w epoce saskiej (wedle liczby sprawowanych urzędów) wskazują na wyraźny prymat Potockich i Lubomirskich. Rzewuscy w tej klasyfikacji zajmowali piąte miejsce.

O ugruntowaniu pozycji rodu świadczą również coraz świetniejsze koligacje. Stare środowisko magnackie stosunkowo szybko zaakceptowało panów na Rozdole. Wraz ze wzrostem majątku i wpływów politycznych Rzewuskich w ich drzewie genealogicznym pojawiały się nazwiska Radziwiłłów, Lubomirskich, Potockich, Małachowskich, Chodkiewiczów, Szembeków i Ledóchowskich, nieco później Hutten-Czapskich i Platerów.

Spśród liczego potomstwa Michała Floriana najbardziej błyskotliwa, rzeczwiście wielka kariera stała się udziałem Stanisława Mateusza. Przyszły hetman należeć miał do ludzi roztropnych i szybkich w działaniu, nadto obdarzony był ponoć nadzwyczajną siłą fizyczną. Mimo tych zalet karierę zrobił późno. Jeszcze w 1702 r., jako człowiek w pełni dojrzały był tylko pułkownikiem wojska koronnego. W następnych latach nastąpił jednak gwałtowny zwrot – w 1706 r. był już hetmanem polnym, cztery lata później został wojewodą podlaskim.

Zmarł w 1728 r jako hetman wielki i wojewoda bełski. Powodem owego zwrotu był zdecydowany regalizm Stanisława okazywany w czasie, gdy korona i rządy w Polsce Augusta II wisiały na włosku. Wdzięczny monarcha płacił za wierność urzędami i licznymi nadaniami dóbr królewskich. Dochody z tych majątków kilkanaście razy przewyższały wartość dóbr, które posiadał ojciec Stanisława. Oto skala awansu!

Uległość hetmana wobec króla wprawdzie dość szybko osłabła, niemniej aż po kres epoki saskiej Rzewuscy należeli najczęściej do ludzi dworu. Regalizm był potrzebny, zwykle miał bowiem bardzo konkretną wartość. Z drugiej jednak strony panowie rozrastającej się fortuny doskonale wiedzieli, że o ich znaczeniu w skali kraju decydują wpływy polityczne wśród szlachty ruskiej, wołyńskiej, podolskiej czy chełmskiej. Ta zaś nade wszystko ceniła i kochała ludzi wyznających sarmacką ideologię. Nadmierna poufałość wobec dworu nie była dobrze widziana.

W testamencie spisanim przed śmiercią Stanisław Mateusz skierował do syna Wacława takie oto słowa:

Zostawiam cię w Rzeczypospolitej wolnej i mądrymi rządzonej prawami. Taką wnukom przekazać, jaką ojcowie ustanowili, niechaj życia twojego będzie zadaniem. Równość szlachecką szanuj, wolności broń [...] Bądź zawsze gotów całą twą krew przelać za wiarę świętą, za wolność elekcji, za hetmańską władzę całość i za liberum veto. Są to cztery kardynalne podstawy Rzeczypospolitej [...].

Słowa te uznać można za polityczne *credo* Rzewuskich. Przyznać trzeba, że następne pokolenia rodu dość skrupulatnie starały się wypełnić zalecenia przodka. W przeciwieństwie do Czartoryskich, Potockich, Zamoyskich i innych Rzewuscy nie wydali właściwie nikogo, kto dzieło reformy państwa uznałby za rzecz ważną, pilną, potrzebną. Oni należeli zdecydowanie do obrońców tradycyjnego, sarmackiego świata.

Wśród majątkowych działań Stanisława Mateusza Rzewuskiego jedno zasługuje na uwagę. W 1720 r. nabył on od królewicza Konstantego Sobieskiego znaczne dobra z zamkami w Podhorcach i Olesku w województwie ruskim. W rękach Rzewuskich pozostawały aż do 1865 r. Zamek oleski pamiętał Żółkiewskich i Daniłowiczów, tam też w 1629 r. urodził się przyszły król Jan Sobieski. Główną, reprezentacyjną siedzibą Rzewuskich zostały jednak Podhorce – wspaniała, barokowa rezydencja europejskiej miary, zbudowana jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku dla hetmana Stanisława Koniecpolskiego.

Intencja transakcji była jasna. Idący w górę ród potrzebował efektywnej, prestiżowej siedziby. Przy okazji niejako osiągnął hetman jeszcze jeden cel. Przejęcie dawnej własności tak znakomitych rodzin jak Koniecpolscy i Sobiescy oznaczało przecież wpisanie się Rzewuskich do świetnej tradycji związanej z tymi nazwiskami. Magnackość rodu, koniec końców ciągle jeszcze bardzo świeża, zyskiwała nieco patyny.

Podhorce łączące w sobie cechy wygodnego pałacu i charakterystycznej dla kresów rycerskiej fortecy, kupione zostały w złym stanie. Szybko jednak dokonano przeróbek, częściowej przebudowy i zamek odzyskał dawną okazałość. Wkrótce stał się ośrodkiem świetnego, magnackiego dworu, jednego z bardziej atrakcyjnych w całym kraju. Jego właściwym twórcą był Wacław Rzewuski, syn hetmana Stanisława Mateusza. Wacław podobnie jak ojciec doszedł do najwyższych godności, był również kontynuatorem ojcowskiej, konserwatywnej linii politycznej.

Właśnie biografia Wacława Rzewuskiego otwiera w historii rodu jakby nowy rozdział, nowy nurt, który w następnych pokoleniach znalazł całkiem licznych naśladowców. Poprzednicy Wacława byli przeważnie żołnierzami bądź politykami, zdaje się, że do spraw kultury przywiązywali mniejszą wagę... Wacław też był politykiem, i to jednym z ważniejszych w swoim czasie, ale równocześnie otwiera w dziejach rodu tradycję pióra. Był pierwszym z rodu o wyraźnych ambicjach intelektualnych. Posiadał staranne wykształcenie, odbył zagraniczne peregryncje. Należał do znawców i miłośników kultury francuskiej. Chętnie i dość często chwycił za pióro, pisząc publicystyczno-polityczne broszury i manifesty (polemizował np. ze znanym zwolennikiem reform Stanisławem Konarskim), wiersze, utwory dramatyczne (tragedie *Żółkiewski* i *Władysław pod Warną*), traktaty teoretyczne dotyczące wymowy i literatury. Wedle rysunków Wacława w połowie XVIII wieku budowano kościoły w Podhorcach.

W rodowej siedzibie przez dłuższy czas działał teatr dramatyczny i kapela. Gospodarze dysponowali dużą biblioteką, a nawet drukarnią. Przebudowa zamku przyciągała artystów, m. in. na zlecenie Wacława dekoracje malarskie wykonywał Szymon Czechowicz. Pałac otaczały pałacowe ogrody budzące podziw w całej Polsce. Wartość wspinających wewnątrz pod koniec XVIII wieku, kiedy zamek rzadko bywał już stale zamieszkaany, szacowano na 3 mln zł. Zapewne dumą gospodarzy była znakomita kolekcja malarstwa zawierająca nie tylko charakterystyczne dla pałaców i dworów portrety przodków, ale i obrazy religijne, mitologiczne, historyczne. Jeśli wierzyć inwentarzom, w pałacu znajdować się miały płótna m. in. Leonarda da Vinci, Tycjana, Rubensa, Tintoretta, Veronesa. Szczególną jednak czią otaczano znajdujący się w zamkowej kaplicy obraz Matki Boskiej Chełmskiej, zaliczany do rodowych relikwii. Matka Boska z obrazu chełmskiego uważana była za główną patronkę Rzewuskich od 1698 r. Wtedy to podczas bitwy pod Podhajcami otoczona przez Tatarów chorągiew Stanisława Rzewuskiego po wielogodzinnym, zdawałoby się beznadziejnym oporze, dzięki odwołaniu się do obrazu, miała przedrzeć się do swoich i wyjść z opresji.

Zainteresowania kulturalne Wacława i jego dworu, zapewne inspirowane zagranicznymi wzorami, wskazywałyby na pewien kosmopolityzm i otwarcie na różne idee. Pewnie coś z tego rzeczywiście było, ale w Podhorcach kultywowano przede wszystkim ideologię i kulturę sarmacką z całą jej anachronicznością. Dominował np. wzór ostentacyjnej religijności, której hołdowali sam Wacław, jak i jego żona Anna z Lubomirskich. W wychowaniu dzieci starano się realizować rzekomo sarmacki model wychowawczy, ale metody budziły wątpliwości współczesnych. Znany i znakomity pamiętnikarz Marcin Matuszewicz bawiąc w Podhorcach w 1760 r. tak pisał o sposobach wychowawczych pani hetmanowej, która:

[...] dwie córki, już dorosłe panny, w niezwycajnym rygorze trzyma, tak dalece, że mając stancję na drugim piętrze, nigdy na dół nie schodzą. [...] Powiedają, że też córki swoje dziwnymi martwi sposobami, nie pozwala żadnej nawet nabożnych pieśni śpiewać i jeżeli która córka ma gust w jakiej księżce, nawet moralnej, tedy ją córce odbierze, co wszystkim w podziwieniu, bo sama hetmanowa dosyć wesola młodą będąc była.

Niewykluczone, iż metody hetmanowej wywierały skutek odwrotny od zamierzonego. Oto jedna z owych gnębionych pańien, Teresa Karolina Rzewuska, której według Jędrzeja Kitowicza: *nikt ani z piękności, ani z bogobojności nie chwalił*

i owszem przypisywano jej płochość i dziwactwa [...], w 1764 roku poślubiła oślawionego Karola Radziwiłła „Panie Kochanku”. Małżeństwo okazało się nieudane, zapewne za sprawą obojga małżonków, i w 1781 r. zostało zakończone rozwodem. O Rzewuskiej mówiono, iż należy do kobiet najbardziej w owym czasie swobodnych. Ponoć kiedy gdzieś około 1771 r. przybył do niej niejaki Czeszejko z kwestą na rzecz konfederacji barskiej i na swoje nieszczęście ośmielił się zganić styl życia pani, ta nakazała pojąć zuchwalca i ściąć go bez sądu.

Od ostatniej wolnej elekcji Rzewuscy ostro zaangażowali się w działalność antykrólewskiej, konserwatywnej opozycji. Byli również ściśle związani z grupą ultrakatolickich biskupów zdecydowanych przeciwstawić się załatwieniu sprawy równouprawnienia dysydentów. W październiku 1767 r. hetman Wacław Rzewuski poparty przez syna Seweryna wystąpił na sejmie przeciw rozbijaniu w narodzie jedności wiary. Nocą z 13 na 14 października z polecenia ambasadora rosyjskiego Repnina obaj Rzewuscy oraz biskupi Sołtyk i Załuski zostali porwani i wywiezieni do Rosji. Wkrótce potem wojska rosyjskie spustoszyły dobra Rzewuskich, w tym m. in. Podhorce. Zesłanie ojca i syna do Kaługi trwało ponad pięć lat. Dla Rzewuskich nie był to jednak czas zupełnie stracony. Wacław zajął się tłumaczeniem Psalmów Dawida (potem wyszły drukiem), zaś Seweryn przekładał dzieła Monteskiusza. Do kraju powrócili już po I rozbiórce w styczniu 1773 r. W kręgach szlacheckich umocnił się autorytet Rzewuskich, którzy występowali teraz w roli męczenników sprawy narodowej. Nawet król obsypywał swych niedawnych przeciwników zaszczytami. Wacław został hetmanem wielkim (szybko zrezygnował z buławy), a Seweryn otrzymał w 1774 r. buławę mniejszą oraz order Orła Białego i św. Stanisława.

Wacław Rzewuski właściwie wycofał się z życia publicznego zastąpiony przez syna Seweryna. Stary hetman odmówił powrotu do Podhorzec, które znalazły się w obszarze zaboru austriackiego. Osiadł w dworze w Siedliskach koło Chełma – tu zmarł 27 października 1779 r., a pochowany został w kościele reformatorów w Chełmie.



Herb Ziemi Żydaczowskiej

Spośród ostatniego w niepodległej Polsce pokolenia Rzewuskich postacią numer jeden był Seweryn – hetman polny, targowiczanie, fanatyczny obrońca szlacheckich wolności. Był z pewnością człowiekiem o dużych zdolnościach, zapewne był najinteligentniejszy spośród przywódców Targowicy. Być może w 1793 r. przeżył wstrząs w związku z II rozbiorem. Zrezygnował z urzędów i wyjechał do Wiednia, gdzie zmarł w 1811 r.

Do znanych i barwnych postaci końca XVIII wieku należał Kazimierz Rzewuski – pisarz polny koronny, poseł na Sejm czteroletni, sławny pojedynkowiec, bardzo aktywny działacz polskiej masonerii. Ostatni kasztelan witebski Adam Wawrzyniec Rzewuski miał opinię znakomitego mówcy i gawędziarza. To jego osoby dotyczy zabawny wierszyk z XVIII wieku odnaleziony przez Romana Kaletę:

Z Chreptowiczem żyć,

Z Radziwiłłem pić,

Z Ogińskimi jadać,

A z Rzewuskim gadać.

XIX wiek przyniósł zmniejszenie znaczenia rodziny. Ze znacznej niegdyś fortuny pozostały resztki. Przede wszystkim wydzieliły się dwie linie rodu Rzewuskich. W Galicji pozostali potomkowie targowiczanie Seweryna. Adam Wawrzyniec Rzewuski i jego potomstwo związane było raczej z ziemiami za-

boru rosyjskiego. Główne siedziby rodowe przeszły w inne ręce. Rozdół w połowie wieku dostał się Lanckorońskim. Po Rzewuskich pozostała fundacja zatwierdzona w 1857 r., mająca wspierać ludność chłopską zamieszkałą w dawnej włości rozdzolskiej. W 1865 r. hrabia Leon Rzewuski, ostatni potomek „hetmańskiej” linii rodu, sprzedał Podhorce Sanguszkom.

Członkowie rodziny najczęściej usiłowali dostosować się do nowej sytuacji. Dość często decydowano się na lojalną współpracę z władzami zaborczymi. Popierał taką postawę zwłaszcza pisarz Henryk Rzewuski – urzędnik Iwana Paskiewicza, wydawca superugodowego „Dziennika Warszawskiego”, odznaczony przez władze za nienaganną służbę, od 1856 r. wraz z braćmi oraz kuzynem Florianem Rzewuskim policmajstrem w Wilnie noszący tytuł hrabiego cesarstwa rosyjskiego.

Z drugiej strony syn targowiczanie Wacław, otoczony już za życia legendą związaną z jego orientalną podróżą i ekscentrycznym stylem życia, zapewne wplątany był w działalność konspiracyjną. W 1831 roku podczas powstania na Wołyniu zginął w tajemniczych okolicznościach po bitwie pod Daszowem.

Podczas tego powstania Rzewuscy występowali zresztą po obu stronach.

EUGENIUSZ JANAS



Herb województwa podlaskiego

JAN MEYSZTOWICZ – pisarz i publicysta. Urodził się w Rohoźnicy w roku 1910, w dawnym powiecie wołkowyskim. W 1934 roku ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Następnie pracował w strukturach MSZ na placówkach dyplomatycznych w Marsylii, Budapeszcie i Genewie. W czasie II wojny światowej służył w Wojsku Polskim we Francji i Wielkiej Brytanii. Uczestniczył m. in. w bitwie o Narvik. Po wojnie był pierwszym redaktorem naczelnym tygodnika „Za i Przeciw”. Wydał kilka książek, które dotyczą historii wojen i dyplomacji. Ostatnio ukazały się: „Korona pod gilotyną” (1984), „Czas przeszły dokonany” (1985), „Saga Brygady Podhalańskiej” (1989, wyd. III).



Jan Meysztowicz

„Czuję się dinozaurem kresowym”

HENRYK RADEJ: – Pańskie nazwisko od razu kieruje moją wyobraźnię do majątku Meyszty na Kresach. Czy zgodzi się pan na małą podróż w czasie do miejsc tak odległych zarówno przestrzennie, jak i historycznie?

JAN MEYSZTOWICZ: – Jak najbardziej. Otóż, dawno, dawno temu mój pradziad Michał ożenił się z bratanicą generała Tomasza Wawrzeckiego, następcy Naczelnika Narodu po uwięzieniu Kościuszki. Ta bratanica, Paulina, wniosła mu w posagu dość dużo ziemi, między innymi majątek Meyszty. Odziedziczył je później mój dziadek Szymon, który z kolei miał czterech synów, a najstarszy z nich, też Michał, odziedziczył Meyszty i spłacił wszystkich swoich braci, w tym i mojego ojca. Zwyczajem rodowym dzieciom nadawano często imiona przodków, stąd ich powtarzalność. Cały majątek leżał jeszcze na terytorium II Rzeczypospolitej, ale tuż przy granicy łotewskiej. Pamiętam, jak mój ojciec nigdy nie mówił Łotwa, tylko Inflanty. Oczywiście

znaczyło to to samo, ale jakże inaczej brzmiało w sensie tradycyjnym. Natomiast nasze nazwisko wywodzi się ze Żmudzi, jak cała nasza rodzina. Ostatni dziedzic Meyszt – Szymon, mój stryjeczny brat, był ich właścicielem do 1 września 1939 roku, kiedy to poszedł na wojnę i dostał się do niewoli sowieckiej. Wywieziono go gdzieś daleko w głąb Rosji. Stamtąd z wojskiem Andersa przedostał się na Bliski Wschód, a potem do Europy Zachodniej. Po wojnie nie wrócił do kraju, bo i dokąd? Obecnie mieszka w Australii i ma tam trzech synów.

– Pan zaś urodził się w Rohoźnicy, oddalonej od Meyszt o około 400 kilometrów.

– Rohoźnicę, która leżała w dawnym powiecie wołkowyskim w województwie białostockim, kupił mój ojciec na początku tego wieku. Ja byłem pierwszym synem z najmłodszego wówczas pokolenia Meysztowiczów. Opowiadał mi kiedyś taką anegdotę. Kiedy przyszedłem na świat i doniesiono ojcu, że ma syna, strasznie się ucieszył. Poszedł do pracujących

w majątku fernali i każdemu z nich dał srebrnego rubla, mówiąc: *Cieszcie się razem ze mną, bo narodził mi się syn – wasz przyszły dziedzic.* Oczywiście to się nie sprawdziło, bo przewrotne koło historii potoczyło się inaczej.

– Może spróbuje pan określić samo znaczenie pojęcia Kresy.

– W okresie międzywojennym, kiedy mówiło się Kresy, to nikt nie wątpił, że chodzi tu o kresy północno- i południowo-wschodnie. Aczkolwiek teoretycznie można byłoby się uprzeć i Kresami nazywać tereny wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej, czy polsko-niemieckiej. Nic podobnego. Pojęcie Kresów łączyło się zawsze ze Wschodem, co jest oczywiście rezultatem rozwoju historii Polski od XVI wieku. Wtedy to nastąpiły istotne wydarzenia, takie jak: Unia w Krewie, Unia Lubelska i nieszczęsna Unia Hadziacka, która niestety nam się nie udała, bo zawieraliśmy ją o 50-60 lat za późno. To przyczyniło się do trwających przez dziesięciolecia rozdziewiętków między

Polską a Ukrainą, czego świadkiem było także moje pokolenie. Natomiast w okresie II Rzeczypospolitej pojęcie Kresy nabrało nie tylko jakiegoś sentymentalnego wydźwięku, ale przede wszystkim określonego terytorialnie charakteru.

– Zostawmy na chwilę historię, którą przecież tworzą ludzie. Zajmijmy się więc ludźmi, bo to wszak oni ze swymi sprawami nadawali Kresom niepowtarzalny klimat.

– Dawne Kresy Wschodnie to tereny wybitnie rolnicze i stosunkowo biedne. Ziemia Kresów była różna, ale przeważnie dużo gorsza niż na Kujawach czy w Małopolsce wschodniej, gdzie rozłożyły się czarnoziemy, w większości uprawiane przez chłopów ukraińskich. Ubóstwo tego kraju – może względne, ale jednak ubóstwo – szło w parze ze swoistym pięknym krajobrazem. Na pozór nie było tam wspaniałych i atrakcyjnych widoków, zapierających dech w piersiach. Okolice były stosunkowo płaskie, ale miały dużo lasów, łąk i pól o najróżniejszych kolorach. Ten krajobraz wywoływał u mieszkańców pewien sentyment, swoiste uczucie przywiązania. Nazwałbym to naturalnym przejawem reagowania estetycznego zwykłych, prostych ludzi. Nawet dla tych kresowców, którzy utracili bezpośredni kontakt z ziemią i należeli do różnych wolnych zawodów, ale których nazwiska wskazywały na szlacheckie pochodzenie, charakterystyczne było ogromne przywiązanie do ziemi. Każdy urlop czy wolny czas stanowił okazję do wyjazdu na wieś. Dla wszystkich było to naturalne i wpisane w styl życia.

– Czy to umiłowanie kresowej przyrody,

nie jakiejś egzotycznej, ale takiej zwykłej i własnej, nie trąciło trochę tanią egzaltacją? Przecież każdy człowiek przywiązuje się do swego miejsca i okolicy.

– To nie była żadna tania egzaltacja! To było coś tak autentycznego, że o tym się w ogóle nie mówiło. Taka była tradycja i to się rozumiało samo przez się. Nie wiem, czy pan wie, ale ludzie tamtych stron cechowało wyjątkowe umiłowanie drzew. Nagminnie sadzono drzewa. Powiem inaczej – był to kult drzew i stąd wzięły się te piękne parki wokół posiadłości. Proszę zauważyć, że drzewa sadzono nie dla siebie, ale z myślą o nowych pokoleniach, które dopiero mogły się nimi cieszyć; u nas w Rohoźnicy szumiąły dwie piękne aleje stuletnich lip. To też był jakiś rodzaj szczególnego posłannictwa o wydźwięku patriotycznym. Dlatego też marzeniem każdego młodego człowieka, który dorobił się czegoś w świecie, był powrót w rodzinne strony.

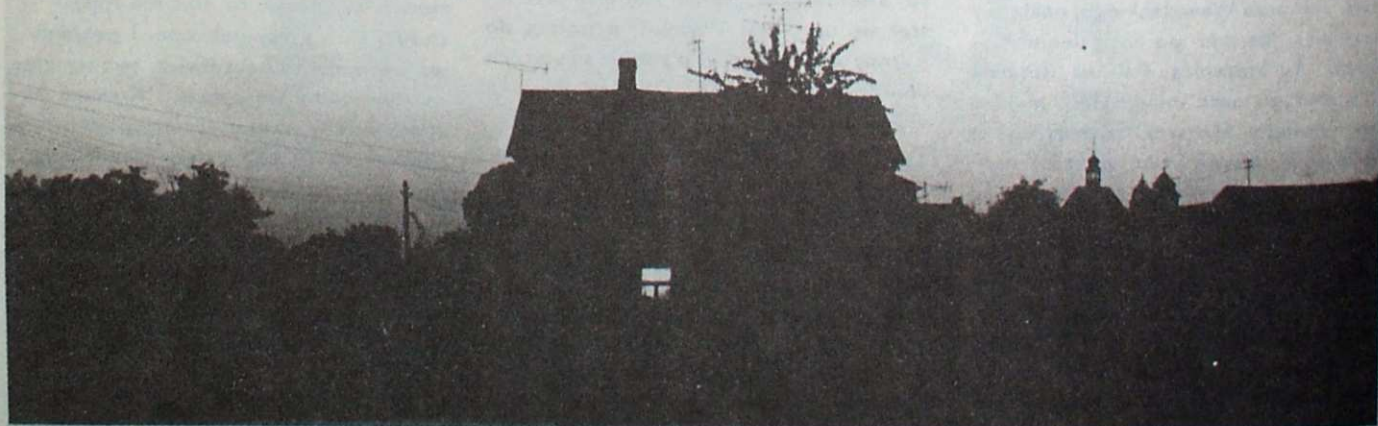
– W dalszym ciągu obracamy się w sferach ziemiaństwa kresowego. Zwyczajny chłop zapewne nieraz przeklinał swój los, a już na pewno nie sadził drzew parkowych, bo nie miał gdzie. Czy wyznania religijne nie były czymś bardziej wyróżniającym tych ludzi na tle kraju?

– Ależ tak! Dla mnie pojęcie kresowości łączyło się zawsze z wielką tolerancją w stosunku do ludzi nieco innych, choćby do licznej grupy żydowskiej, która mówiła innym językiem i kultywowała inną religię i obyczaje. Bardzo rzadko zdarzało się, aby na Kresach powstawały ruchy o charakterze wyraźnie antysemic-

kim – w przeciwieństwie do tego, co miało miejsce w Małopolsce czy Królestwie. Wielowyznaniowość wpisana została na zawsze w pojęcie kresowości jako jedna z cech charakterystycznych. Na przykład na Litwie było sporo rodzin czysto polskich, szlacheckich wyznania kalwińskiego. Wilno było quasi-stolicą kalwinów w tej części dawnej Rzeczypospolitej. Trzeba pamiętać i o tym, że w momencie wybuchu reformacji, za czasów Zygmunta Augusta, znaczna część polskiej szlachty i magnatów (łącznie z Radziwiłłami) przeszła na protestantyzm, podobnie jak w miarę przesuwania się dalej na południe pokaźna grupa polskiej magnaterii była prawosławna. Przecież Jeremi Wiśniowiecki był prawosławny, a dopiero potem przeszedł na katolicyzm. Rodzina Chodkiewiczów, w tym wielki Jan Karol Chodkiewicz, też wyznawała prawosławie. Dopiero w miarę postępów kontrreformacji stopniowo przechodzili oni z powrotem na katolicyzm. Na pograniczu Wołynia i Ukrainy było zaś bardzo dużo unitów – Rusinów obrządku greckokatolickiego, których zaborca traktował później jako zdrajców prawosławia i Rosji.

– Jak w tej mozaice wielowyznaniowości czuł się katolicyzm?

– Nawet katolicyzm na Kresach był nieco inny niż w „Polsce właściwej”, gdzie większość kleru składała się z endecków. Tajemnicą nie jest, że kler do 1939 roku był w zdecydowanej większości endecki. Często religia wykorzystywana była do celów politycznych, co zresztą nie jest niczym nowym, bo przy-



Lech Radwański: „Nokturn chełmski”

kładów na to mamy mnóstwo w historii Europy od XVI wieku. Choćby wielki kardynał Richelieu, który zwykł mawiać: *Les ennemis de nos rois sont les ennemis de Dieu* (Wrogowie naszych królów są wrogami Boga).

– Z tego co pan mówi, wynika, że na Kresach nie dałoby się stosować znanej formuły, że każdy Polak to katolik.

– Stwierdzenie „Polak-katolik” było dla nas, kresowiaków, czymś w najlepszym przypadku ... śmiesznym, wręcz odrzucającym. Głębokie przywiązanie szlachty kresowej i ludu do Kościoła katolickiego różniło ich jednak bardzo, choćby od ziemiaństwa i ludu Wielkopolski, noszących piętno endecji. U nas wyglądało to zupełnie inaczej, a wynikało z wciąż żywej historii i kultury Kresów.

– Czy życie w takim tyglu kulturowym nie zubożało polskości Kresów?

– Nasza polskość przejawiała się we wszystkim, począwszy od nabożeństw kościelnych, a skończywszy na życiu towarzyskim. Jednak nie należy utożsamiać tego z jakąś zasadniczą niechęcią czy wrogością wobec mniejszości narodowych. Pojęcia polskości na Kresach nie trzeba łączyć z pojęciem nacjonalizmu polskiego. Nacjonalizm polski, taki, jaki rozwijał się bardzo dobrze w II Rzeczypospolitej pod hasłami Obozu Wielkiej Polski, zubożało pojęcie polskości. Wielu z mojego pokolenia było wówczas jego przeciwnikami. Byliśmy za tym, by polskość promieniowała, a nie zamykała się we własnym kręgu.

– Jak więc wytłumaczy pan obecność obyczajów i języka francuskiego na dworach szlacheckich i wśród ziemiaństwa w XIX wieku?

– Wbrew potocznym opiniom, że była to moda i resztki XVIII-wiecznego kosmopolityzmu, pokolenie moich rodziców traktowało elementy kultury francuskiej jako antidotum przeciwko rusyfikacji. Oczywiście pierwszym antidotum była polskość, ale tuż za nią język francuski i elementy obyczajowości zachodniej jako opozycja do kultury Wschodu. Na potwierdzenie tej tezy opowiem panu pewną historię z mego wczesnego dzieciństwa.

Był rok 1914. W sąsiedztwie posiadłości moich rodziców rozciągał się majątek należący do emerytowanego już wtedy generała Zurowa, który wcześniej był dowódcą sławnego siemionowskiego pułku gwardyjskiego, wywodzącego się z

czasów Piotra Wielkiego. Zurow należał więc do elity, a nawet arystokracji zawodowej oficerów carskich. Majątek ten ojciec Zurowa kupił po roku 1863 i dlatego jego syn mógł być przyjmowany przez polskich ziemian. A musi pan wiedzieć, że z właścicielami tych majątków, które były Polakom skohfiskowane i nadane Rosjanom, zazwyczaj za szczególne zasługi w tłumieniu powstania lub występowanie się władzom, a także z ich synami, a nawet wnukami nie utrzymywało się żadnych kontaktów. Natomiast z Zurowem mój ojciec utrzymywał sąsiedzkie stosunki towarzyskie, bo był on dzieckiem uczciwie nabytego majątku. Latem 1914 roku, kiedy generał został zmobilizowany, przyjechał on do moich rodziców z pożegnalną wizytą – we wspólnym mundurze ze złotymi epoletami. Jako pięcioletni brzdąc byłem tą postacią zafascynowany. Słyszałem jak przy stole w salonie całe towarzystwo rozmawiało po francusku. Ja nie mogłem zasnąć z wrażenia i czekałem na matkę, która zawsze przychodziła do nas, aby przed snem odmówić pacierz i pożegnać się. Kiedy Zurow odjechał, zapytałem matkę, dlaczego ten generał rosyjski rozmawiał z mamusią i tatusiem po francusku? Na to moja matka odpowiedziała: *Nigdy nie ośmielił się mówić po rosyjsku w domu twojego ojca.*

– W kontekście całej naszej dotychczasowej rozmowy o wiele mocniej jawi się tragedia Kresów z lat 1939–1940.

– Deportacje Polaków czy innych nacji były wielkim dramatem dla tych ludzi, kiedy to setkami tysięcy wywożono ich do Kazachstanu albo prawie że na koniec świata. Jeżeli wywieziono kogoś z Wielkopolski, czy nawet Polski środkowej, to on miał pewność, że jeżeli przeżyje; to wróci. Natomiast kresowcy najpierw musieli przeżyć gehennę, by potem odpowiedzieć sobie na pytanie – dokąd wrócić?! Mój stryjeczny brat z Meyszt po doświadczeniach z łagrów bał się wrócić nawet do Polski.

– Ale pan wrócił z wojennej tułaczki w 1946 roku i zamieszkał w Warszawie.

– Ścisłej mówiąc, najpierw pojechałem do Krakowa, który był miastem moich studiów uniwersyteckich. Tutaj spotkałem swoją przyszłą małżonkę i wyjechaliśmy do Warszawy. W pierwszym odruchu chciałem się osiedlić w województwie olsztyńskim, skąd bardzo blisko w tamte strony, ale były to ziemie tak

doszczętnie zniszczone i niebezpieczne. Ze dałem się przekonać żonie i zostaliśmy w stolicy.

– Jak pogodził się pan z nową rzeczywistością?

– Przeżyłem to mocno. Była to utrata mojej ojczyzny i ojcowizny. Oprócz tego, co wchłonałem i miałem w sobie, nie zostało mi nic materialnego. Pogodziłem się z tym, bo zdobyłem na tyle kultury i wiedzy politycznej, że rozumiałem, iż jest to proces historyczny, nad którym można boleć i płakać, ale którego nie można odwrócić.

– Czy teraz, w okresie tyłu zmian społeczno-politycznych, jakie zachodzą w Polsce i w Związku Radzieckim, nie chciałby pan pojechać w rodzinne strony?

– Nie. To już zamknięty rozdział mojego życia. Nigdy tam nie byłem po wojnie i nie chcę tam jechać. Życzliwi ludzie zrobili dla mnie trochę zdjęć. W Rohoźnicy na Białorusi jest teraz kołchoz, a w Meysztach na Litwie – sowchoz. Meyszty są doszczętnie zniszczone, za to dwór i kościół w Rohoźnicy są prawie nienaruszone.

– Mimo to wydaje mi się, że pańskie serce zostało na Kresach. W pokoju, w którym rozmawiamy, zgromadził pan kilka drobiazgów i sporo zdjęć wywołujących wspomnienia. Klimatu dopełniają kresowe sztuchy z albumów Napoleona Ordy, wśród których łatwo odnaleźć dobra rodzinne. Doświadczenie uczy, że historia nie musi być martwa; że dzieje się na naszych oczach, a jej wiatr huczy wokół nas. Jako historyk musi pan teraz czuć ten wiatr.

– Oczywiście. Żyjemy w tak ciekawych czasach, że nieszczerze byłoby niedoczekanie dalszego ciągu wydarzeń. Akceleracja historii jest tak zawrotna, że ja, który jestem wprawdzie niemłodym człowiekiem, uchodzę wręcz za dinozaura. A gdy rozmawiam z młodymi ludźmi o mojej służbie wojskowej i wojnie, to oni tak patrzą na mnie, jak ja będąc uczniem gimnazjum w Wilnie patrzyłem na weteranów z 1863 roku, których żyło tam jeszcze kilkunastu i chodzili w granatowych mundurach. Złośliwi mówili, że diabli wiedzą, jak to było z tym ich udziałem w powstaniu, ale dla nas byli oni fragmentem żywej historii Polski.

– Dla mnie i dla młodszego pokolenia, które nie znało Kresów, jest pan również fragmentem żywej historii. Dziękuję za rozmowę.

POLONIA W ZSRR?

MIECZYŚLAW WIELICZKO

Podpisana 21 kwietnia 1987 r. międzypartyjna deklaracja polsko-radziecka o współpracy w dziedzinie ideologii, nauki i kultury, w szczególności sposób dotyczyła historii najnowszej obydwu krajów i ich wzajemnych stosunków, a co za tym idzie otwarta jak gdyby kwestię Polonii w Związku Radzieckim.

„Polonia” to pojęcie ogromnie wieloznaczne, a odnośnie do ZSRR na swój sposób nowe, choć o istnieniu Polaków – obywateli radzieckich było powszechnie wiadomo... Oficjalnie o tym niewiele pisano, a jeżeli takie informacje trafiały do obiegu publicznego, były tak enigmatyczne i fragmentaryczne, tak „odbarwione z polskośći”, że trudno je było złączyć z elementem procesu historycznego, polskiego albo radzieckiego (bądź rosyjskiego, litewskiego, ukraińskiego itp.). Stąd obecne „odkrywanie” faktów wiadomych, ich reinterpretacja i nawet pewna fascynacja na poły egzotyczną polskością na wschód od Bugu.

„Polonia” w potocznym rozumieniu i znaczeniu kojarzy się z wychodźstwem (emigracją) na Zachód, bądź za ocean, i w tak dalece uproszczonym ujęciu trwa w obiegu społecznym. A tymczasem jest to pojęcie oznaczające ważkie i różne zjawiska społeczne, jak:

– nazwanie polskiej grupy etnicznej; Polacy – emigranci z ziem polskich i ich potomkowie w dalszych pokoleniach, nazywani też ludźmi polskiego pochodzenia – zamieszkali w danym państwie albo jego części;

– określenie podobnej grupy etnicznej, podobnie na stałe zamieszkałej poza obecnymi granicami państwa polskiego, z tą jednak różnicą, że osiadłej na stałe na ziemi rodzinnej („z dziada pradziada”, „od zawsze”, „na ojcowiznie” etc.) i manifestującej swoją więź kulturową z polskością, choć nie zawsze z Polską jako państwem;

– nazwanie podobnej grupy etnicznej, podobnie na stałe zamieszkałej (itd., jak powyżej), ale osiadłej w innych miejscach na skutek ruchów migracji wewnętrznej w danym państwie (stworzonej przymusem sytuacyjnym, bądź powodowanej własnymi decyzjami wyboru miejsca osiedlenia) i tam utrzymującej świadomość polskiego pochodzenia i więź z

polskością, najczęściej bardzo słabą na skutek znacznego oddalenia i osamotnienia.

Dwa ostatnie człony tak objaśnianego pojęcia „Polonia” dotyczą podjętego tematu, a zarazem uzasadniają użycie tych znaków pisarskich zamykających tytuł, wciąż bowiem jeszcze czynniki przynależności do Polonii około 0,4 proc. obywateli ZSRR będą wymagały wyróżnienia i uzasadnienia w toku dalszych badań. Splatają się tu elementy czynników obiektywnych i subiektywnych, trudnych do wyodrębnienia w losach ludzi (i całych ich zbiorowisk osiadłych w danym „punkcie geograficznym”) oraz wyróżnienia wyznaczników treści pojęcia „Polonia”. Zbyt wiele wątków procesu historycznego odcisnęło tu swój ślad, zbyt wiele jest tu emocji i uczuć, by chłodne kryteria rozumowania naukowego spełniały swoje funkcje bez zastrzeżeń i krytycyzmu. Zgodzić się trzeba na ich ograniczoną przydatność, kiedy materia badawcza jest tak złożona, a losy ludzkie „rozłożone” w czasie i na bezmiernej przestrzeni Eurazji. To bowiem Polonia radziecka!

Od kiedy datować jej istnienie? Różne mogą być daty i zawsze będą dostatecznie uzasadnione i uargumentowane, choć jednocześnie umowne. Dlatego przyjmuję „własną” cezurę, od daty ostatniej umowy międzyrządowej o repatriacji (25 marca 1957 r.) i zakończenia tej akcji w 1959 r. oraz przeprowadzenia w tymże roku spisu powszechnego ludności w ZSRR, spisu który uwzględnił ważne dla naszych rozważań kryterium samookreślenia się narodowościowego oraz zarejestrowanie używanego języka – w osobnej rubryce kwestionariusza – spisywanej osoby. Był to pierwszy radziecki spis po II wojnie, a więc ci, którzy w 1959 r. przebywali w ZSRR i określali się jako Polacy (z urodzenia na ziemiach polskich, obywatelstwa bądź pochodzenia rodzinnego), będący osobiście wolni, powinni być uznani jako tamtejsza Polonia w liczbie 1 380 tysięcy.

Czy tylko Polonia? Nie. Równie właściwe i uzasadnione posiadaniem dowodem tożsamości oraz podobnie urzędowym dokumentem kwestionariusza osobowego spisu ludności, będzie tu określenie „polska mniejszość narodowa”,

choć dotyczyć to może tylko części podanej liczby, tych ludzi, którzy zostali odnotowani przez rachmistrzów spisowych jako zamieszkali na obszarach tzw. dalszych kresów, czyli ziem Rzeczypospolitej staropolskiej, ziem przedrozbiorowych na wschód od Bugu, bądź osiadłych „na wyspach językowych” – skupiskach polskich, najczęściej pojedynczych wsi lub całych ich kolonii (jak w przypadku Kazachstanu w obwodzie kokczetowskim, calinogrodzkim oraz w podmiejskich okolicach Alma-Aty i Karagandy), powstałych w różnych okresach historycznych, od czasów pierwszych represji i deportacji po konfederacji barskiej (1768–1772) do stalinowskich przesiedleń z Podola i Ukrainy w latach 1936–1937, właśnie do wspomnianego Kazachstanu, czy przesiedleń w latach 1939–1941 oraz analogicznie deportacji i ruchów migracyjnych po 1944 r. na różnych obszarach ZSRR.

Podobne skupiska polskiej mniejszości narodowej odnotował ów spis w liczbie 230 107 osób na obszarze Litwy (ściślej: Wileńszczyzny albo Litwy Południowej), Łotwy w liczbie ponad 60 tys., Białorusi ponad 539 tys. oraz Ukrainy w liczbie 363 tys., co łącznie z częścią przyległych do tych republik radzieckich okolic Federacji Rosyjskiej – tu odnotowano 118 tys. ludzi deklarujących polskie pochodzenie – daje skupisko ponad 1 200 tys. obywateli radzieckich „polskiej kategorii” na tym właśnie obszarze. Ich rozmieszczenie przestrzenne jest następstwem wielu wątków procesu historycznego, w którym np. pojęcie kresów będzie zawierało rozległą treść i podobnie „długie trwanie”.

Nie rozwijając tych kwestii w takich właśnie aspektach historycznych, poprzestać trzeba na charakterystyce Polonii radzieckiej w minionym trzydziestoleciu, a zwłaszcza jej współczesności – ostatniego roku, w którym owocować powinny ustalenia wspomnianej na wstępie deklaracji międzypartyjnej, a nade wszystko procesy przemian wewnętrznych w ZSRR.

Pośród tej charakterystyki zwracając uwagę dwie kwestie: znajomość języka polskiego jako kryterium związków z polskością oraz elementy polityki narodowościowej władz republikańskich w stosunku do ludności deklarującej swoją polskość, polityki będącej wypadkową ogólnoradzieckiej polityki wewnętrznej w sprawach narodowościowych.

Zauważyć wypada w tej drugiej kwestii, że lata te obejmują okres sprawowa-

nia funkcji I sekretarza przez N. Chruszczowa, co w kwestiach narodowościowych zaznaczyło się dążeniem do naprawy krzywd z okresu stalinowskiego i rozwojem na tej płaszczyźnie „narodu radzieckiego” oraz kontynuacją tej ostatniej idei przez L. Breżniewa, przy czym owo pojęcie „narodu radzieckiego” wypełniało się treścią coraz bardziej pozorną, zaś praktyką dominowania Rosjan w różnych pionach aparatu państwowego ZSRR. Wszystko to tało antagonizmy narodowościowe i załamki konfliktów z wyraźnym zabarwieniem nacjonalistycznym, a te w sprzyjających okolicznościach „przebudowy” i „jawności” przybrały nie tylko postać tzw. frontów ludowych i innych ruchów narodowościowych, ale także gwałtownych starć w kilku rejonach ZSRR w latach 1987–1989.

Dotyczyły te procesy Polonii radzieckiej w różnym stopniu, a na zewnątrz w międzypaństwowych stosunkach polsko-radzieckich przez całe dziesięciolecie praktycznie nie istniały... Nie można bowiem za ich istnienie uznać krótkich wizyt w Wilnie E. Gierka oraz W. Jaruzelskiego i spotkań z tamtejszą ludnością polską, przy jednoczesnym tendencyjnym wyciszeniu jakichkolwiek informacji o instytucjonalnych związkach z Polonią radziecką, choć takie związki istniały.

Powróćmy do spisu ludności z 1959 roku. Polacy i ludzie polskiego pochodzenia zamieszkiwali w 7 republikach, stanowiąc w sąsiedztwie ojczyzny najbardziej liczną część naszego narodu, zarazem rozproszoną, jak i zwartą w kilkunastu obwodach. Z liczby 1380 tys. aż 45,2 proc. deklarowało język polski jako ojczysty. Następny spis ludności w 1970 roku wykazał zmniejszenie się ogólnej ich liczby do 1167 tys. przy jednoczesnym spadku do 32,5 proc. podających język polski jako ojczysty. Są to demonstratywne przykłady procesów asymilatorskich, które postępują wolno w rejonach zamieszkania, gdzie Polacy żyją na „wyspie językowej”, zaś przybierają na intensywności w otoczeniu słowiańskim, gdzie język polski na skutek małej różnicy (wszak jest to polszczyzna kresowa „od zawsze”, odmienna od polszczyzny literackiej, a nasiąkła wtrętami językowymi z otoczenia i swoimi archaizmami) zanika, staje się bardziej „tutejszy” lub „prosty”. Do tych ostatnich pojęć przyjdzie jeszcze powrócić.

Niebagatelną sprawą jest istnienie nauczania w języku polskim poprzez różne stopnie organizacyjne szkolnictwa. Na

Litwie w roku szkolnym 1953/54 były 262 szkoły samodzielne z polskim językiem wykładowym oraz 82 szkoły, w których prowadzono tzw. klasy równoległe, czyli nauczano w nich w języku polskim. Ostatnio określa się te fakty jako „stalinowską polonizację” Litwy, rozpoczętą około 1950 r. Uwzględniając ostatnią falę repatriacyjną (w 1959 r.), powodującą zmniejszenie się liczby ludności polskiej, w roku szkolnym 1988/89 nauczanie w języku polskim prowadzi ogółem 92 szkoły: początkowe, niepełne średnie (dziesięcioletnie) i średnie (dwunastoletnie), a w tej liczbie aż 47 szkół jest połączonych ze szkołami z językiem litewskim lub rosyjskim jako wykładowym. Szkoły polskie znajdują się w 6 rejonach administracyjnych Litwy: wileńskim, solecznickim, trockim, święciańskim, czyrwińskim i w mieście Wilnie. Tu jest 10 takich szkół, w tym 7 średnich. Porównanie tych danych wskazuje na postępujący gwałtownie proces asymilacji, likwidacji szkół polskich, przy czym jak dowodzi lektura „Czerwonego Sztandaru” (organu KC KP Litwy, jedynej w języku polskim gazety w ZSRR), akcja ta nasiliła się w ramach antypolskiej kampanii i agitacji, jaka szerzy się od ponad roku na Litwie. Przyczyną zamykania szkół z polskim językiem wykładowym, obok administracyjnych, jest wiele i nie miejsce na ich rozważanie. Pozostaje stwierdzić, że pomimo tej niekorzystnej okoliczności na Litwie w 1970 r. 92,5 proc. Polaków deklarowało język polski jako ojczysty, gdy na Ukrainie 14,9 proc., a na Białorusi tylko 13,1 proc. Dodać jednak trzeba, że na Białorusi nie było do niedawna szkolnictwa z polskim językiem nauczania, zaś na Ukrainie są tylko dwie takie szkoły, we Lwowie. W skupiskach polskich we wschodniej części Wołynia i Podola ludność deklarująca się jako Polacy prawie nie znała języka polskiego, kiedy w obwodzie żytomierskim według spisu z 1970 r. na 91 tys. Polaków deklarowało w tym miejscu kwestionariusza język ukraiński jako ojczysty aż 93,9 proc. Z tych okolic wywodzi się znaczna część ponad 60-tysięcznej polskiej grupy narodowościowej w Kazachstanie, która w 17,9 proc. podała język polski jako ojczysty. Zdaje się to potwierdzać spostrzeżenie, że zasadniczo odmienne otoczenie w miejscu zamieszkania hamuje postępy asymilacji, zaś w procesie wychowawczym kolejnych pokoleń ludzi polskiego pochodzenia ważne miejsce zajmuje rodzinna tradycja polska i język polski w domowym użyciu,

będące zarazem twórczym świadomości powiązanej z polskością.

W 1980 r. opublikowano wyniki kolejnego spisu powszechnego (*Po danych wsiesujuznoj pierepisi nasilenija 1979 goda*), w których odnotowano 1 151 tys. Polaków lub ludzi deklarujących polskie pochodzenie. Wynika stąd, że w ciągu 20 lat ogólna liczba Polaków w ZSRR zmniejszyła się o 15,4 proc., jedynie na Litwie i Białorusi nastąpił wzrost liczby ludności polskiej, przy jednoczesnym gwałtownym spadku liczby ludności uznającej język polski za ojczysty z 45,2 proc. do 29,1 proc. Aż 20,7 proc. Polaków podało język rosyjski jako „język ojczysty”, a także wzrosła liczba tych, którzy podali język rosyjski jako drugi z 37,0 proc. do 44,7 proc. Czy oznacza to rusyfikację? Nie jest to najlepsze określenie, do tego obciążone w polskim odczuciu tradycją prześladowań polskości pod zaborem, ale innego nie widzę na nazwanie tego procesu. Można tu zrobić tylko zastrzeżenie, że wszelkie statystyki w spisach ludności wymagają bardzo ostrożnej interpretacji i wielostronnego oglądu danych liczbowych, by nie powstały uproszczenia i tendencyjne objaśnienia zarejestrowanych zjawisk, które na swój sposób zostają „wywołane” określoną rubryką kwestionariusza spisowego. Pomiędzy sferą wolicjonalną osoby „spisywanej”, działaniem rachmistrza według zalecanej i urzędowej instrukcji spisowej oraz kwestionariuszem i jego rubrykami istnieją nader wątle związki... Dlatego wszelkie liczby trzeba traktować z dużą tolerancją „błędu statystycznego”, który może być tak zamierzony, czego dowodzi ostatni spis ludności w ZSRR w styczniu 1989 r. Danych jeszcze nie opublikowano.

Nie należy jednak spodziewać się nowych informacji o liczbie Polaków i ludzi polskiego pochodzenia zamieszkałych na Litwie i Białorusi, formuła spisu w tych republikach zakładała bowiem samookreślenie się jako „tutejszy”, bez podania narodowości! Kwestionariusze te pomijały język polski jako „ojczysty” czy też „rodzinny”. Jeżeli jednak obywatel radziecki mimo wszystko „uparł się”, by stwierdzić, że jego ojczystym językiem jest polski, miał do dyspozycji rubrykę określającą narodowość „Litwin”, zaś inny obywatel, który wybrał rubrykę języka ojczystego jako „prosty”, mógł pod względem narodowości zaliczyć się tylko jako „Białorusin”. A swoją drogą, kiedy w sanacyjnej Polsce w 1931 r. w kwestionariuszu spisu ludności w województwach wschodnich wpisywano analogicz-

ne określenia „tutejszy” i „prosty”, zostało to uznane za przejaw bardzo nieładnej polityki wynarodowiania... i tak to funkcjonuje w literaturze naukowej.

Mimo więc spisu ludności, który statystycznie „zagubi” znaczną część Polonii w tych republikach radzieckich lub przyniesie zupełnie fałszywy jej obraz statystyczny, ta Polonia zaczęła się organizować i jednoczyć w celu podtrzymania swojej świadomości narodowej. Jako pierwsze powstało na przełomie kwietnia–maja 1988 r. Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie w Wilnie, a za jego przykładem w sierpniu powstało Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe Polaków im. A. Mickiewicza w Grodnie, a wkrótce potem Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe na Ukrainie z Oddziałami w Kijowie, Winnicy i Żytomierzu (kilka dalszych jest w organizacji), Towarzystwo Kultury Polskiej Lwowa i Ziemi Lwowskiej, Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe w Rydze, Stowarzyszenie Polskie „Płomień” w Dyneburgu, Klub Miłośników Kultury Polskiej w Lidzie, Klub „Wisła” w Irkucku, a wiadomo też o inicjatywach organizacyjnych w Moskwie, Leningradzie i Kazachstanie. To wszystko powstało w ciągu jednego roku na przełomie lat 1988/89. Obok spraw organizacyjnych, podstawowe kierunki działania to nauczanie języka polskiego na kursach i zakładanie księgozbiorów gromadzących dary książkowe z Kraju, bardzo licznie nadsyłane.

Przedstawiciele wielu tych organizacji spotkali się w Wilnie 15–16 kwietnia 1989 r. na założycielskim zjeździe Związku Polaków na Litwie, organizacji powstającej z przekształcenia uprzednio istniejącego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków, które skupiło już ponad 15 tys. członków w kilkunastu kołach i oddziałach. Związek wystąpił z wieloma inicjatywami ożywienia działalności „polonijnej”, jak szeroko pojęta obrona praw narodowych ludności polskiej, pośród których najgłośniejsze ostatnio były uchwały szeregu rejonowych rad narodowych o wprowadzeniu języka polskiego jako urzędowego na ich terenie. Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej 26 września 1989 r. uchyliło wszystkie te uchwały jako niezgodne z obowiązującą konstytucją... Nie tylko nie załagodziło to rysującego się konfliktu, wręcz przeciwnie – w obliczu wyborów na początku 1990 r. sprawa dialogu pol-

sko-litewskiego staje się coraz bardziej niecierpiąca zwłoki.

W tej kwestii powstała inicjatywa zorganizowania „okrągłego stołu” w Warszawie 27–29 października 1989 r., ale działacze „Sajudisu” – ruchu narodowociowego Litwinów nie podjęli w tej formie dialogu... Czas biegnie i nie tylko „niwa historyczna” polsko-litewskiej przeszłości wymaga spokojnej, wspólnej reinterpretacji, ale nade wszystko współczesność około 300-tysięcznej rzeszy Polaków na Litwie domaga się rozwiązania wielu konkretnych problemów, których „poprzez Moskwę” obydwie strony nie uporządkują.

Przykład stanu „sprawy polskiej” na Litwie jest może najbardziej nabrzmiały, ale podobnie zaczynają rysować się sytuacje na Białorusi i Ukrainie w miejscach największych skupisk ludności polskiej.

Przy okazji zjazdu w Wilnie podjęto inicjatywę utworzenia polskiej organizacji o charakterze wszechzwiązkowym, dla całego ZSRR, organizacji Polonii radziec-

kiej. Inicjatywa ta nie ma precedensu w dziejach Polaków na Wschodzie. Można mniemać, że będzie to czynnik ożywienia świadomości Polaków – obywateli radzieckich, ich ponad milionowej rzeszy. A może też repolonizacji nieznanej bliżej liczby ludzi, którzy wyzbyci zostali poczucia polskości na skutek warunków życia.

Jest więc Polonia radziecka zbiorowiskiem o złożonej genezie i bardzo zróżnicowanym stanie świadomości, poczuciu więzi z polskością, z kresowym językiem polskim, nierzadko kultywowanym wyznaniem rzymskokatolickim. Hasłem tej Polonii jest zawołanie Zjazdu Polaków na Litwie „Ziemia ojców naszą ziemią”, ale i ogromna uczuciowa z nią więź i troska o „polski ślad” na niej. Wszak oni są u siebie, na ojcowiznie, poza politycznymi granicami polskości. I to ich różni od wielu innych Polonii, ale przybliża zarazem i jednoczy w ideowej zbiorowości, której imię „Polska”.

MIECZYSLAW WIELICZKO

Lublin, w listopadzie 1989 r.

Z wielkim uznaniem przyjęto twórczość Józefa Szajny na ubiegłorocznym Biennale w Sao Paulo, co odnotowujemy z tym większą satysfakcją, że kilka prac artysty znajduje się w kolekcji cheńskiego Muzeum Okręgowego. Jest wśród nich i reprodukowany wyżej „Totem” (techn. miesz., ok. 1970, 80x50x7,5cm.)





Zofia Grzesiak

ZOFIA GRZESIAK, autorka publikowanej tu prozy, urodziła się w 1914 r. na Wołyniu, gdzie też spędziła młodość. W latach 1942–45 wraz z mężem i córką przebywała w hitlerowskim obozie pracy na terenie Austrii. Do Polski powróciła w maju 1945 r., osiedlając się z rodziną w Pile. Od października 1952 r. mieszka w Lublinie. Pisać zaczęła 27 lat temu, z wewnętrznej potrzeby zanotowania tego, co widziała, co przeżyła – bez zamiaru „bycia literatem”. Od tego czasu złożyła „w szufladzie” prawie 17 tys. stron maszynopisu w formie notatek, impresji, opowiadań i powieści, których akcja rozwija się m.in. w wiejskim i małomiasteczkowym środowisku kresowych Żydów, Polaków i Ukraińców. Odkryta zaledwie pięć lat temu, proza ta chwali się oryginalnym tokiem narracji, bogactwem i autentyzmem języka, realistyczną obserwacją obyczajową i psychologiczną. W roku przyszłym ukaże się pierwsza książka Z. Grzesiak, przygotowana redakcyjnie przez PIW. Będzie to powieść „Między Słuczą a Horyniem”. Tekst publikowany w „Kamieniu” stanowi fragment innej powieści („Przekleństwo posagu”), której maszynopis znajduje się jeszcze w posiadaniu autorki. (k)

Ten umarł, ta zwariowała tamtego zabili w więzieniu

W tym czasie było jeszcze kilka zdarzeń we wsi. Kiedy świat już nabrzmiewał niczym ropień, a gazety przynosiły coraz groźniejsze wiadomości, jakiś amerykański filantrop zaczął przysyłać wiejskim dziewczętom po trzysta, po pięćset dolarów, zależy jakie która miała szczęście i w jakim nastroju był ów bogacz w tym dniu, lub czy jego szlachetne oko dostrzegło jej imię na liście, co nie wiadomo jakim cudem zawędrowała na jego biurko. Otóż wiejscy Żydzi chodzili wprost upojeni jak dobrym winem z faktu tego zdarzenia i wzmógł się też ruch w kręgu faktorskim.

Wzmogły się też marzenia, aż się kłębiło w dziewczęcych głowach od rojeń i planów. Niemal każda spodziewała się listu, w którym nieznanemu bogacz napisze, że wysłał upragniony czek.

Mirele z pobliskiej wsi dostała trzysta dolarów, Roza, córka Kresi nieboszczki, pięćset. Jakby ów filantrop był prorokiem Eliaszem i wiedział, że Mirele jest młoda i bardzo ładna, że wystarczy dla niej trzysta dolarów posagu, a Roza, choć ma takie moderne imię, ale za to ma twarz jak starego świętej pamięci Szymela u bałaguty kobyły, do tego dwa przednie zęby, które nie pozwalają domknąć ust jak źle dopasowane zawiasy.

Wiejscy Żydzi czekając w szabes na dziesiątego Żyda, bez którego nie można było odprawić porannego nabożeństwa, roztrząsali, z jakiego źródła płyną te pieniądze. Jedni byli zdania, że miejscowy rabin przebywający obecnie w Ameryce rzucił jakieś słowo wśród tamtych dostojników na korzyść naszych biednych dziewcząt. Przecież on boleje nad ich nieszczęsnym losem, że już powinny dawno powychodzić za mąż i rodzić dzieci, a nie mogą, bo nie mają pieniędzy na posag. Drudzy twierdzili, że ten filantrop musiał być nielichym

grzesznikiem i może przed śmiercią pragnie darowizną grzechy od Boga wykupić, oddając cały swój wypracowany w sobotę dochód na jałmużnę, gdyż tam w tym złotym kraju, w tej Ameryce, nie ma tylu krążących z domu do domu żebraków, jak u nas.

Niedługo wprawdzie trwała ta hossa z amerykańskimi czekami, jedynie kilka dziewcząt miało szczęście, a reszta została przy swoich marzeniach, ułatwiających im tylko spędzanie bezsennych nocy. Nawet Zulenke, leżąc przy swoim znienawidzonym mężu w łóżku, syta tłustego jada i różnych łakoci, przewracała się z boku na bok i prowadziła w myślach rozmowę z cieniami swoich rodziców. – Czemu żeście nie poczekali? Byłam przecież jeszcze taka młoda. Może byłabym jedną z tych wybranych, których imię znalazło się na biurku tego dobrego filantropa? Pamiętasz, mamó, ten zimowy wieczór, kiedy była śniegowa zawieja, a wiatr trząsał oknami, że mało szyby nie powylatywały?! W naszym domu stanął człowiek. Był późny wieczór, a ten młody gość zjawił się nagle, jakby go ta wichura przyniosła. Pamiętasz, mamó? Ten obcy prosił nas o nocleg. Pościelił mi na kanapie pod piecem, by mu było ciepło. W czasie rozmowy z nami przyglądał się mnie swoimi szczerymi oczami, a ja jemu. Podobał mi się i odniosłam wrażenie, że moja twarz jemu też nie była obojętna. Rano, gdy się wichura nieco uspokoiła, poszedł, a ja z tobą, mamó, pamiętasz, zastanawialiśmy się, czy żonaty, czy bogaty? Otóż, mamó, wkrótce wrócił po raz drugi i ożenił się z Mirele, która dostała od dobrego filantropa ten błogosławiony, czy przeklęty posag. Na pewno powiesz, mamó, że był przeznaczony dla Mirele. Nieprawda mamó, był i dla mnie przeznaczony, gdybyś była trochę tylko poczekała i moje nazwisko

byłoby się znalazło na amerykańskim biurku i gdybym dostała ten czek na ten błogosławiony, czy przeklęty posag...

W tym czasie oprócz Mirele wyszła też za mąż córka ryżego Jankla, wyszła za wdowca. W owym czasie dziewczęta z mojej wsi wychodziły za mąż jak nie za wdowca, to za rozwodnika. Minęły te czasy, kiedy we wsi roilo się od żydowskich panien z przedmikołajewskiej wojny. Tamte panny były rasowe, jedna w drugą „pierwyj sort”. Dobcie, Szymela bałagudy córka, gdy szła w swojej niebieskiej w czerwone pasy sukni, poszytej z matczynej chusty przywiezionej przez Szymela jako okup za noc po powrocie jego żony Chany z mikwy – aż ziemia drżała pod stukotem jej obcasów. Choć Dobcie była córką biednego bałagudy, żadnemu szadchenowi [faktorowi] nie przeszłoby przez głowę, by swatać jej wdowca czy rozwodnika. Każda jedna panna, a było ich sporo, powychodziły za mąż za kawalerów. Niestety, te powojenne jakby nie powyrastały, każda jedna jest jakby sztachnięta, jakby ukrócono jej miarę.

W ostatnich kilku latach, kiedy Hitler się pienił przed zachłystującymi się radością Niemcami, przedstawiając im swoją wizję przyszłych Niemiec, nasze żydowskie dziewczęta wychodziły za mąż jedna po drugiej. Kahałny szadchen miał pełne ręce roboty. Z zatkniętymi za pas potami swej wytartej kapoty jeździł, chodził, szperał i dopasowywał. Odwiedzał chore żony, by się zorientować, ile czasu trzeba będzie poczekać na świeżo upieczonego wdowca, dla którego w swoim rejestrze już miał dziewczynę, a przecucie mu mówiło, że czas nagli, że wkrótce będzie się coś niedobrego działo. Tak jak przed burzą: niebo niby czyste, słońce ładnie świeci, a powietrze jest gęste, że płuća z trudem oddychają.

Więc mnożą się we wsi weseliska. Przybyło kilka zięciów, parę też synowych. Również spora ilość też ze wsi ubyla. Niespodzianie wyszła za mąż sympatyczna z ryżą czuprynką Ester. Bez skrzypiec, fletu i bębna, cicho, bez hałasu siadła na wóz i wyjechała do Totowicz i tam postawiła cztery kije chupy i okręciła się siedem razy wokół swego rozwodnika i bez pożegnania udała się do domu swego męża. Tak było również z dziewczyną z Wyspy. Nie wiadomo kiedy faktor przytaszczył z dziesiątej wsi czarnego, chudego, bez jednego zęba, posuniętego w latach młynarza, któremu przed półrokiem żona wyciągnęła nogi w szpitalu. I szast-prast, jakby się paliło, przygotowywano wyprawę. Irodna klacz młynarza krążyła tam i z powrotem i zwoziła wszystko, co było potrzebne dla młodej dziewczyny, co miała wkrótce rozpraszać żałobę i umilać życie starym młynarzowi. Z takim samym pośpiechem wiejski muzykant odrzępolił kilka walców, polek i parę rytualnych tańców odtączonych z panną młodą. Wypito kilka butelek rozcieńczonej wódki i młoda małżonka skoro świt wyjechała do swego młynarza, który będzie ją maltretował do końca jej krótkiego życia.

Więscy Żydzi jej po trosze zazdrościli i chyba ze dwa miesiące w szabes po kuglu o tym rozprawiano. Co tu dużo gadać, dziewczyna jak każda, może trochę nawet gorsza. Czarne to było po urodzeniu jak Cyganiątko, aż jej matka się wstydziała ją ludziom pokazać, żeby nie pomyśleli, że jej mąż jak raz w tym czasie był na froncie rosyjsko-japońskim w Mandżurii, a tabor cygański stał w pobliżu, tuż koło jej domu. I jak na złość to małe, chude i czarne jak Cyganiątko, niechciane dziecko rosło i ciągle ryczało bez racji, że aż bębni ki w uszach pękały. Nieraz lte w bezradnej złości załamywała

ręce, wołając żarliwie: Boże! zabierz do siebie to twoje przekleństwo, wyzwól mnie Boże miłosierny z tych wrzasków, od których szatu dostają! Lecz pan Bóg lubi zawsze robić na opak czy na złość i zamiast zabrać to wrzaskliwe Cyganiątko, zabrał spokojnego i bardzo udanego Szejlika. A to czarne stworzenie zostało i wyrosło – nie za duże, nie za ładne, ale za to bardzo łagodne, pracowite i tak na swój sposób wyjątkowo przebiegłe, że zdążyło swoich rodziców pozyskać, omotać ich wokół swego małego palca. Nawet ci sami ludzie, co poprzednio kiwali na widok dziewczynki głowami, stawiali ją obecnie za wzór, że posłuszna, że pokorna, że nigdy by swym rodzicom krzywdy nie zrobiła. Lecz po prawdzie kto tam wie? Gdyby jej się trafił jaki szejgrec, kto tam wie? Lubiała czarnymi oczkami pogłaskać przystojnego mieszczanina i pozwalała mu dotknąć swoje smagłe ramię. Często też brała kilka gałganów i biegła do rzeki niby je prac jak raz w tym czasie, kiedy nad podziw dorodny Kiszkojed, jak go przezywali, gnał swoje woły do wodopoju. Wtedy ta kruczowłosa, podobna do Cyganki, żydowska córka z gałganami i on, ten Szajgrec z batem, szli obok siebie i żywo rozmawiali. Lecz to były jej sprawy, do których żywego ducha by nie dopuściła i nikt by się również nie domyślał, co roi się pod tą czarną jak smoła, falistą czupryną.

Lecz jakoś imię tej posłusznej, bogobojnej córki nie znalazło się na biurku amerykańskiego filantropa i nie wysłał jej tych upragnionych kilkuset dolarów posagu. Jej matka lamentowała, klęła tego filantropa najsroźszymi klątwami, żeby cholera, dżuma i wszystkie plagi egipskie go nie ominęły. I to nie tylko na tego podłego bogacza, co o jej dziecku zapomniał, ale i na całą podłą Amerykę klęła.

I oto w tym czasie, gdy żadnej nadziei znikąd nie było, zjawilo się szczęście – w białym prochowcu i kapeluszu na tysej głowie, jak Mesjasz. Lecz to nie był wcale Mesjasz, tylko młynarz, któremu przed półrokiem umarła żona. Powiedział, że posiada parowy młyn, dwa domy i zamierza wybudować fabrykę, która będzie produkowała tekstylia dla całej guberni. Do tego posiada mnóstwo pieniędzy, brakuje mu tylko kobiecego oka co by doglądało służbę i troje sierotek, co zostały bez matki.

Czy mógł ktoś wobec takich zdarzeń zwracać uwagę na to, co piszą gazety lub na złe plotki, co bezustannie krążą?! Skoro nasz litościwy Bóg nie opuszcza maluczkich, skoro takiemu krezusowi umarła żona po to, by ten świeżo owdowiały młynarz ożenił się z ich nic nie znaczącą córką?!

Tylko owdowiała Sosia po Srułu rozprawiała długo z wielką zawiścią:

– Patrzcie, patrzcie, jaki niesprawiedliwy los pan Bóg mi zgotował! Gdy moja śliczna, mądra Esterke, mając spory posag wyszła za mąż za biedaka, to ta czarna wrona, ten strach na wróble, ten nie wyrośnięty kurdupeł będzie magnatką ze służbą z fajetonem niby jaka wojewodsza.

Rzeczywiście, nawet rodzice tej nowo zaślubionej młynarzowej byli zaskoczeni. Nie mogło im przejść przez głowę, że ich córka bez złamanego grosza, bez przyzwoitej sukieneczyny zrobi taką partię. Kogo lta, jej matka, nie spotkała, opowiadała, jaka to wielka zmiana zaszła w jej domu, jakby różdżka czarodziejska wszystko odmieniła, nawet sprzęty domowe jakby nabrały blasku, jakby się cieszyły, zwłaszcza wtedy, kiedy młynarza koń w skórzanej uprzęży nabijanej guzami, jak hrabiowskimi herbami, podjeżdża pod ganek. Do tego wylizwała na palcach: moja córka, na psa urok, żyje te-

raz jak Rotszylkowa. Jest gospodynią młyna, dużego majątku i traktierni. Do tego duży sad, pola i łąki. Ma też napchany kufer z bielizną, dużo jedwabnych sukien, jest pełna szkatułka z pierścionkami, łańcuchami i inne złote ozdoby, a wszyscy bogacze z całej guberni są jej męża krewniakami. Czy trzeba gubić nadzieję, gdy mamy takiego dobrego opiekuna w niebie?!

O jednym tylko młodej młynarzowej matka nie wspominała: że jej zięć, ten młynarz, jest stary, stary jak spróchniały grzyb, do tego ma charakter wściekłego psa, a w jego domu mieszka wiedźma z piekła rodem, matka jego zmarłej żony, którą w dodatku namiętnie nawet po śmierci młynarz kochał. Nie wspominała, że ta stara wiedźma z piekła rodem pilnuje lepiej niż żandarm tych jedwabii, i tych szkatulek, i wszystkiego, co tylko było w tym straszliwie zapuszczonym, od tygodni nie sprzątanym mieszkaniu.

Ryżego Jankla córka ma też swego rozwodnika. Wesele odbyło się ni to po cichu, ni to głośno. Na podwórku koło płotu roztawili chupę. Panna młoda w amerykańskim welonie, przysłanym przez dobrą ciotkę Tojbę, okrążyła siedem razy swego Chaskla. Rozbito z trzaskiem kieliszek, odtąńczono złoty taniec... I panna młoda zaraz na drugi dzień poszła na piechotę ze swoim Chasklem do własnego domku, kupionego tuż przed ślubem u Sirego, i zabrała się od razu do szycia, a jej mąż siedział obok, przyglądał się swej żonie i pokaszając głuchym kaszlem myślał o swoich płucach, w których zagnieździła się gruźlica na dobre, do której w najszczerzej rozmowie ze swoją ukochaną narzeczoną wcale się nie przyznał. Tylko faktor, co wziął niezgorszy procent z posagu za faktorstwo, był bardzo szczęśliwy, że udało mu się zlepić jeszcze jeden związek – „oby żyli szczęśliwie sto dwadzieścia lat!”.

W tym czasie, kiedy szły dni na spotkaniach z „szadchenami” [faktorami], na przygotowaniach weselnych i na kłopotach dnia powszedniego, w których nie brakowało kłótni, zatargów i szeregu innych zmartwień, więcej Żydzi całkowicie zapomnieli, że Hitler coraz szerzej otwiera paszczę, coraz głośniej wrzeszczy o tym, że światowe żydostwo zagarnęło wszystkie kapitały, że żydowska plutokracja jest winna, że panuje kryzys i że Niemcom brakuje przestrzeni.

O tych wrzaskliwych przemowach Hitlera rozpisywały się wszystkie gazety, ale kto miał czas lub ochotę je czytać? Po pierwsze – ciężko było wyjąć z kieszeni tych parę groszy, by ten „Hajnt” kupić, po drugie – po co sobie smutkami głowę nabijać, skoro i tak życie jest bardziej gorzkie niż zółć?! Lepiej już kupić „Dem Blofer”, przynajmniej czytając go można się uśmieć do rozpuku. Do tego można jeszcze dodać kilka sprośnych kawałów z własnej improwizacji, wtedy te anegdotki krążą z ust do ust i rozśmieszają ludzi do teź. Czy taki Szmul mógł się zastanawiać nad polityką światową i nad zgrozą, która zawisła nad całym żydostwem, skoro wstawał każdego dnia o świcie, naciągał na swoje zgarbione plecy wyszargany tułub i szedł od chaty do chaty, by kupić parę funtów żyta, semia, czy gryki lub kilka kur, aby je potem sprzedać dla Symchy z Włodzimierca, z mizernym zyskiem, by jego żona Chaje miała tych kilka groszy na chleb i na naukę dla chłopców? A miał tych synów kilku, a każdy miał otwartą głowę do nauki. Gdyby ich mógł posłać do Lublina do wielkiej Jeszuwy, żeby się uczyli u wielkich mędrców, każdy jeden z nich wyrósłby ku chwale bożej na wielkiego mędrca czy myśliciela. Lecz cóż, gdy pan Bóg daje szczerą ręką jedno, nie można żądać drugiego,

trzeba mu dziękować za to i być szczęśliwym, że nie wyrzucił się tych paru złotych, płaconych wiejskiemu mefamedowi [nauuczycielowi], że uczy ich trochę czytać i modlić się z modlitewnika i nieco rachunków, by mogli gdy podrosną obliczyć, ile kosztuje parę funtów zboża. A uczą się chłopcy na wyścigi, jeden mądrzejszy od drugiego. Starszy Kalman nie raz i nie dwa zaskoczy mefameda pytaniem, że biedak przez cały dzień obgryza paznokcie, łamiąc głowę nad odpowiedzią, której w żaden sposób nie jest w stanie rozszyfrować. I ten młodszy Szame godnie nosi swoje imię po myślicielu i jego głowa też się nadaje nie tylko do noszenia czapki. Szameł cały psalm umie wyrecytować na pamięć, a historię Żydów opowiada śpiewająco. Och, gdybym miał pieniądze – mawiał Szmiel – wysłałbym mego Szame do świeckich szkół, niechby był lekarzem, prawnikiem, czy historykiem, niechby był wykształconym człowiekiem! A ten najmłodszy Lejzorek jeszcze do szkoły nie chodzi, a już wszystko słowo w słowo powtarza za starszymi.

Zajętego takimi troskami, czy można było żądać od Szmulika, by się zastanawiał, co dzieje się o krok od polskiej granicy?

A Jakow Mojsiejewicz po śmierci swej żony, którą sam nie wiedział, czy kocha, czy nienawidzi, miał czas się nad tym zastanawiać? Była jego żoną, napłodził z nią dzieci, którym trzeba było dać godne utrzymanie ze względu, że się było kupcem, a nie jakimś tam łapserdakiem. Zaprzężony w codziennym kieracie, nie miał kiedy przyglądać się swej Kresie, czy jak siebie nazywała – Raisie, co siedziała beczynnie na obfitym jadle, składającym się ze słodkich ciast i tłustego mięsiwa dostarczonego wprost z koszernej rzeźni, do której Jakow Mojsiejewicz, jej mąż, dostarczał bydło rzeźne. Tak się Kresia z tego jadła roztyła, że zbliżyć się do niej w czasie nocnych igraszek było trudniej niż wspiąć na wysoką górę. Lecz mimo wszystko była jego towarzyszką życia, przyjacielem, dbała o niego, gdy wracał z drogi, witała go serdecznie, obsypywała pocałunkami, nacierała mu plecy pachnącym balsamem po umyciu, dawała czystą bieliznę, zarządzała domem, chowała dzieci i czytała na głos modlitwy dla wiejskich Żydówek – przynosząc tym samym zaszczyt domowi. Leży teraz Kresia, czy jak kto woli Raisa, w ziemi, a już nie Jakow Mojsiejewicz tylko zwyczajnie Jankiel został wdowcem i rozważa, jakie to było to życie z Kresią: dobre czy złe? Czy był szczęśliwy, czy też nie? Niemniej czuje się bardzo samotny, choć nie ma prawa narzekać, że nie szanują go dzieci. Chwała Bogu, bardzo go szanują.

Średnia córka Roza nie jest już smarkatą dziewczynką. Ma już swoje lata, powinna już kilkanaście lat wstecz mieć męża, dzieci i zarządzać własnym domem. Opiekuje się nim bardzo dobrze, dba żeby mu niczego nie brakowało, ale to go nie cieszy, bo codziennie jego oczy same się ślizgają po głowie córki, szukając siwych włosów. A jaki to smak może tylko wiedzieć ten ojciec, co kocha swoje dzieci. Często nocą wzdycha, gdy przez jego mózg przepływają zdarzenia z jego życia, niby zdjęcia w albumie, lub gdy rozmawia z Bogiem, przekazując mu swoje pretensje, kłócąc się z nim:

– Boże, czemu mnie karzesz tak srogo? Ja, który oddałem ci moje mieszkanie, by nasi wiejscy Żydzi mogli cię w dzień szabasu chwalić, ja, co hojną ręką wspierałem biednych – nie zasłużyłem u ciebie na żadną taskę?! Bijesz mnie, Boże, i bijesz jak Żydzi Hamana. Zabrałeś mi żonę, zapomniałeś dać

mojej córce męża, siwieje biedaczka, choć ma niezgorszy posąg i bardzo ładną wyprawę, a narzeczonego dla niej ze świecą znaleźć nie mogę. Nie pozwoliłś chyba, Boże, żebym dla mojej kochanej Róży, która jest taka szlachetna, wyszukał byle jakiego, takiego, jakiego znajdują dla odstraszenia cholery? Nie jest przecież ani ślepa, ani głucha, w jej ciele nie znajdziesz żadnej ułomności. Dlaczego więc zmuszasz ją, by się zestarzała w panieństwie?

Nieraz Jakow Mojsiejewicz, a obecnie zwyczajnie Jankiel, nie spał kilka nocy za koleją i prowadził z panem niebios takie przykre rozmowy... Więc cóż go mogły obchodzić szaleńcze przemowy Hitlera? On ich nie słuchał. Nie chciał nic o nich wiedzieć. Miał własnych trosk co niemiara, po co mu jeszcze były troski germańskich Żydów?

Wczoraj przyszedł taki jeden germański Żyd. Mówił, że jest bezdomny, że mieszkał w Berlinie, że Niemcy obrabowali go doszczętnie i wygonili z kraju. Owszem, Roza dała mu kolację, dwa złote na drogę i co można było zrobić więcej? Trudno nawet było z nim się porozumieć, mówił jakimś językiem, że sam diabeł by go nie pojął. Zresztą, czy mało oszustów chodzi po świecie? Codziennie całymi tabunami, z żonami płyną jakby rzeką z dużych miast. Jedni grają na piszczałkach, drudzy kradną, a inni robią jeszcze wiele o wiele gorszych rzeczy, o których lepiej nie wspominać. Za wybrane pieniądze kupują trunki i na polach wśród zbóż rozkładają się ze swoimi kobietami i uprawiają nierząd. Ale każdemu kto wyciąga rękę trzeba dać. Tak jest w Piśmie Świętym napisane.

Również i ryży kowal nie miał czasu się zastanawiać. Z natury małomówny, wiecznie zapracowany, nie miał nawet kiedy się uczciwie pomodlić i zjeść po ludzku śniadania. O czwartej rano, kiedy jeszcze prawie było ciemno, jak wchodził do kuźni, rozpałał ogień pod paleniskiem i dmuchał co sił starym kowalskim miechem, by ogień się szybciej rozpałał, by lemiesz lub obręcz dobrze się rozgrzała i stała się podatna pod młot, by wyszła z jego kuźni nie gorsza od tamtej, w którą wałą młotem młodzi silni kowale z pobliskiej kuźni, aż bębni w uszach pękają od tego dźwięku, co sięga aż tutaj. Do tego zazdrość szarpie za serce, że w tamtej kuźni jest nowoczesny wentylator z diabelską siłą, a tak leciutko kręci się, że wystarczy, by małe dziecko ujęło za korbkę i też by sobie poradziło. W dodatku ta nowoczesna maszyna, ze swoimi trybami i trybikami przyciąga chłopów, którzy dla samej ciekawości, by ją zobaczyć, przynoszą swoje pługi do remontu.

Jednego razu jego siostra, mieszkająca na drugim końcu wsi, zaszła do kuźni i usiadła na progu. Bardzo zmęczona, zaczęła jęcząc opowiadać, że jej starszy syn Aron chyba zwariował. Tak się przejął tymi niemieckimi Żydami, że budzi się nocą i głośno płacze, że aż ją ciarki po plecach przechodzą. Nie płacze, tylko po prostu wyje jak nie przyrównując pies przed pożarem. A wszystko to przez te przekłete gazety, w których wypisują takie straszne rzeczy. Chyba te cholerne piśmida padły mu na głowę.

– Wstaję z łóżka, idę do niego, siadam i proszę, błagam: synku nie przejmuj się, co cię mogą obchodzić takie dalekie sprawy? Po co się zabijasz? Dlaczego bierzesz na swoje barki takie rzeczy, które są dla nas obce? Tłumaczę mu, uspokajam go, jak mogę, a on swoje: że myślimy tylko jak napchać kałdun kartofami, że niedługo mało kto z nas żywym zostanie, że nasze kości będą psy po ulicach rozciągać. On zupełnie zgłupiał! On przemawia tak, jak ten prorok Jeremiasz na zgłiszczach

Jerozolimy. Poradz, bracie, co mam robić z tym chłopcem, który napełnił głowę takimi okropnymi myślami?

– Co mogę ci poradzić, kochana siostrze? – odpowiedział kowal. – Ja sam mało nie zwariuję. Mam już swoje sześćdziesiąt lat i pracuję w tej kuźni samotnie jak palec. Czasem tylko Muszka, moja córka, pomoże mi wycentrować koło, lecz nawet chłopcy się ze mnie śmieją, że uczę dziewczynę kowalstwa. Parę lat wstecz, to jeszcze nikt specjalnie na małą dziewczynkę uwagi nie zwracał. Ot, kręci się wokół osi niby dla zabawy. A teraz już wyrosła. Jest już panną na wydaniu i jak to wygląda, żeby się kręciła niby koń w kieracie? I pomyśl, siostrze: haruję, haruję, nie dojadam, nie dosypiam, do tego uczciwie się nie modlę, bo kiedy mam się modlić, jak stoję tu nad kowadłem od świtu, do nocy? Spójrz, siostrze, na moje ręce: są przeżarte węglem i żelazem, że w bożnicy wstydę się dotknąć nimi naszą świętą Torę, bo są takie twarde i gruzłowate. Boję się, by pod ich dotykiem nie połamał się pergamin, nie wykruszyły litery. I jaką korzyść mam z mojej harówki? Uskładałem trochę grosza, trochę nasza dobra siostra przysłała z Ameryki i jakoś wydałem moją Chasię za męża. Myślałem: dzięki Bogu o jedną córkę mniej. Zostało mi jeszcze tych kilka młodszych, ale nasz dobry Bóg i tamtych nie opuści. I co się okazało? Że cały posąg mojej córki pójdzie na psi tłuszcz, bo jej mąż ma dziurawą płuca jak sito. I z mojej całej radości zostało tylko wielkie rozczarowanie i jezioro łez. Do tego jeszcze ogromny żal, że ta najlepsza, najczulsza córka, wkrótce zostanie wdową, wróci z powrotem do mego domu bez grosza przy duszy, bo jej cały uciulany posąg rozlizie się na psi tłuszcz, na lekarzy i na pogrzeb. A ty Lejo, siostrze moja najdroższa, przychodzisz do takiego nieszczęśnika jak ja prosić o radę, gdy sam sobie poradzić nie mogę. Dlatego nie chcę słyszeć o żadnym Hitlerze, o żadnych złych wiadomościach krajowych, zagranicznych, ani twoich.

Ociężała Leje wstała z progu. Owinęła się szczelnie chustą i odeszła jeszcze bardziej zmęczona usłyszaną od brata nowiną, co wcale nowiną nie była. Przecież od dawna podejrzewała, że z Chasi mężem jest niedobrze, skoro w czasie spaceru z Chasią sapie jak stary kowalski miech. I ten głuchy kaszelek wydobywający się z płuc jak z pękniętego garnka, i te podbarwione płwocinki dyskretnie wycierane chusteczką, te kropelki potu na czole niby rosa, i te błyszczące oczy, w których widoczna jest gorączka...

Oj, Chasie! Chasie! Co ci po takim mężu, którego od pierwszego dnia po ślubie musisz pielęgnować? Wsadziłaś swoje zdrowe ciało w chore łóżko i jeszcze musiałaś dużo dopłacić do tego kiepskiego interesu.

Oj, Chasie, Chasie, czemu od razu nie spostrzegłaś, że twój naręczony to żaden mężczyzna, tylko nadpsuty owoc? Prawda, od swego losu nigdzie uciec nie mogłaś, niemniej mógł te szadchena pierwszej szlag trafić, nim ci wyswatał gruzlika...

I jeszcze szereg innych trosk było w tym czasie we wsi, których pominąć nie można. Prawie w każdym żydowskim domu coś się działo, a działo się źle, jakby boży gniew utorował sobie drogę i trafiał nie gdzie indziej, tylko do ich domów.

Oprócz tego, że umarł Fiszke i jego bratowa Kresie, przez co wiejskie Żydówki utraciły swoją lektorkę, co im tak ładnie czytała psalmy i inne modlitwy, najpiękniejsza panna we wsi, Gołde, zaczęła wygadywać, po prostu wypluwać z siebie takie słowa, że aż strach było słuchać. W dodatku ro-

zebrała się i nago zaczęła obnosić swoje grzeszne ciało po ulicy, a szczególnie wtedy, kiedy byli mężczyźni w pobliżu. A gdy próbowano ją ubrać, złapała siekiere i chciała wszystkich zarażać. Cała wieś żydowska zatrzęsła się ze zgrozy. Kto by pomyślał, komu przeszło przez głowę, że taką zdrową, taką piękną – która z dziewcząt we wsi mogła się pochwalić taką figurą i takim ogólnym wyglądem?! – opęta giłgut i wyprawia z nią harce... Gdy biegła przez wieś ubrana w piękną, czerwona w czarne kwiaty suknię, opasana szerokim jedwabnym pasem, niosąc wysoko głowę – kto pomyślałby, że Golde nie idzie na własnych nogach, tylko nieczysta siła ją niesie?!

Mało tego, Gina, wielce udana panna, która kręciła całą wsią, co najpiękniej się ubierała i umiała się po miejsku wyrażać i prowadzić z policjantami dyskusje w obronie wiejskich Żydów, zaszła w ciążę nie mając jeszcze męża, choć Michele smark nie wyłaził z jej domu. Lecz cóż to za narzeczony dla wiejskiej inteligentki, Michele smark, tym bardziej ojciec jej dziecka, skoro jeszcze nawet matczyne mleko ze swych ust nie obliżał i ani odrobiny węża nie ma pod nosem? Czy to możliwe, by ten Michele smark mógł zrobić taki szpas? Nie, to niemożliwe, zgadzają się wszyscy Żydzi we wsi. Ale kto tam może wiedzieć, z kim to Gina się zadawała. Czy to takie trudne, gdy żydowska córka straci poczucie godności?

Oprócz tego Josele z ryżymi włosami jak płomień. Choć był „a am orec” [nie umiał czytać], za to miał bardzo dobre serce. Nigdy nie odmówił nikomu pomocy, pomagał czym mógł swoim bliźnim. Był tak samo, jak królowa Ester, która oczarowała perskiego króla Achaszwera. Pomimo że król Achaszwer modlił się do bożków, a nie do prawdziwego, jedyne Adonai [Boga], Ester nie grzeszyła, gdyż swoją urodą służyła swojemu narodowi, wybawiając go z Hamanowych rąk.

Josele z czerwonymi włosami jak płomień też oczarował piękną wdowę po młynarzu i tym samym stał się współnikiem wdowiego majątku. I cóż dziwnego, że zrobił się światowcem, bywalcem wielkomijskich kabaretów, skoro wdowa nie zamykała przed nim swojej kasy, która nigdy nie była pusta... Mógł więc Josele pozwolić sobie na kupno drogich francuskich pachnidła, na giemzowe buty z cholewami lub lekkutkie jak piórko futerko, czy na smoking, w którym wyglądał jak istne książętko, co miało otwarte serce na jałmużnę. Broń Boże, Josele nie rzucał groszaków żebrakom, tylko pięciolub dziesięciozłotówki, a czasami nawet dwadzieścia złotych włożył w żebraczą dłoń, o wiele więcej niż niejeden bogobojny bogacz. W dodatku na Symchas Tojre [radosne święto z okazji zakończenia cyklu czytania Tory] kupował zawsze kilka butelek przedniego wina, by miejscowi Żydzi w tym jednym jedynym radosnym dniu w roku popili sobie fest.

Czyż można było mieć do takiego dobroczyńcy pretensję, że zadaje się z wdową po młynarzu, skoro nie zapomniał kim jest, skoro regularnie przychodził do bożnicy na nabożeństwo? I oto grom z jasnego nieba. Przyjechała policja z prokuratorem, obstawili młyn. Wdowę po młynarzu skuto w kajdanki i posadzono na jedną furmankę, skutego Josele z włosami jak płomień na drugą; obok nich uzbrojona po zęby obstawa i powieźli do Równego, do więzienia dla największych przestępców.

We wsi konsternacja, domysły. Czym się wdowa po młynarzu zajmowała? Komunizmem? Po co jej był komunizm, skoro była posiadaczką doskonale prosperującego interesu i żyła niczym bogata grafinia? Więc Josele z płomiennymi włosami

nie tylko obsługiwał młodą wdowę w łóżku, lecz jeszcze miał jakieś zatrudnienie... Ale jakie?

Tymczasem Josele z płomiennymi włosami wrzucono do celi, w której odsiadawali swoje wyroki najgroźniejsi kryminaliści, do tego różni recydywiści, którym mokra robota służyła jako etykieta „godnej przeszłości”. Właśnie do nich trafiło to chłopiętko o delikatnych rączkach. W dodatku te czerwone jak płomień kędziory, które stały się z miejsca obiektem, tarczą, do której kuksańcami strzelano bez pudła. No więc ta zabawa długo nie trwała i Josele ze złotymi kędziarami i delikatnymi rączkami nie wytrzymał. Wkrótce umarł i pochowano go tam gdzieś, gdzie przeważnie chowają tych, co umierają w celi. Jego matka, Sosia z Kołk, dostała zawiadomienie, że taki a taki więzień zmarł i został pochowany na koszt państwa.

Tymczasem we wsi wzdychano i liczono na palcach, ilu to już Żydów ubyło. Niedługo, a nie będzie nawet tych dziesięciu niezbędnych mężczyzn do odprawiania nabożeństwa. Z załem wspomniano świetlaną przeszłość, kiedy w oknach świeciły się piątkowe świece, kiedy w Purim chodzili po wsi przebierańcy, a w Symchas Tojre pito wino, odwiedzano się po mieszkaniach i wyciągano kugle z pieców. A teraz wszystko upada, wszystko niknie, wszystko zamiera.

Ten umarł, ta zwariowała, tamta urodzi nieślubne dziecko, tamten został zabity w więzieniu, jeszcze ktoś wyjechał na stałe za granicę, a na wsi całkowicie ginie stary obyczaj...

Choć nikt w owym czasie nie poświęcał większej uwagi międzynarodowej polityce i każdy jak mógł odpychał od siebie złe wiadomości, które jednak od czasu do czasu napływały, to mimo wszystko czuło się w powietrzu, że nadchodzi burza.

Ktoregoś dnia przyjechał do Jankusia Symche z Włodzimierca i radził mu w sekrecie, by wymienić obiegową walutę na złoto lub dolary. Jak najwięcej złota – podkreślał z naciskiem – a co lepsze czy wartościowsze rzeczy koniecznie w dobrym miejscu zakopać, do tego zrobić duży zapas soli.

– Mówię wam, że sól będzie na wagę złota. Za sól dostaniesz wszystko. Przysięgam – podniósł dwa palce w górę – że za sól reb Jankuś wykupisz się nawet od diabła.

Długo siedzieli przy dużym stole i rozmawiali. Syś dołączyła do nich i przy herbacie zaczęła dogłębnie sondować Symche, któremu choć niezupełnie, lecz musiała wierzyć. Symche, bądź co bądź, nie był Żydem wiejskim, lecz miasteczkowym, ponadto jeździł często w sprawach handlowych do Równego i do Łodzi, a najważniejsze, że nie był głupi. Syś nie spostrzegła, by kłamał. Skoro twierdzi, że będzie wojna, trzeba mu wierzyć, lecz trudno sobie wyobrazić, jaka ta wojna będzie.

– Więc twierdzisz, reb Symche, że wojna na pewno wybuchnie? To jest już pewne, że się nie pogodzą i że lepsze rzeczy trzeba koniecznie gdzieś schować? – wlepił Jankuś swoje małe świdrujące oczka w twarz Symchy.

– Przysięgam wam, reb Jankuś – bił się Symche w pierś – jak jestem Symche, że tylko patrzeć, jak się zacznie taka siekanina, taka bitwa, że trudno będzie znaleźć jakąś norę, by się w niej schować.

Ja już sobie zrobiłem taki schron w piwnicy, w którym w czasie nalotów będę się mógł ze swoją rodziną przechować. Radzę wam, reb Jankuś, też coś takiego zrobić, by w razie czego można było przesiadzieć, przeczekać nim samoloty odlecą. Musicie wiedzieć, reb Jankuś, że ta wojna nie będzie taka sama jak w czternastym roku. Ta wojna będzie całkiem

inna. Ona nie będzie co prawda ciągnęła się latami, tylko raz, dwa, najwyżej pół roku, nu, może rok, i koniec. Ale za to będzie takie spustoszenie, taki potop, że nie daj Boże! To będzie straszliwy potop, choć pan Bóg dał słowo Noemu, że więcej świata topić nie będzie, a jednak zaleje go po raz drugi.

– To po twojemu reb Symche i pan Bóg słowa nie dotrzymuje? – wtrąciła Syśł, przerywając na chwilę własne myśli, w których się zastanawiała, gdzie by to najlepiej schować najwartościowsze rzeczy.

– Nie twierdzą – pokręcił energicznie głową Symche – że nasz stwórca nie dotrzymuje słowa, ale teraz wymyślili takie wielkie samoloty, które zabierają setki bomb, więc jakże może pan Bóg dotrzymać obietnicy, skoro nie ma takiego wykształcenia jak hitlerowcy. Owszem, pan Bóg się zna na wielu rzeczach, lecz na nowoczesnej inżynierii czy matematyce on się wcale nie zna – wykrzywił Symche usta w smutnym uśmiechu.

– Głupi jesteś, Symche, i twoje wywody są głupie! – krzyknął Jankuś, czerwieniąc się na twarzy ze zdenerwowania. – Pan Bóg wysuszył morze, gdy chciał Żydów wyprowadzić z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Gdy zechce, to zniszczy samoloty, a bomby zamiast lecieć do nas, wrócą i zniszczą własne domy. Wszystko, reb Symche, jest w rękach Boga i jemu, tylko jemu trzeba ufać i głęboko w niego wierzyć.

– W każdym razie – rzekł Symche nie zbity z tropu – trzeba się do tych ciężkich chwil dobrze przygotować. Trzeba koniecznie mieć pewną ilość sucharów w plecaku, kłaść ubranie pod głowę i być gotowym do ucieczki. Przysięgam, że to nie

będzie to samo jak w czasie pierwszej wojny światowej, że na froncie trochę popukali, a tu u nas na tyłach jak u pana Boga za piecem: Syśł bułki piecze, rybę gotuje, Jankuś pędzi samogon, żołnierze przychodzą, kupują, złotymi rubelkami płacą interes idzie, że lepiej nie trzeba... Teraz będą strzelać z góry z dołu. Kule armatnie, rozpylacze ognia, bomby, gazy. Taka pięciopudowa bomba nadziana trotylem, dynamitem i czym tam jeszcze, a gdy nie daj Boże spadnie na dach, cały dom się zawali, a w tym miejscu, gdzie stał budynek, zrobi się wielka jama, w której pojawi się woda jak w jeziorze. Z tej wsi, jak jestem Symche, może pozostać wielka kupa gruzów, wystarczy tylko pięć takich bomb, a wszystkie budynki się rozleczą.

– Oj wej, Symche – krzyknęła Syśł łapiąc się za głowę. – Skąd się wzięły u ciebie te straszne sny? To wszystko, co powiadasz, Symche, to nic innego, jak zły sen. Gotowa jestem się rozchorować, dostać apopleksję od twego gadania. Powiedz mi, reb Symche, skąd czerpiesz te straszne wiadomości?

– Mówię wam, że to żadne sny – krzyknął Symche zrywając się z miejsca. – To rzeczywista prawda. Mam oczy otwarte, do tego często rozmawiam ze światłymi ludźmi, słucham, co oni mówią, ponadto czytam prasę i różne książki, które piszą, że po tej drugiej wojnie ludzie rozproszą się po całym świecie, że najbardziej ucierpią Żydzi, bo Hitler – szlag by go trafił! – twierdzi, że Żydzi są wszystkiemu winni. Skoro ten Hitler tak mówi, możemy się spodziewać, że dostaniemy od niego tych siedem egipskich plag.

ZOFIA GRZESIAK



Przed piecem garncarskim w Pawłowie.

Repr. fot. z przewodnika Kazimierza Czernickiego *Chełm, przeszłość i pamiątki* (Chełm 1936)

Felieton obrazkowy

SKŁAD
MATERIAŁÓW DRZEWNYCH
N. FRIDMAN
CHEŁM, UL. REFORMACKA 19.

Oferta



SKŁAD WĘGLA, KOKSU
I DRZEWA MATERJALNEGO
Moszka Friedmana

w CHEŁMIE,
ul. Lubelska № 36.
Dom własny.

SPRZEDAŻ DRZEWA
BUDOWLANEGO I OPAŁOWEGO
L. FURSZYFER

CHEŁM,
ul. Reformacka № 21.

Di

Adres telegr.:
„FURSZYFER CHEŁM“.

Chełm, dn. 8 lipca 1921 r.

SPRZEDAŻ
Materiałów drzewnych
STOLARSKICH, CIESIELSKICH, STÉLMACHSKICH i t. p. w RÓŻNYCH GATUNKACH

R. KUPFERSZTOK

CHEŁM, ul. Reformacka № 7.

Firma egzystuje od 1899 r.

SKŁAD WĘGLA i DRZEWA
SZ. GLINCMAN

Chełm, ul. Lwowska № 10.



SZ. GLINCMAN

Hurtowa i detaliczna sprzedaż
WĘGLA, KOKSU i DRZEWA

Tel. _____

SKŁAD DESEK
I MATERJAŁÓW BUDOWLANÝCH
H. HOLCMAN

Chełm, ul. Sienkiewicza 1.

Adres telegr.: „HOLCMAN, CHEŁM“
Reformacka 29.

Porozumienie z

Przez P. Claremontier

4/8 2 1/2 0067 a 60

Chełm, dnia 12/11 1921 r.

SKŁAD
MATERIAŁÓW DRZEWNYCH

J. S. Goldrajch

CHEŁM

ul. Seminaryjska № 17

mieszk. przyw.

ul. Sienkiewicza № 8.

Adres dla Japosa:

Goldrajch Chełm, Sienkiewicza 8.

SKŁAD DRZEWA MATERJALNEGO

P. LIPSZYC, CHEŁM

ul. Pocztowa № 36. (mieszk. Krubieszowska 4.)

Sklep żelaza, cementu, smołowcu, papy i blachy

N. KERSZENBAUM

CHEŁM, RYNEK 32.

Chełm, dn. 7/5 1921 r.

Międzywojenny handel w Chełmie był na swój sposób tak gadatliwy i ciekawy, że uznaliśmy za pożyteczne poświęcenie mu kolejnego wydania „Felietonu obrazkowego”, który zresztą pragniemy redagować wspólnie z Czytelnikami, licząc już wszakże na tematykę współczesną, z okresu po II wojnie światowej. Publikowane powyżej druki firmowe i reklamy wybrał i zreprodukował p. Andrzej Piwowarczyk

Złote zęby i takie czasy

Czasy takie, że spać szkoda. Historia brutalnie wciska się w naszą świadomość, nie tylko obywatelską. Drzwiami i oknami pcha się do domu. Od gazet trudno się oderwać, co jedna – to ciekawsza. Widać, jak dziennikarze boją się likwidacji swojego tytułu i widma bezrobocia. Od telewizora też żal odejść, bo nigdy nie wiadomo, kiedy na ekranie pojawi się twarz od kilku lat nie oglądana. I zaraz lżej człowiekowi na duszy, że nie tylko zwykli ludzie się zmieniają. Tym niezwykle też wypadł jakiś ząb, przybyło zmarszczek i ... męczeńskiego nimbu. A kiedy zgaśnie ekran, jeszcze radio nadaje, nadaje...

Jeden naród obala mur w strumieniach szampana, inny znów zaczyna od świeczek i składania kwiatów na placach. A my? My już dawno mamy to wszystko za sobą. Możemy być dumni, że pierwsi weszliśmy w fazę rozwoju społeczeństwa handlującego gdzie się da, czym się da i jak się da. Co nas obchodzi reszta świata? Przecież premier z kanclerzem modlą się za nas, błogosławi nam papież, a Wałęsa zbiera dla kraju twarde pieniądze. Z czystym sumieniem można wreszcie zadbąć o własny interes!

Niektórzy wpadli na ten pomysł o wiele wcześniej. Dzięki temu całkiem niedawno Grecy i Włosi nie wpuszczali nas do siebie, Węgrzy inwigilowali, a Czesi wypędzali. Wtedy był jeszcze stary świat, stary ład, w Polsce stary rząd, a u rodaków – już nowy zmysł organizacji handlu międzynarodowego. Teraz wszystko się zmienia, z wyjątkiem tego ostatniego. Słychać głosy, że w tym interesie jesteśmy lepsi od Żydów. Jednakże to też nie jest takie oczywiste.

Niedawno Hanna Krall obwieściła światu, że „Rozenfeld wrócił”. Zaiste, wrócił. Odańczył z Rosiewiczem na rynku w Lubartowie jakiegoś żydowskiego krakowiaka. Mnie też omotal kadzidlany dym z jego tulacznej fajki. Ale co ja słyszę? Rozenfeld dookoła rozpowiada (nawet w telewizji!), że w Izraelu Żydzi nie zajmują się handlem! Handlem zajmują się Arabowie. Oni są teraz tam jak Żydzi! Zaskoczony takim obrotem sprawy Rozenfeld niczego nie kupił, niczego nie sprzedał, napisał trochę wierszy i wrócił. Pytam się więc, od kogo my teraz jesteśmy lepsi?

Na pewno nie od konkurencji, która traktuje nasz teren jako swoją pierwszą „zagranicę” i w dodatku nazywa ją kapitalistyczną. Dziadek mówił (mój dziadek Antoni), że przed wojną wszystko było lepsze, nawet telewizja, choć ledwie raczkowała na drodze pierwszych eksperymentów. Tu trochę się zagalopował, ale ja mu wierzę, że gdyby była „naprawdę”, byłaby lepsza. Na pewno nie byłaby jedna, a konkurencja ma swoje dobre strony. Dziś w Chelmie przy Lwowskiej konkurencja spycha się nawzajem z chodnika, ale w cenach trzyma się razem. Wszyscy jednakowo śpiewnie zaciągają, więc nie poznasz, kto jest nasz, a kto z tamtej strony rzeki. U jednych i drugich towary też takie same, to znaczy – to, czego u nas normalnie nie ma. Chcesz drobiazgi do kuchni? – proszę bar-

dzo: „kofiewarki”, młynki, jakieś skorupy, „zażygalki do gaza”, a i „rubli kupisz” taniej niż w banku. Jednym słowem – „wielki świat” pod gołym niebem! To nic, że w blocie i na plecach jeden drugiemu siedzi. Czy niedzielny bazar w Pireusie lepszy od naszego? Jazgot tam taki, jakby ich ze skóry obdzierali. Normalny człowiek tego nie wytrzyma, bo myśli, że oni wszyscy się kłóć. A u nas spokój, kultura i europejska celebra. Nikt niczego nie wacha, zębami nie próbuje, co najwyżej złoty kiel w uśmiechu pokaże.

Zanim świt rozbłyśnie, a z wież rozlegną się niedzielne dzwony, przed stadionem w Chelmie, na placu w Białej Podlaskiej i w amfiteatrze zamojskim kłębią się tłumy z wszelkim dobrobytem. Handluje, kto w Boga wierzy i nie wierzy. Dywany ścielą się gęsto, jednych nęcą pierścionki, dla uboższych są nocne rubaszki w czerwone kwiatki i ciężkie łyżki stołowe cięte w podrabiane złoto. Pomiędzy nimi wilk goni zająca i plastikową kukłę w krasnym kapturku. Kto chce – kupuje, kto nie chce – frajer. I jeszcze opóźnia nasze wejście na światową arenę wspólnego rynku ekonomicznego. Pieniądz lubi być w ruchu.

Jednym się wydaje, że to upodabnia nas do cywilizowanego Zachodu. Inni czują, że są bliżej Wschodu. Mam wrażenie, że oni wszyscy otarli się o nauki świętej pamięci Mirosława Dzielskiego i nic z nich nie zrozumieli, wręcz je wypaczyli. Ten znakomity publicysta przez ostatnie lata przekonywał, że o naszym losie nie zadecyduje demokracja ani swoboda wieców i pochodów, tylko powrót do prywatnej inicjatywy w każdej dziedzinie życia gospodarczego. I ja gotów jestem w to wierzyć. Tylko jak dotąd, prywatna inicjatywa rodaków objawia się zazwyczaj w dzikim handlu – bylejakością. Nawet chelmski dom kultury dostrzegł w tym szansę dla siebie i wymyślił „Jarmark u Pegaza”. Niektórzy myśleli, że to będzie koński targ. Dopiero po tygodniu ogłoszono, że w placówce nie wolno sprzedawać butów, odzieży, złota, waluty, części samochodowych, sprzętu domowego... To czym handlować? – pytali ci, którym odebrano inicjatywę. – Książkami? Nie ma głupich! I poszli tłumnie na bazar.

Ja też mam prywatną inicjatywę, ale boję się wychylić, bo mnie wyśmieją. Taki już dziś naród, że nie uszanuje żadnej świętości i za nic ma szlachetne cele. Nawet książek z poezją nie kupuje. Nie powiem, bo jeszcze kto pomyśli, że chce potargać tradycyjne więzy bratniej przyjaźni między narodami. Uśmiecham się więc w duchu jednym złotym ząbkim (stamtąd przywiezionym) i podgrzewam ciało olejowym grzejnikiem z Lucka. Dziś już nikt mi nie wmówi, że sąsiedzka pomoc jest czczym wymysłem polityków. Wręcz przeciwnie – wreszcie przybrała realną postać. Aby się o tym przekonać, wystarczy tylko wyjść na miasto, które Chelmem się nazywa.

Hera

Okolice sztuki **FIAC**

Kilka miesięcy po pobycie w Moskwie pojechałem do Paryża, gdzie trafiłem akurat na otwarcie Międzynarodowych Targów Sztuki Współczesnej (FIAC), które zainicjowano kilkanaście lat temu.

Targi odbywają się w ogromnej sali Grand Palais, liczącej 15 tys. metrów kwadratowych powierzchni i ponad 40 metrów wysokości, nakrytej przeszklonym ażurowym dachem, który opiera się na stalowych filarach. Wzdłuż ścian, może 10 metrów nad parterowym „boiskiem”, biegnie szeroka galeria, także wykorzystywana pod ekspozycje. Spojrzenie z tego miejsca w dół umacnia człowieka w przekonaniu, że znajduje się we wnętrzu jakiego monstrualnego dworca kolejowego, do którego w kłębach pary wtoczy się zaraz „Orient-Express”.

Grand Palais wzniesiono z okazji Wystawy Światowej 1900 roku, a więc wtedy, kiedy architekci z dziecięcym jakby zapałem odkrywali nowe możliwości kształtowania przestrzeni przy pomocy konstrukcji stalowych, żelaznych czy żelbetonowych. Cała budowla jest przecież eklektyczna.

Na FIAC ściągnęło w tym roku 156 galerii, w tym 80 francuskich i 76 z 15 krajów świata – od USA po Koreę Południową, co gospodarze odnotowali ze zrozumiałym zadowoleniem, jako że w poprzedniej edycji targów wzięło udział o ponad 20 galerii mniej. „To euforia, Paryż odnalazł swoje miejsce na międzynarodowym skrzyżowaniu” – z emfazą ogłaszał „Le Figaro”, mając naturalnie na uwadze węzeł dróg artystyczno-handlowych.

Francuzi skwapliwie umacniają się w przekonaniu, że FIAC już jest konkurencyjny wobec bogatych targów sztuki w Chicago czy Los Angeles. Tymczasem zainteresowanie Ameryki Europą nadal chwali się skromnością; w Paryżu wystąpiło tylko pięć galerii nowojorskich, w tym po raz pierwszy Lang and O'Hara, i jedna z Bostonu, a przecież byle kowboj wie, że Wschodnie Wybrzeże jakoś nie przystaje do „prawdziwej” Ameryki, rozciągającej się dalej na zachód.

Francuzi twierdzą, że krajowa i międzynarodowa opinia profesjonalistów i szerokiej publiczności już FIAC'88 uznała za „najpiękniejsze i najlepsze targi świata” (132 tys. zwiedzających i 3140 mln franków obrotu), ale po prawdzie mamy do czynienia z imprezą zachodnioeuropejską. Oprócz wspomnianych galerii amerykańskich „resztkę świata” reprezentowały obecnie tylko pojedyncze instytucje tego rodzaju z Brazylii, Korei Południowej i Meksyku. Wśród zagranicznych galerii dominowały zachodniemieckie, które przedstawiły się w Grand Palais w liczbie 23, wspomagane „restauracją niemiecką”, gdzie waz sprawozdawca wydał nieopatrznie około 60 franków, choć przymierzał się do straty nie przekraczającej połowy tej kwoty.

Osobiście pochwalam jednak tę francuską skłonność do samochwalenia się, bezboleśnie ulokowaną w reklamowej metodyce zachodniego biznesu, wręcz w tamtejszej obyczajowości. Po prostu skromność nie popłaca, również na rynku sztuki.

Wernisaż FIAC (6 października ub. roku) ściągnął do Grand Palais bodaj kilkanaście tysięcy osób, które niczym wyjątkowo żwawe i dyskretnie eleganckie mrówki rozpełzły się po stoiskach poszczególnych galerii, przypominających białe kioski bez dachów, przylutone do siebie ścianą w ścianę i zgrupowane po kilka sztuk w jednym segmencie. W każdym stan-

dzie czekały na gości butelki z winem, wódką i whisky. Alkoholami i drobną przekąską częstowano jednak chętniej te osoby, które zostały imiennie zaproszone na wernisaż konkretnej galerii, opędzając się jakby od ludzi postronnych, zaopatrzonych jedynie w bilety wstępu – po 100 franków sztuka. W zwyczajnych dniach targowych bilet taki kosztował też sporo, bo 45 franków, czyli tyle, ile należy wydać w Paryżu na skromny obiad z piwkiem. Za okazały katalog FIAC domagano się 180 franków, nie tanie były również czasopisma artystyczne i książki, wyłożone na straganach renomowanych wydawnictw światowych, rozlokowanych w większości przy wejściu do palacu. Panie handlujące tym efektownym towarem miały twarze perfekcyjnie wymalowane, czego oczywiście nie można powiedzieć o wydawcy francuskiego magazynu „Kanal” (publikuje m.in. teksty o twórczości Tomka Kawiaka), który zresztą okazał się człowiekiem impetycznym i na serio, nie stroniącym od słownictwa używanego np. przez bywalców chełmskiej „Oazy”, kiedy przyszło mu bronić dobrego imienia Beuysa przed atakami kilku panów z publiczności. C'est la vie! – artystyczne.

Oprócz nieszczęsnej (dla mnie) re. tauracji niemieckiej pod przeszklonym dachem Grand Palais czynne były inne takie przybytki, oferujące jadło i alkohole.

Wszędzie, w każdym miejscu targów wolno było palić papierosy, nie dbając zbytnio o umieszczenie niedopałka w popielniczkę.

Publiczność mogła odwiedzać FIAC od godz. 10.00 lub 12.00 do 19.30, a jednorazowo – aż do 23.00 i zawsze wtedy funkcjonowało biuro prasowe imprezy.

Przez wszystkie dni FIAC (6 – 15 października) do kas Grand Palais ustawiały się długie kolejki, posuwające się zresztą do celu w tempie wprost dla nas niewyobrażalnym, bo tak szybko.

Jeśli zaś idzie o wolumen estetyczny dóbr wystawionych na FIAC, to mogę tylko tyle powiedzieć, że obejmował on wszystko: obrazy, rysunki i rzeźby klasyków sztuki nowoczesnej (Picasso, Braque, Matisse, Klee, Malewicz, Schwitters, Hartung) i artystów całkiem współczesnych, łącznie z neue wilde, transawangardą. Znamienne przy tym, że najczęściej kupowano sztukę figuratywną, przyprawioną symbolicznie lub metaforycznie, a obiekty powstałe w ostatnich czasach, zwłaszcza rzeźba, chwaliły się wyśmienitym warszatem i szlachetnym na ogół tworzywem.

Wśród prac, które szczególnie zapamiętałem, był projekt wielkiej instalacji transkontynentalnej, zbudowanej z kilometrowych szeregów około tysiąca niebieskich i żółtych parasoli sześciometrowej wysokości, przebiegających od Japonii do Kalifornii, z wyłączeniem rzecz jasna oceanu. Autorem tego projektu jest Christo (Javacheff), wiadomo że słynny artysta rodem z Bułgarii (ur. 1935), z której dawno temu wyemigrował. Obecnie mieszka w USA, ale syna ochrzcił nie imieniem jakiegoś Johna, lecz Cyryla. Jego instalacja ma sens uniwersalny, symbolicznie jedynający rasy i narody – co stwierdzam z tym większą satysfakcją, że przez kilkudziesięciosobowy team Christo (elektronicy, prawnicy, bankowcy, spece od marketingu etc.) uznany zostałem za przyjaciela artysty i ciągle zapraszany jestem na wernisáže jego wystaw. Miłe to, choć samego Christo nigdy nie widziałem i na żadnym wernisażu nie byłem – powiedzmy, że z braku czasu.



EDA

Michałowi

Wiesz jesteś bardzo miły
i masz takie światełka
w oczach jakbyś był dzieckiem
szczególnej troski u Boga pozwól
zanurzyć ręce

*Lublin, 20 maja R.P. 1989
nocą mrużąc ślepią z rozkoszy*

*

Dlaczego kobiety są płochę
i mają tyle miejsc ucieczki Co
piegus piegów na talerzu i skąd
się biorą łzy Dzieci
chodzą własnymi drogami Matka matce
zagląda do wózczyka z mordoklejką
w buzi Gubi maluch smoka Nu czego
się gapisz

*Lublin, 21 maja R.P. 1989
zraniona w prawe skrzydło słowem*

*

Sity z człowieka uchodzą wraz
z wiekiem a ręka Wszchemocnego
uniesiona wysoko nad wszelkim bytem
Trwa żyj tak ażeby ojciec twój
w grobie czy na polu wsparty
o kosę W oczach miał ten błysk
szczęścia

*Lublin, 8 maja R.P. 1989
robiąc silne zamieszanie wokół siebie
z powodu skazy na umyśle*

*

Nieidealni ludzie idealną miłością
kochając zarywają pół nocy Ślubują
czego nie mogą wypełnić rzną
witki na fujarki Ciężarki spuszczają w
Otchłań oczu toczy robak jabłko
lecz ty przykłady zeń nie Bierz

*Lublin, 19 maja R.P. 1989
udupiona porannymi zakupami*

Michałowi

Włóczęga to jest takie zielono
okie atmosferyczne zjawisko które
ma niesłychaną łatwość nawiązywania
kontaktów z przydrożnymi drzewami
oraz wszystkim Co żyje
za wyjątkiem człowieka chociaż
z Tobą myślę mogłabym wysiadywać
matę

Lublin, 22-23 maja R.P. 1989

OSTROWSKA

Dzisiaj byłam u Michała
i się śmiała Polska cała
katolicka Co ja widzę
w tym Michale niech pomyślę
Przez twarzę ocean żegluję
księżyc kapitalny towarzysz
marzeń Psia trawka tego wytłomaczyć
się nie da na gihawajta Ba
lamuta

Lublin, 11/12 czerwca R.P. 1989
nocą klęcząc w postawie karmelitańskiej
na szmatce z adamaszku

Ja se ide i tapię wiatr do mieszka
słońce stoi w zenicie Szprycha
błyszczy Ogniste konie galopują
po okręgu nieba Z pomocą Bożą
pokonam niepokój chorobę śmierć
gdzie ten chłopczyk
co włożył mi oko do piasku Ty jesteś
kto

dwójkółka Lublin-Konopnica,
25 czerwca R.P. 1989
w południe niosąc na głowie
dzban z ołowiem ręcznie malowany

Kochać to nie wstyd gorzej
kraść maliny na działce Przepraszam
skąd ja Pana znam bo widzi Pan
coś takiego porobiło się w mojej
głowie że już nie wiem Kogo miłuję
więcej tego tutaj Co stoi z brzuszkiem
i oczy pasie A niechby
Ci strzeliła gumka w slipach czy
Pasterza stad malczuk dięta nie
razbieriesz

Lublin, 27 czerwca R.P. 1989
wieczorem we wianku z koniczyny
galopując główną arterią miasta

Ja Ciebie wcale nie Kocham a właśnie
że tak chyba dlatego wyszczuplałam
i patrzę jak przez mgłę O
mamy zikraty księżyc chałupę
dostanę w tym roku wiesz
wpadłam w oko listonoszowi A tak
w ogóle nie masz większej radości
niżli biec w podskokach halokać
i huknąć drogą Pańskich zwariowanych
zamysłów Fiś

Włodawa, 6 lipca R.P. 1989
nocą głosząc Ewangelię
ociężyłbym kłosem zbóż

Małe dziewczynki lubi każdy
gwalciciel Ty może masz jakiś
defekt słończko
spuszcza się po olinowaniu wieczoru
woda pachnie rybą ponoć śnięty
węgorz płynie pod skórą poetki
Jadą fabrykanci snów kawalkadą
jak się zbliżą do płota dam im
kompot z rabarbaru Gorzko gorzko
gorzko szkoda chłopców Taka
bania

Włodawa, 9 lipca R.P. 1989
wieczorne wariacje
wokół matczyńska drylującego wiśnie

Słyszałam Misiaczkę że onegdaj
szedłeś po deszczu bez pardonu
powiedz co Ci bestia zrobiła
bo jeśli tylko tak sobie z pobudek
sadystycznych to ja się z Tobą
nie bawię zmieniając piaskownicę
Chuligan chałat charakterek chi
chi chistryk
tutaj wierszyk załamuje się i

zaczyna płakać bo brak mu myśli
przewodniej Weźmy go ze sobą na
dworzec niech pomacha łapką
Każda chwila darowana od Pana
ma zdrowe zęby

Lublin, 14 lipca R.P. 1989
gorąco protestując przeciwko
zabijaniu czasu bez podśmiejchujek

Gdyby Michał mnie kochał byłabym
najbogatszą obywatelką świata
i nie dźwigałabym plecaka bo szedłby
za mną mały boy z ptaszkiem
w złotej klatce i nie siusiałabym
pod krzaczkiem lecz do alabastrowego
oczka tylko
że wtedy nie widziałabym jakie
to szczęście dziękować Bogu
za to że Michał mnie nie kocha
Kupię sobie misia ale sama
spać nie będę To Ci mówię w wierze

Lublin, 4 sierpnia R.P. 1989
po południu siedząc
na karku zegarmistrza Przylepa

Dariuszowi Lebiodzie
domniemanemu laureatowi

Tygrys wygryzł kawał muru
i się nie wstydy to ja zlikwiduję
lebiodę ostrym sierpowym dla dobra
okólnego
jednakowoż pierwej nim tania
się zboczy księżycową posoką
podam onemu dłoń do ucałowania
Pierwszy niekoniecznie szczęśliwszy
a ja mam cycuszki jak guziczki
i nie chwaleb się Wiesz

Lublin, 5 sierpnia R.P. 1989
wieczorem po Eucharystii
porwana do nieba z kopytami

[Wiersze pochodzą ze zbioru
„Parszywe nasienie Abrahama”]

BOSKI WIATR

WŁODZIMIERZ SEDLAK

W jakieś popołudnie pisk nieznany rozległ się na podwórzu. Dzieci pobiegły w kierunku dziwnych głosów. Szumielewicz wypalał złapanemu szczurowi oczy rozżarzonym drutem. Z dzikim skowytom pognął niewidomy do komórki, innym szczurom powiedzieć o ludziach.

Przywykłem do napadów hysterii. Wołowski krawiec miał idealne dzieci. Niekiedy jednak przez nieuwagę, któryś z synów albo czeladników zepsuł powierzony materiał. Furia wymyślania trwała całe dopołudnie. Kiedyś powiedział mojej matce: – „Lepiej szwynie chować niż dzieci.”

Permanentną targowicę Niemcy nazwali Judentempel. Stanowiła ona dzielnicę żydowskiego handlu i ciągnęła się do „linijki”, czyli bocznicy toru kolejowego, prowadzącej do stalowni i cementowni. Judentempel był typowym obrazem czasów drobnego handlu, niebrukowanej jezdni, cuchnących barjorów ciągnących się dziesiątkami metrów.

Skarżysko miało kiedyś świetniejszą przeszłość przemysłową. Była huta żelaza. Miała swój tor kolejowy w poprzek miasta. Dalej tor prowadził do cementowni. Pozostała tylko czynna odlewnia żeliwa. Było to następstwem bankructwa na skutek celnego zamknięcia Rosji carskiej na towary z Królestwa.

Judentempel zaspokajał potrzeby mieszkańców. Był też okazją do złośliwych żartów (chuligaństwa jeszcze nie było). Handlarce, Starej Guci, chłopcy podsypywali kasztanów do garnka z żarem węgla drzewnego. Wilgotne stragany na powietrzu wymagały zagrzania przynajmniej rąk. Gucia, podobnie jak Wołowski, wpadała w histeryczny szal. Uciszała ją niekiedy mama zatapiająca akurat domowe potrzeby.

Jakże w mieście osobliwości mogło braknąć Żydka-racjonalizatora. W uliczce, gdzie stała studnia do plucia w nią, niedaleko od bożnicy był szewc Zymrant. Wprowadził taśmową pracę nad klientem. Przecinał nożem centymetr cholewki przy samej zelówce. Po paru deszczach przecięcie się rozchodziło, woda sączyła się do buta. Zymrant miał nową robotę – przyszywał łatki na maszynie. Buty długo noszone miały od pięciu do dziewięciu latek. Dopiero w 50 lat później technolodzy pomyśleli, że wytrzymałość produkowanego przedmiotu musi być przewidziana i nie może być za długa. Inaczej przemysł i rzemiosło nie miałyby roboty. Szkoda, że takiej pary butów nie przewidziałem do osobistego muzeum.

W mojej rodzinie nie było wyjazdów urlopowych czy wakacyjnych. Urlop spędzał zawsze ojciec w domu rodzinnym. Dzieci nie wiedziały, co to wyjazd. Wakacje są od tego, że nie chodzi się do szkoły. Poza tym są łąki, jest rzeka, są okoliczne lasy, strumyki z czystą wodą. Z dziećmi można się bawić całymi dniami. Najpospolitsze gry to klipa, piker, kopana piłka szmaciana; zamiast żołnierzy cynowych i lalek były patyki wystrugane z oznaczeniem nosa, oczu i ust. Zabawa niekiedy przyjmowała obraz nieuwagi. Pan Szewczyk wybrał się z korpulentną żoną na przemarsz podwórka, nawiasem mówiąc jego własnego. Wykopnięta „świeca” przez Waldka upadła pani Szewczykowej prosto na kapelusz. Tylko świadomość możliwej rozprawy sądowej powstrzymała chyba gospodarza i tylko przyniósł biczysko do policzka. Innym razem dla zabawy zaczęły dzieci przez okno przezywać parobka fabrykującego wędliny. Kiedy wybiegł z warsztatu, przezywający uciekli przezornie. „Chamulec” nie pytał kto winien. Stałem w pobliżu i bezczelnie nie bałem się jako niewinny, więc prosty sierpowy w nos. Waldek pognął do domu zakrwawiony. Dobrze, że się nie skończyło jak u Michała Anioła złamaniem kości nosowej z poręki przyjaciela.

Jak zwykle między chłopcami bywa, czeka się tylko na takiego, z którego będzie ubaw. Chyba w VI klasie gimnazjum zerbrało się na przezywanie Gienka Foczyńskiego „Foką”. Inni robili to z daleka. Najbliżej było do Sedlaka, dostał więc „fangę” prostym krótkim w przednie zęby. Jeden z nich się na długo poruszył. Po przyzwyczajeniu się do brania w mordę, nie trudno już było ze spokojem przyjmować moralnie dalsze „fangi” w życiu. Szkoła była dobra, a zabieg pedagogiczny dosyć częsty.

Do podstawczaka łąziło się tylko do II i III klasy, cenzurki były nie pierwszej jakości. Nauczyciel wychowawca – Siemianowski – cudów dokonywał, by z syna pani Sedlakowej wydobyć coś na minus dostatecznie. Oryginalne świadectwo w posiadaniu. Matka planowała sobie zdawanie Waldka do pierwszej gimnazjalnej, jednak suma wiadomości coś tam była bez końcówki. Jak raz nawinała się matce kandydat do nauki gry na pianinie, wobec tego stanął układ, że matka umuzykalnia Syrka, a Syrek przygotowuje Waldka w zdawaniu do drugiej gimnazjalnej.

Wychowawczynią była Słoniewska, rozumna starsza pani. Na którejś przerwie start się Waldek z jakimś chłopcem. Walka była zawzięta, bez judo wprawdzie, ale wejście profesorki nie

zwolniono gladiatorów od zapasów. Dopiero osobiście rozłączyła zjadłą parę. Było to ostatnie zbrojne spotkanie. Widocznie nie tak źle było kondycyjnie, skoro podczas zawodów przy obecności kibiców moja prawa dłoń zwyciężyła walkę chyba ponad półgodzinnego trzaskania ręką w rękę. Na przemian.

W III klasie gimnazjalnej byłem delegatem uczniowskim do przywitania biskupa sufragana Kubickiego. Woźny Timoni otworzył mi salę szkolną, było zimno. Czekałem bez zegarka koło dwóch godzin. Wreszcie Timoni się zainteresował, dlaczego nikt więcej nie przychodzi. Pytał się o godzinę spotkania. Okazało się, że już uroczystość się odbyła. Zegar domowy wadliwie wskazywał czas. Nie miałem jakoś szczęścia do moźnych.

W gimnazjum szło jako tako, czyli bez entuzjazmu nauką. W IV klasie miałem kolegę Stefka Borowca, który na lekcjach prezentował nam z daleka zewnętrzną stronę dłoni wyhaftowaną pod naskórkiem kolorową nitką. Na odmianę łapał się za policzek i zapinał go na agrafkę. Inny repertuar to zapinanie sobie skóry na zewnętrznej stronie dłoni dużą agrafką. W tej samej klasie podziwiałem wybitnie zdolnego kolegę Misiowca, chyba Czesława. Wspaniale czytał.

Postrachem był profesor fizyki Dubiel. Przed tablicą stało niekiedy 20 osób, które nie mogły ruszyć zadania fizycznego. W klasie były dwie Bębnowny, siostry w różnym wieku. Dubiel nie żałował sobie dalszego wzywania do tablicy. „Mały Bęben nie żałował sobie dalszego wzywania do tablicy. „Mały Bęben pomoże”.

Domowe zadania pisemne Waldek odrabiał przed lekcjami szkolnymi, tylko pytał, co następnie będzie. Koleżeństwo wybitnie pomagało, jak mogło pożyczając od „stalki”, obsadki do gotowego tekstu wypracowania lub zadania. Z klasy do klasy przechodziło się z warunkiem raz z matematyki, w innym roku z języka polskiego. Nigdy jednak nie było powtarzania klasy. I prawdziwe lenistwo ma swój ambit. Jeszcze w III klasie elementarnej trzeba było ze szkołą pójść na pochod 3-majowy. Nagle spośród widzów wyłonił się ojciec, by swojemu jednynkowi dać kilka landryn. Wstyd był okropny dla mężczyzny, za którego się uważałem, dostawać cukierki. Człowiek najadł się publicznej kompromitacji.

A bo to wiadomo, czy mamy do czynienia z rasowym lenistwem, czy swojską filozofią podrostka. Najważniejsze – myślałem, marzyłem, wybiegałem w świat. Coś tam czułem większego niż proza odrabiania lekcji. Jeśli nawet rozkładu zajęć nie przepisywałem z tablicy, rozkładu obowiązującego cały rok szkolny, to z przeświadczeniem, że zdążę tego dokonać przy pomocy koleżeństwa.

Jakiś Boski wiatr począł chłopaka owiewać, nie wiadomo, z jakiego powodu. Szuka drogi, próbuje nieco pisać, ni to pamiętnik, ni wypracowanie. Zaczyna marzyć uciekając od szkolnej rzeczywistości do wyśnionego świata wynalazków, widzenia się w roli odkrywcy tajemnych spraw przyrody. Olbrzymia encyklopedia 17-tomowa w domu zaczyna interesować. „Brockhaus Lexicon” z barwnymi ilustracjami i mapami bywa częściej w rękach. Książka o przyrodzie, nie pomnę autora i tytułu, stawała się często przewracana. Ewangelie obok tego, jakby Pan Bóg miał w wymarzony świat Waldka wprowadzić. Nie wiadomo kiedy doszedł do wniosku, że dla mądrości i jej wykształcenia potrzebna jest cisza, absolutny spokój. Na odmianę pójść w świat z Ewangelią. Zmienić go na inny. Ciekawski. Dziwiłem się jak ludziom chce się żyć po czterdzieści lub więcej lat. Kiedy ja mam 16 i mam dosyć... Zaczęło się potworne kpienie ze śmierci, towarzyszące mi kilkanaście lat. Z niewiadomych powodów jakiś niespotykany odruch odgrywania się na niej. W Ćmielowie posiadałem wszystkie płyty z mar-

szami żałobnymi. Nie było już to pesymistycznym odruchem. Marsze żałobne mobilizowały do pracy i walki o słuszne prawa. Dziwna nekrologia. Zarówno ta najmłodsza jak i późniejsza.

Widzenie swojego bezsensu jest najcenniejszym nieraz odkryciem. Podstawą wszelkich odnajdywań siebie i poza sobą. Rozpierał nierozpoznany czyn. Chciałoby się przestroić świata zacząć od własnej osoby. Jest faktycznie najracjonalniejsza.

Pierwszy projekt ucieczki w 15 roku życia. Wstyd ciężki załamania się, bo szereg lamp elektrycznych kończył się poza miastem. Była noc, listopad, samotnie, bez niczego, prócz tego, co grzbiet okrywało.

Rozczytywanie się w Ewangelii oraz w ascetycznych książkach wpływało na intensywne kształcenie charakteru. Jeśli marzenia mają być realne, to ja muszę być silny jako człowiek. Było wszystko w tej pracy nad swoim ja, prócz szkolnych lekcji, bo one niczego nie dają.

Miałem kolegów i koleżanki, nie było jednak Ignienia do przyjaźni. Niedziela bywała zwykłym spotykaniem się koleżeńskim. Pewnego dnia Stefek Popiak prosi, bym go zastąpił na randce z Czesią Nowak. Musi wyjechać do Starachowic na mecz piłki nożnej, gra w „beku” czyli obronie. Czesia punktualnie była na umówionym miejscu. Nazajutrz w szkole mogłem Stefkowi zakomunikować, że nie musi już chodzić na spotkania z Czesią. Stefek od razu podejmuje decyzję. My zosta-

Elżbieta Sedlakowa z domu Juraszek – matka autora





Włodzimierz Sedlak w młodości.

jemy nadal przyjaciółmi, Czeska moją sympatią, Stefek wybiera Wilunię (od Wilhelmina), nie pomnę nazwiska. Zresztą Wilunia mieszkała tylko przez ulicę z Czesią. Zawiązało się sympatyczne caro przyjaźni. Była bodaj VI klasa na początku roku szkolnego.

Niby miałem same siostry. Ubyła Edyta wychodząc za mąż za Józka Polaka, urodziła się natomiast Danusia, 13 grudnia 1924. Od tej pory powiększył się zakres odpowiedzialności. Kiedy matka szła do kina czy na przyjezdny występ sceniczny, zostawałem niemianowanym strażnikiem domu i młodszego rodzeństwa. Czekałem do przyjścia matki. Obojętne o jakiej porze. Lampa nie zgaszona. Czekałem. Było to niekiedy jak uderzenie gromu. Zwykle w czasie najlepszej zabawy, albo po przyjściu z niej, Edyta komunikowała, że wychodzi z matką. Matka wprowadza Edytę w świat. Ja zostaję na posterunku. Nie zostawiałem drzwi otwartych, zamykałem je na haczyk (co za czasy, nie było tyle złodziejstwa). Ja otwierałem drzwi, jak wracały. To poczucie odpowiedzialności szło potem całe życie. W różnych sytuacjach, nie wyłączając takich, że mimowolną przykrość uczennicy lub uczniowi należało rozładować. Trzeba wyjaśnić. Załagodzić. Odpowiedzialność za innych. Obowiązek przyjęty musi być wykonany.

Czesia była dziewczyną jak i moje siostry, ale z jakimś innym sentymentem. Z jakąś tęsknotą, kiedy się jej nie widziało. Zwykle kolega Ziótek Kazik przywoził ciepły list. Kazik jeździł jak i Czesia do seminarium pedagogicznego w Końskich.

Rajskość nie mogła być jednak odłączona od troski. Z natury żywo odczuwałem ciężary, być może wcale nieistotne, ale by-

najmniej nie urojone; nastrajały poważnie. Jedyny mężczyzna w domu, ojciec bywał, jak się rzekło, doskokami ze Śląska. Powoli wyrosło się z odpowiedzialności za młodsze siostry. Edyta wyszła za mąż. Tym samym mama przestała uczęszczać do kina czy na występy przyjezdnych grup artystycznych. Natomiast aktualna się stała sprawa bezpieczeństwa w dużym piętrowym drewniaku krytym gontem. Nieczyszczone kominy dawały często zapalenie sadzy i snopy iskier wypluwane kominem. Każdy taki fajerwerk mobilizował do zbiorowej akcji ugaszenia tego zjawiska. Nieumiejętne duże dawki papieryszk dawały ten nie do uniknięcia efekt. W razie pożaru nocą, drewniane schody i wysuszone belki domostwa wykluczałyby wszelki ratunek.

Zbiorowy alarm wszystkich parowozów z przetokowej stacji węzłowej ryczał urywanymi sygnałami dla zmobilizowania straży ochotniczej. Zdarzało się to w mieście częściej. Do mnie należało sprawdzenie wieczorem, czy wiadra są pełne wody. Czy ogień pod blachą wygaś.

Grozy dodawały niesłychane wówczas burze i niemal zupełny brak piorunochronów, z wyjątkiem fabryki. Burze były rzeczywiście niesłychane. Z biegiem lat stawały się mniej groźne. Kiedyś burza była tak okrutna i nieubłagana bogata w bijące pioruny, że uznałem za rozsądne zejść w nocy na parter i odczekać w sieni, albo u Wołowskich w kuchni. Lilka wychyliła się, mocując się z otwartymi drzwiami na podwórko. Uderzyło gdzieś w pobliżu. Wydawało się, że w kamieniu przed drzwiami. Te burze siejące piorunami mobilizowały nawet narzeczonego Lilki – Franka Hausenplasa, mniej wierzącego. Było tak strasznie, że Franek sam się zapytał, czy jest gromnica i czy nie byłoby dobrze jej zapalić.

Widocznie nie są to urojenia. W kilkanaście lat później spotkałem wśród pracowników na Św. Krzyżu kowala Jankowiata; wykonywał wszystkie zawody murarza, malarza, stolarza. Jego 17-letnia wnuczka zginęła na wycieczce szkolnej zabita przez piorun. Natomiast moja uczennica w Lublinie schroniła się w drzwiach sieni z bratem idącym do pracy. Brat zginął od uderzenia.

Sprawy polityczne, przy ówczesnym niedoborze gazetowym i w ciężkiej walce o codzienne przetrwanie rodziny, objęły się tylko marginesowo. Matka po przyjeździe z Suchedniowa do Skarżyska-Kamiennej chodziła trzy razy tygodniowo, wymieniając inne panie dla posługi przejeżdżających transportem żołnierzy na front polsko-bolszewicki. Niekiedy poza herbatą z sacharyną nie było nic więcej dla rannych żołnierzy. Trzeba było się dzielić swoim śniadaniem.

W V klasie będąc, któregoś dnia majowego pociągnął mnie dziwny ruch w szkole. Na wielką przerwę pobiegliśmy pod magistrat niedaleko położony od gimnazjum. Coś się stało... Pamiętam nasze zatroskane miny. Poza plotkami i domysłami nikt nie wiedział dosłownie, jak się sprawa przedstawia. Piłsudski objął władzę. Podobno jest wojna domowa.

Nigdy nie gustowałem w Piłsudskim, znając sprawę potem z lekcji historii o ustroju Polski w ostatniej klasie. Słyszało się o bezliku partii politycznych, o opozycji, o sanacji czegoś, chyba panujących stosunków.

Rozczytywałem się dopiero teraz, z dalekiej perspektywy, o Piłsudskim w postaci miarodajnych pamiętników, jak: Sławoja-Składkowskiego „Strzępy meldunków” i Mieczysława Lepeckiego „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego” oraz „Józef Piłsudski. Legendy i fakty”, pisane przez D. i T. Natęczów. Są to jednak rzeczy nie przewidziane do poważnych

studiów, które mnie zresztą nie interesują. Można by streścić zbyt trywialnie. Piłsudski mając do wyboru dopuszczenie do rządów wielkich warcholów i dużych złodziei, wybrał pewniejszych dla siebie legionistów i mniejszych złodziei. Zjednoczenie w ciągu 17 lat rozbitej mentalności społecznej na kulturze trzech zaborców, spadkobierców sprzedajnych magnatów i zżartych społecznie potomków sparodiowanej przez *liberum veto* szlachty oraz ziemian – nie było wcale łatwe. Polacy od trzech pokoleń nie mają państwowości, od Wazów poczynając nie mają żadnego wyczucia politycznego, prowadząc ojczyznę prostopoliniowo do upadku państwowości. Przez trzysta lat wymodelował się człowiek sprzedajny, warcholący, nie znający się na szerszych i podstawowych zasadach demokracji. Zblokować ich w jeden nieskłócony naród z przywilejów, poznaniaków i „galileuszów” wymagało przynajmniej stu lat dobrej prosperity, uczenia się i stworzenia nowego, twórczego politycznie społeczeństwa. Międzywojenne dwudziestolecie było śmiesznie małe na wytworzenie takiej zwartości ze zniwelowaniem warcholstwa, sobiepańskości, sprzedajności w imię „patriotyzmu”, głupiej pychy, niezgody wcieranej w duszę narodu od niepamiętych czasów, prywaty, ograniczoności widzenia, ambicjonalności z elementarnymi brakami formacji. Robienia z ojczyzny większego folwarku z niechlujnymi spuściznami odległej i bliskiej historii. Przecież poważnie myślano o restytucji Królestwa Polskiego. Brano się za wznowienie państwowości z tym samym balastem psychologicznym, który pochował Polskę. Czy ktoś przypuszczał tak krótki żywot odrodzenia – niespełna dwie dekady lat, a tyle do wykonania... I w tym jeszcze jedna wojna.

Gimnazjum było prawdziwie polską szkołą myślenia, ojczyściej kultury. Rozkoszą było na przejeździe patrzeć na pędzące polskie wagony z polskim węglem. W 1929 roku można było na Powszechnej Wystawie Krajowej (P. W. K.) w Poznaniu zobaczyć dorobek 10 lat istnienia niepodległości. Lektury historii dawały poczucie polskiej ziemi. Tylko zwierzęta są kosmopolityczne, o ile nie szczególnie związane z endemizmem ograniczonego występowania.

Przy tej okazji trzeba wspomnieć o nauczającym personelu, o który musiało niełatwo być po pierwszej wojnie światowej, jak się osobiście przekonałem w sytuacji po drugiej wojnie. Personalność nauczycieli poznawało się dopiero na dobre w VII klasie gimnazjalnej. W poprzednich latach walczyli się nauczyciele i uczniowie. Trzeba dodać, że najbliższe gimnazja od Skarżyska były w Kielcach, Radomiu, Ostrowcu. Dużo uczniów rozpoczynało naukę, ale stosunkowo niewielu sięgało po maturę. Wyniki w nauce słabe, w dodatku nauka płatna (gimnazjum było własnością komitetu obywatelskiego). W mojej klasie zdało maturę w 1930 roku 28 osób.

W VII klasie wybijał się osobowością sędzia pokoju Zaleski, a „prywatnie” geolog i mineralog. Oba te przedmioty były przez niego wykładane. Mówił dosłownie jak w podręcznikach, wizualizując modelami krystalograficznymi, nazywanymi „michałkami”, i oryginalnymi okazami petrograficznymi i geologicznymi. Na zakończenie przywilej zwiedzenia bezmiernych zbiorów Zaleskiego od przyjaciół chyba z całego świata. Po pięciu bodaj latach dowiedziałem się z prasy, że przed śmiercią przekazał zbiory Uniwersytetowi Warszawskiemu.

W tej samej klasie wybijał się Birkenmajer, myślący fizyk. Polecił, nie wiem dlaczego mnie, przyjść do siebie, to mnie bezpłatnie nauczył fizyki. Byłem. Oczywiście po zapukaniu, zanim się drzwi otworzyły, zjechałem na dół po poręczu. Można było zgodnie z prawdą powiedzieć, że się było, ale... drzwi się

nie otworzyły. Rysunków uczył Konstanty Bobowski, późniejszy burmistrz miasta. Uczył perspektywy, ruchu na drewnianym modelu człowieka ze wszystkimi stawami mosiężnymi. To kształcenie piękna, własnej oceny wytwórczości artystycznej poszerzało widzenie świata. Bobowska uczyła języka niemieckiego. Dobry polonista Dominik wykładał historię literatury polskiej. Dyrektorowa Marta Bałtusajtis, doktor chemii, uczyła swego przedmiotu. Matematyki uczył garbusek Bartoszewski o długiej brodzie i w nieśmiertelnym kożusku baranym. Miał wspaniałe sformułowania w geometrii wykreślnej, kiedy mówił o punkcie, używał wyrażenia „kto to jest”. Jeśli chodziło zaś o uczennicę, było to zawsze „co to jest”. W domu bardzo nieszczęśliwy. Miał jedyne dziecko około 20-letnie, niepoczytalne, który ślinał się, mamlął jedzenie i wypluwał je. Nieskoordynowane ruchy. Z rysów twarzy było już wiadomo, że jest nienormalny. Stół u państwa Bartoszewskich był zawsze nakryty i zastawiony jadłem, może przez wzgląd na syna. Dobre warunki odkryła moja mama, nie wiem, przy jakiej okazji. W maturalnej klasie polonistą był Bochenek, historykiem Franciszek Mendyk, fizykiem dyrektor Andrzej Bałtusajtis. Sława nauczycielska Mendyka była tak wielka, że tylko dwie osoby wybrały na maturę język polski, a reszta historię. Mendyk potrafił zajmująco wykladać nie tylko chronologicznie, ale przeglądowo przez całą historię, pragmatycznie. Syntezy epok były kapitalne.

Na maturze, poza pisemnymi zadaniami, z ustnych przedmiotów zdawałem tylko z biologii u Zwolińskiego. Z reszty na



Paweł Sedlak – ojciec autora

skutek dobrych ocen byłem zwolniony. Na zdjęciu maturalnym nie byłem z Heńkiem Malczykiem obecny. Byliśmy na rekolekcjach w Trzebinii.

Maturalna klasa, szczytowa w nabieraniu wiedzy ogólnej miała przemity nastrój. Dziewczyn była mniejszość: Jadźka Ciura, Maria Okła, Kryśka Bielnicka, Jadzia Mieszalska (najbliższa mi koleżanka znana tylko z klasy), dwie Żydóweczki: Kala Grünberg i Pfeffer (nie pomnę imienia), Jadźka Parowska, Zubianka Łucja, Janke Irena. Ponadto Heniek Diament, Mietek Pięta, Zofia i Witold Chrzczonowicze, Ocias Zygmunt, Markiewicz Tomasz, Kolasiński Edmund, Stefek Popiak, Pająk Karol, Matys Henryk.

O godzinie 18 cała ferajna maturalna wypelzała na miasto rozwiązując zadania z matematyki na słupach telefonicznych. W niedzielę bywało się w towarzystwie Czesi, Wiluni, Stefka, Mariana Wilczyńskiego i jego dwu siostr. Chyba 8 grudnia, wyjątkowo ciepłego i pełnego kwitnących stokroci, doszło do decydującej rozmowy z Czesią. Wybieram – nie gniewaj się na mnie – trudniejszą stronę życia i mniej przyjemną czy urozmaiconą. Nie gniewaj się z powodu tej dziwnej konfrontacji ciebie i Pana Boga. Wydaje mi się, że tam powinienem być. Jesteśmy nadal przyjaciółmi z najpiękniejszymi wspomnieniami. Wartościowymi. Pełnymi w piękno. Proszę cię, bądź rozumna. Spotykamy się jak dawniej przez te miesiące aż do matury. Nikt nie musi wiedzieć, że układ stanął między nami.

Podziwiałem cichość Czeski, jej opanowanie, rozumność w sytuacji. Na pewno tak było przez maturalną klasę do końca. Nie pamiętam, ale chyba nie było jakiegoś oficjalnego pożegnania przed odjazdem do seminarium. Nie wiem też, co robiły jej oczy i serce w samotności. Jedno jest pewne, że mieszkając przynajmniej przez ferie świąteczne i wakacje w tym samym mieście, nie miało okazji spotkanie ani razu. Było to dwustronnie zachowane. Tak minęło prawie 60 lat.

Sztachety rajy dziecinnej zostały złamane. Matura słownie nazywa to świadectwem dojrzałości. Myśli się poważnie, o swoim życiu i dalszych jego losach. Szybko i pracowicie sklepiła się przyszłość nad Waldkiem ze Skarżyska.

*

Tytuł „Byłem w raj” wyszukany może, lecz prawdziwy. Świat szczęśliwego dzieciństwa jest faktycznie rajskim okresem życia. Niezbyt urozmaicony wprawdzie, ale dzieciństwo naturalne ma zawsze coś rajskiego w sobie. Prawdziwą umiejętnością jest wynieść ten rozrachunek szczęścia dziecinności na dalsze życie. Każdy miał swój raj i swoje przepędzenie poza Eden. Wystarczy być typowym dzieckiem.

Dzieciństwo w tym wypadku było pełne mimo wyczuwania próżni i wolnego miejsca na nieokreśloność. To widocznie ta mała uchwytna faza przechodzenia dziecka w podfruwalkę, jak mówi Makuszyński, i w podrostka.

Zestawiając obecne dzieciństwo z naszym: nie było bałwochwaltwa dziecka. Brakowało małpiej miłości do dziecka, do czasu niemożności poradzenia sobie z nim. Dawne dzieciństwo było zaradniejsze, samodzielniejsze w przeżywaniu okresu rajskiego, naturalniejsze, nie rozpieszczone, nie rozlażte, „dorosławe”, nie przemądrzałe. Skazane było na bardziej samodzielne zabawy w dziecko.

Osobiscie dziękuję życiu, że nie cackało się ze mną. Bez wielkich rozkoszy, ale też bez wymagań. Bez zazdrośczenia innym. Wszystko tak, jak było, okazało się najlepsze z możliwych. Nabyło się jakiejś wiedzy o człowieku, o jego życiu. Niczego nie żał. Tak było najpełniej, najpożyteczniej.

Na górnej granicy rajskiego życia, które zawdzięczam nastrojowi rodzinnemu, była matura 1930 roku w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym i śmierć ojca 30 lipca 1930 roku. Przyczyną zgonu była fistuła prowadząca do przetoki odbytu. Mniej więcej od września 1929 roku był już na rencie chorobowej. Ostatnią klasę przerabiałem z ojcem w domu. Widziałem, że się cieszy synem. Podziwiał niekiedy, że odrabiając lekcje słyszę, jak się woda w czajniku gotuje i odstawiam ją z ognia.

Ostatnie wakacje po maturze, zamiast odpocząć po pracy ciesząc się jeszcze wolnością ucznia, wkuwałem łacinę. Emil Assendi, kleryk, uczył mnie jej. Prefekt ks. Głębiński sporo łaciny przerobił bezpłatnie z paru chętnymi.

Właściwie należy mi się odszkodowanie. Najpiękniejsze wakacje w życiu straciłem na znajomość łaciny, która obecnie jest nieaktualna, nawet szkodliwa, jak przykład Le Febre'a wskazuje. Są jednak większe rzeczy niż patrzeć, co było, czy byłoby, gdyby drugie i trzecie było itd.

Nie byłem przy śmierci ojca. Rano po mszy szkolnej czekał na mnie udzielając błogosławieństwa rodzinie. Oczywiście nie chciał słyszeć o seminarium duchownym. Nie po to ma jedynego syna. Wreszcie zgodził się na mój wybór i postanowienie. Mocno po południu byłem znużony stanem ojca, wyszedłem trochę odpocząć na powietrzu, krew mi waliła w skroniach. Kiedy wróciłem, ojciec już nie żył.

Zawsze żartował przy mamie, że na jego pogrzeb wynajmie platformę, wstawi pianino i z dźwiękiem marsza Chopina odprowadzi go. Oceniam jego cichą ofiarę dla domu, użeranie się o pracę, nade wszystko jego równowagę, naturalną małowówność, spokój życia, bezpretensjonalną wiarę. Urodził się 22 lipca 1874 roku. Z czasem ocenilem tę samą cechę cichości matki. Nie posiadała daru ustawicznego gadania na starość. Mój dom mówił tylko, gdy była potrzeba. Rodzice nie otwierali ust dla przewietrzenia śliny.

W rok po tym zdarzeniu, będąc w domu podczas wakacji, Lilce i Maryśce zachciało się „powyglupiać” na łóżku rzucaniem poduszek w sympatycznej rozgrywce młodych „kóz”. Z niewiadomych powodów mama zareagowała żywo, kilka razy prosząc o skończenie zabawy. Rozbawione siostry nie reagowały na upomnienia. Jeszcze nigdy nie widziałem matki tak odmienionej i zdenerwowanej. W pewnym momencie coś trzasło w tył drewnianego łóżka, jakby płaską ręką. Obie dziewczyny poderwały się na podłogę z przerażeniem. Umilkły. Ojciec upomniał się – rzekła matka. Było to rzeczywiście łóżko, na którym umarł.

Był 30 sierpnia 1930 roku. Spakowanie manatek niewielkiego majątku. W marynarce, o której Osińska, właścicielka zakładu fotograficznego, powiedziała miesiąc wcześniej przy fotografii maturalnej: „Musi się pan chyba dobrze uczyć?” Skąd pani to wie? „Wnioskuje po pańskim mundurku”. Może pani tak myśleć.

Idącego na stację kolejową z walizkami spotyka mnie grupa koleżanek i kolegów szkolnych. Cześć! Dokąd idziesz? Do pociągu. Do którego? Do Sandomierza. Zatkąło obecnych. Co to?... Cześć, dziewczyny i chłopaki, bo się spóźnię.

Ucieczka z rajy. Bez pożegnania. Obecni zauważyli, jak Waldka coś wypchnęło z naszego pędzonego rajskiego życia. Nadwrażliwość odmieńca została poza plecami.

Dolina rzeki Kamiennej, gdzie ręka Pańska stała się nad Waldkiem.

Hej, Słowianie?

JAN ORŁOWSKI

PÓŁTORA wieku temu okrzepł w Europie środkowo-wschodniej i południowej ruch słowiański, który dla Czechów, Serbów, Chorwatów, Bułgarów oznaczał odrodzenie kulturalno-narodowe, zaś dla Słowaków, Słowenów, Białorusinów, Łużyczan rozbudzenie świadomości narodowej. W sferze kulturowej sprzyjał tym procesom romantyzm ze swym pietyzmem dla ludowości i historii, zaś w sferze politycznej kryzys istniejącego ładu w Europie, który ujawnił się w postępującym procesie rozkładu monarchii absolutnych i w coraz częściej wybuchających powstaniach narodowyzwoleńczych, m. in. w Grecji, Polsce, Belgii, na Węgrzech i we Włoszech. Oprócz rosyjskiego wszystkie narody słowiańskie pozostawały wówczas pod obcym panowaniem. Sytuacja taka sprzyjała więc powstaniu w Rosji ruchu słowianofilskiego, którego program w latach trzydziestych-czterdziestych XIX wieku sformułowali w swych pracach publicystycznych i historiozoficznych bracia Iwan i Piotr Kiriejewscy, Konstanty i Iwan Aksakowowie oraz Stefan Szewyriew, Aleksy Chomiakow, Michał Pogodin, Jurij Samarin i inni.

U podstaw ruchu słowianofilskiego legła idea zasadniczej odrębności świata słowiańskiego od Zachodu, którego cywilizacja opiera się na tradycji latynizmu i katolicyzmu. W koncepcjach słowianofilów ostoją prawdziwych wartości słowiańskich była Rosja i naród rosyjski, za owe wartości zaś uznawano prawosławie i oparte na nim poczucie wspólnoty i braterstwa, przywiązanie do monarchii i swoiście pojmaną ludowość. W zestawieniu z tymi „cnotami” narodu rosyjskiego cywilizacja zachodnia jawiła się słowianofilom jako zarażona destrukcyjnym indywidualizmem, egoizmem oraz duchem ateizmu i rewolucji, czego żywym wcieleniem była dla nich zwłaszcza Francja. Te antyokcydentalistyczne koncepcje słowianofilów doskonale harmonizowały z polityką Rosji Mikołaja I, który żywił obsesyjną wrogość do Zachodu i w ideach płynących stamtąd widział stałe zagrożenie dla trwałości i spójności swego imperium.

Przypisywane narodowi rosyjskiemu tak pojmane cechy „słowiańskie” miały już niejako z góry predestynować Rosję do przywództwa nad światem słowiańskim. Idea ta legła u źródła słowianofilskiego mesjanizmu, który stanowił filozoficzne i historiozoficzne uzasadnienie roszczeń władców carskiej Rosji do politycznej hegemonii w Słowiańszczyźnie. Z posiewu tej idei wyrastały dążenia do utworzenia federacji słowiańskiej pod opiekuńczymi skrzydłami „dwugłowego orła” rosyjskiego.

Mesjanizm słowianofilski w Rosji rodził się w opozycji wobec mesjanizmu polskiego, który wykrystalizował się w tonie emigracji polskiej po klęskę powstania listopadowego. W filozofii obydwu tych mesjanizmów tkwiły jednak przeciwstawne założenia, które dostrzegali sami Rosjanie. Dymitr Mierieżkowski w latach I wojny światowej przeciwstawił rosyjskiemu mesjanizmowi – zaborczemu, narzucającemu hegemonię Rosji innym narodom słowiańskim – polski mesjanizm Mickiewicza, oparty na ofiarństwie, cierpieniu i poświęceniu na ołtarzu wolności innych narodów („Polska Chrystusem narodów”).

Te rozbieżne w podstawowych założeniach mesjanizmy aspirowały do roli politycznej i moralnej filozofii swoich narodów, co w ówczesnym stanie stosunków polsko-rosyjskich prowadziło do

ich konfrontacji. Przedmiotem sporu stały się nie tylko odmienne cele narodowe, ale i słowiański charakter narodu polskiego i rosyjskiego. Słowianofile rosyjscy zarzucali Polakom odstępstwo od Słowiańszczyzny. Przyjęcie przez Polskę katolicyzmu i zachodniej cywilizacji doprowadziło – według ich rozumowania – do zdeprawowania i unicestwienia w Polakach ich dawnej duszy słowiańskiej. Polacy ze swej strony twierdzili, że to właśnie Rosja utraciła swe słowiańskie oblicze dzięki przejściu, zwłaszcza w obyczajach i kulturze politycznej (nieograniczony despotyzm władzy), wielu elementów cywilizacji azjatyckiej, a ściślej – mongolsko-tatarskiej. „Tatarszczyznę” w życiu rosyjskim dostrzegało zresztą i potępiało wielu światłych ówczesnych Rosjan (nie był to więc wymysł Polaków), a wśród nich Bieliński, Hercen, Turgieniew i Tołstoj.

Słowiańską politykę Rosji niezmiernie komplikowała w XIX wieku tzw. „kwestia polska”, odbierała jej bowiem wszelką wiarygodność wśród pozostałych narodów słowiańskich. Hipokryzją bowiem było występowanie w obronie wolności Słowian i jednocześnie dławienie niezależności Polaków (na domiar złego wspólnie z uciskającymi Słowian Prusami i Austrią!) – sąsiedniego narodu słowiańskiego o wysokiej kulturze i ośmiowiekowej tradycji istnienia jego niepodległego, niegdyś potężnego państwa w Europie. Ten dylemat polityki rosyjskiej dostrzegali nawet sami słowianofile, gorliwi orędownicy znanej od czasów Puszkina idei „złania się słowiańskich rzek w morzu rosyjskim”, wyłożonej w jego wierszu *Oszczercom Rosji*. Wybitny przedstawiciel ruchu słowianofilów, historyk i publicysta Michał Pogodin pisał w 1854 roku:

*Polska oddała od nas cały świat słowiański. Polska powinna przybliżyć go nam. Przez Polskę powaśniliśmy się z najlepszą europejską społecznością; za pośrednictwem Polski powinniśmy pogodzić się z nią. Jak osiągnąć ten piękny cel? Bardzo prosto. Dajmy jej samodzielny, własny zarząd. Pozostając w nierozzerwalnym związku z imperium rosyjskim, pod berłem jednego cara, za pośrednictwem jego namiestnika, niech rządzi się Polska sama tak, jak będzie jej najdogodniej, zgodnie z jej historią, religią, charakterem narodowym i obecnymi warunkami.**

Ale w zestawieniu z oficjalną polityką władz carskich wobec Polski nawet ten nieśmiały program ograniczonej autonomii dla Polaków, wysunięty przez słowianofilskiego publicystę (sam Pogodin zresztą wkrótce wycofał się z niego), był wówczas jedynie utopijną mrzonką.

Po wojnie krymskiej z lat 1853–1856 słowianofilstwo przetrzała się w Rosji w ruch panslawistyczny, wyraźnie zabarwiony mocarstwowym szowinizmem wielkorusyjskim. W latach powstania styczniowego i po jego zdławieniu panslawizm ten przybrał wojowniczy antypolski charakter. Polacy potępieni zostali wówczas jako zdracy świata słowiańskiego, poeci – m. in. Tiutczew i Majkow – określali Polskę mianem „Judasza Słowiańszczyzny”. W polakożerczej kampanii publicystycznej wyróżniał się wtedy szczególnie Michał Katkow na łamach swej gazety „Moskowskije Wiedomosti”.

Zgodnie z ideą panslawizmu na czele federacji wyzwolonych narodów słowiańskich (przez Rosję, oczywiście) stać miała Rosja, jednoczyć zaś owe narody miałyby nie tylko plemienne pokrewieństwo Słowian, ale też język rosyjski (inne języki traktowano jako narzecza) i wiara prawosławna. Zachętą do budowy

jedności na tych zasadach miał być zorganizowany w Moskwie w 1867 roku, bojkotowany przez Polaków, Zjazd Słowiański, który jednakże nie wykazał entuzjazmu „braci Słowian” z południa i zachodu do tak pojmowanego jednoczenia i bratania się z wielką Rosją.

Najpełniejszy wykład katechizmu panslawistycznego stanowił traktat historiozoficzny Mikołaja Danilewskiego *Rosja i Europa* (1868). Autor przeciwstawiał w nim katolickiej romańsko-germańskiej Europie prawosławną i słowiańską Rosję, która – jego zdaniem – nie jest Europą i nigdy nią nie będzie. Ze strony Zachodu i Turcji – dowodził autor – zagraża Rosji i całej Słowiańszczyźnie stałe niebezpieczeństwo, dlatego Słowianie muszą się zjednoczyć wokół Rosji, gdyż ona jedynie może ich obronić przed odwiecznymi wrogami. Idea panslawizmu niedwuznacznie służyć miała mocarstwowo-politycznym interesom carskiej Rosji i z tego względu nie znajdowała poklasku wśród Polaków.

Nowych rumieńców życia dodała panslawizmowi wojna rosyjsko-turecka lat 1876–1878, która doprowadziła do wyzwolenia Słowian bałkańskich spod jarzma tureckiego. W Rosji wzrosły wówczas nadzieje na zajęcie Konstantynopola, który miał stać się stolicą prawosławia. Ta ekspansjonistyczna idea ożywiła m. in. ówczesną publicystykę Dostojewskiego w jego *Dzienniku pisarza*. Do tego jednak czasu prężny wcześniej w Rosji ruch słowianofilski przerodził się we wspomniany już panslawizm polityczny, reprezentowany przede wszystkim przez Iwana Aksakowa i Jurija Samarina, w „naukowy” nacjonalizm Mikołaja Danilewskiego i w nurt słowianofilstwa religijno-mistycznego zapoczątkowany przez Konstantego Leontiewa. Ten ostatni nurt bujnie rozkwitł w rosyjskiej myśli społecznej i literaturze początku XX wieku (Dymitr Mierieżkowski, Wiaczesław Iwanow, Wasyl Rozanow, Mikołaj Bierdiajew i inni).

Panslawizm polityczny, w założeniu swym hegemonistyczny, w tej postaci jak w Rosji, nie powstał w XIX wieku w żadnym innym kraju słowiańskim, gdyż żaden z nich nie mógł pretendować do roli przywódczej w Słowiańszczyźnie. Możemy natomiast mówić o bardzo żywym w różnych krajach słowiańskich odrodzeniu życia narodowego, rozkwicie rodzimej literatury i sięganiu w jej rozwoju do słowiańskich korzeni. Duże znaczenie miało również propagowane hasło „wzajemności słowiańskiej”, które było zachętą i nakazem do wzajemnego upowszechniania w poszczególnych krajach słowiańskich osiągnięć kulturalnych pozostałych narodów i wiedzy o ich historii i teraźniejszości. Szeroki zasięg twórczego oddziaływania w Słowiańszczyźnie, poczynając od okresu romantyzmu, osiągnęła zwłaszcza literatura rosyjska i polska. Wyrazem zainteresowań Słowianami w Europie XIX wieku i zarazem pionierskim wkładem Polaków do rozwoju naukowego słowianoznawstwa były wykłady Mickiewicza z historii literatur słowiańskich, które w latach 1841–1844 poeta prowadził w Collège de France w Paryżu.

Panslawizm rosyjski ujawnił się z nową siłą podczas I wojny światowej, w której Rosja carska występowała pod hasłem obrony i wyzwolenia wszystkich Słowian spod panowania Prus i Austro-Węgier. Choć ówczesny panslawizm był również wielkim szalbierstwem politycznym, to jednak nie demonstrował już otwarcie antypolskiego oblicza. W Rosji zaprzestano wtedy ostrych ataków na Polskę, którą zaczęto określać jako młodszą „rodzoną siostrę”, Polaków zaś jako braci, co znalazło wyraz m. in. w tytułach wielu ówczesnych wierszy na tematy polskie. W konflikcie zbrojnym z państwami centralnymi władzom rosyjskim chodziło przede wszystkim o pozyskanie Polaków do walki po swojej stronie. Stąd właśnie wynikał ten nagły przypływ propolskich sympatii.

Po rewolucji bolszewickiej 1917 roku odrzucono słowianofilstwo i panslawizm jako ideologię reakcyjną, która służyła obronie monarchii carskiej i religii prawosławnej. Przywódczą rolę na

rodu rosyjskiego na użytek wewnętrzny i zewnętrzny oparto na innych wartościach – nie na hasłach wspólnoty słowiańskiej, lecz na „proletariackim internacjonalizmie”, na sojuszu sił rewolucyjnych w walce o nowy ustrój i porządek świata. Ta nowa ponadnarodowa idea otwierała szersze horyzonty polityczne, przekraczające granice świata słowiańskiego i w tej sytuacji dziewiętnastowieczny panslawizm okazywał się już całkowicie nieprzydatny.

Poczucie więzi słowiańskiej po roku 1918 nabrało jednak charakteru politycznego, ale na innym obszarze i to bynajmniej nie za sprawą panslawizmu rosyjskiego. Rok 1918 przyniósł wyzwolenie polityczne narodom zachodniej i części południowej Słowiańszczyzny. Wraz z wyzwoleniem zrodziły się też dążenia federacyjne, których urzeczywistnieniem była Republika Czechosłowacka, zamieszkała przez Czechów i Słowaków oraz federacyjne państwo jugosłowiańskie, bardzo zróżnicowane pod względem etnicznym. Podstawą istnienia tych struktur państwowych było m. in. poczucie historycznie ukształtowanych więzi słowiańskich pomiędzy sąsiadującymi narodami. Więzy te okazały się na tyle silne że przetrwały próbę czasu. Te słowiańskie państwa federacyjne istnieją do dnia dzisiejszego, co nie oznacza wcale, że są one wolne od różnych konfliktów narodowościowych. Widać to szczególnie wyraźnie zwłaszcza na przykładzie współczesnej Jugosławii, gdzie Słowenci i Chorwaci podejrzewani są o separatyzm, zaś Serbom zarzuca się dążenie do hegemonizmu.

Podczas II wojny światowej hitlerowcy zręcznie wykorzystywali nacjonalizmy niektórych narodów słowiańskich do realizacji swego dalekosiężnego celu, którym było podporządkowanie i wyniszczenie żywiołu słowiańskiego w podbitych krajach. W urzeczywistnieniu tego celu Rzesza Niemiecka stawiała m. in. na podsycanie skierowanego przeciw swym słowiańskim sąsiadom nacjonalizmu Ukraińców, Chorwatów i Słowaków, czego wyrazem było m. in. faszystowskie państwo chorwackie z rządem przywódcy ustaszów Ante Pavelicia i państwo słowackie na czele z „prezydentem” Jozefem Tiso. Wojsko faszystowskiej Słowacji brało udział m. in. w niemieckiej napaści na Polskę we wrześniu 1939 roku.

Panslawizm jako idea polityczna nie odrodził się i po II wojnie światowej, chociaż wszystkie narody słowiańskie znalazły się wówczas w sferze wpływów jednego mocarstwa. Nie mógł być odpowiednim spoiwem politycznym, gdyż w tej samej sferze wpływów znalazły się również narody niesłowiańskie (część Niemców, Węgrzy, Rumuni), a ponadto w politycznej filozofii stalinizmu aktualne wciąż były ideologiczne zastrzeżenia, jakie wysuwano wobec dziewiętnastowiecznego słowianofilstwa.

Pewnej rehabilitacji ideowej i literackiej spuścizny słowianofilów dokonano w ZSRR dopiero w końcu lat sześćdziesiątych naszego stulecia. Dość ożywioną dyskusję na ten temat przeprowadziło pismo „Woprosy Literatury”. Podnoszono w niej postępowe pierwiastki programu słowianofilów, do których zaliczono ich żądania demokratyzacji życia społecznego w Rosji (krytyka ustroju państwowego) oraz troskę o rozwój oświaty, rodzimej kultury i słowiańskiej solidarności.

W naszych czasach na szczęście nie istnieje już panslawizm polityczny w dawnej postaci. Dzisiaj żaden naród słowiański nie pretenduje do tego, aby tworzyć wokół siebie słowiańską wspólnotę i stanąć na jej czele. Właściwe Słowianom dążenie do wolności, do zachowania swej tożsamości narodowej z góry skazywałoby wszelki panslawizm hegemonistyczny na niepowodzenie.

Wiadomo nie od dziś, że między różnymi narodami i państwami słowiańskimi istnieją wzajemne uprzedzenia, konflikty, różnice interesów, zadawnione urazy, a nawet wrogość. Są to sprawy trudne do uniknięcia między narodami sąsiadującymi. Ich przezwyciężanie wymaga długich wzajemnych starań i wysiłków. W Polsce istnieje już świadomość konieczności ich podejmowania.

Dostrzega się potrzebę nowego spojrzenia na stosunki polsko-rosyjskie, obciążone przez odległą przeszłość, a także przez liczne wynaturzenia okresu stalinizmu i breżniewszczyzny. Piśze się o konieczności kształtowania bliższych stosunków polsko-czechosłowackich, które w tej części Europy mogą odgrywać dużą rolę w przyszłości. Dostrzega się wreszcie znaczenie przyjaznych stosunków polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich, których odrębności i dodatkowych obciążeń starano się długo nie zauważać za oficjalnej fasady polsko-radzieckich stosunków i układów państwowych.

Pamiętając o podziałach, braku zaufania i uprzedzeniach wśród różnych narodów słowiańskich, czy można dziś wskazać jakąś więź międzysłowiańską? Istnieje z pewnością trudna do zdefiniowania wspólna formacja duchowa Słowianina, która wyróżnia go wśród przedstawicieli innych niesłowiańskich nacji europejskich (mówi się chociażby o słowiańskiej gościnności i otwartości). Istnieje wyraźne pokrewieństwo języków, folkloru, tradycji kulturalnej, czy wreszcie podobieństwo losów historycznych niektórych narodów słowiańskich. Jest żywa pamięć wspólnej walki w przeszłości z tym samym zagrożeniem zewnętrznym, na przykład tureckim na południu, czy germańskim na zachodnich rubieżach świata słowiańskiego.

Z potrzeby bliższego poznania dziejów Słowiańszczyzny i spojrzenia na nią jako na swoistą wspólnotę kulturową zrodziło się współczesne słowianoznawstwo, które rozwija się nawet w odległych krajach, czynnie uczestniczących w tworzeniu nauki światowej – takich jak USA, Kanada, Japonia czy Australia. Słowianoznawstwo (inaczej slawistyka) jest dzisiaj mocno rozbudowaną dziedziną badań filologicznych, historycznych, etnograficznych w wielu krajach słowiańskich i niesłowiańskich.

Pomysł zorganizowania pierwszego zjazdu filologów slawistów wysunęła Rosyjska Akademia Nauk już w 1903 roku. Zjazd miał się odbyć w roku następnym, ale na przeszkodzie stanęła wojna rosyjsko-japońska. Wrócono do tej idei w okresie międzywojennym, ale już nie w ZSRR, tylko w Czechosłowacji, która miała dawniej znakomite osiągnięcia w rozwoju slawistyki. Poświęcony pamięci czeskiego filologa, twórcy slawistyki Jozefa Dobrovskiego I Międzynarodowy Kongres Slawistów obradował w październiku 1929 roku – w setną rocznicę śmierci tego uczonego – i odbywał się w Pradze, Brnie i Bratysławie. Następny kongres zorganizowano w 1934 roku w Polsce, gdzie badania slawistyczne miały już wówczas ponad stuletnią historię. III Międzynarodowy Kongres Slawistów miał się odbyć we wrześniu 1939 roku w Belgradzie, ale nie doszedł już do skutku z powodu wybuchu II wojny światowej.

Na spotkaniu uczonych w Belgradzie w 1955 roku utworzono Międzynarodowy Komitet Slawistów, w ślad za tym powstały również w wielu krajach komitety narodowe, które patronują rozwojowi slawistyki. Powojenne międzynarodowe kongresy slawistów, organizowane tradycyjnie co pięć lat, poczynając dopiero od roku 1958, odbyły się kolejno w Moskwie, Sofii, Pradze, Warszawie (1973), Zagrzebiu, Kijowie, a ostatni zorganizowany został we wrześniu 1988 roku w stolicy Bułgarii. Gospodarzem kongresu w 1993 roku będzie Bratysława. Kongresy te w dużym stopniu stymulują rozwój slawistyki światowej.

Zmiany społeczno-polityczne, jakie dokonują się w ostatnich latach w ZSRR i w niektórych innych słowiańskich krajach Europy, przede wszystkim w Polsce, mają widoczny wpływ na wzrost w świecie zainteresowań tym obszarem naszej planety oraz słowiańską przeszłością i kulturą jego mieszkańców. Politolodzy zachodni, wśród nich m. in. prof. Zbigniew Brzeziński, przewidują, że w nadchodzącym, ostatnim dziesięcioleciu XX wieku w krajach Europy wschodniej będą dokonywać się głębokie przeobrażenia, które w istotny sposób wpłyną na kształt przyszłej zjednoczo-

nej Europy. Bardzo ważne znaczenie dla świata słowiańskiego ma też wyraźny wzrost poczucia swojej odrębnej tożsamości narodowej, jaki dokonuje się wśród Ukraińców i Białorusinów, których inteligencję twórczą zdziśiatkowano w latach stalinowskiego teroru. Nie jest przecież rzeczą przypadku, że najwięcej zbiorowych mogił ofiar stalinizmu odkryto właśnie na Ukrainie i Białorusi, jak o tym świadczą chociażby słynne już Kuropaty w pobliżu Mińska.

Trzeba też podkreślić duże znaczenie dla rozwoju zainteresowań współczesną Słowiańszczyzną wyboru na Stolicę Apostolską pierwszego słowiańskiego papieża Jana Pawła II, którego myśl słowiańska, zawarta w encyklice *Slavorum Apostoli* (1985), poświęconej dziełu słowiańskich apostołów, świętych Cyryla i Metodego, jest już przedmiotem studiów wielu slawistów. Wielki nasz rodak Jan Paweł II stale podkreśla wobec świata rolę, jaką odegrała Słowiańszczyzna w kształtowaniu duchowego dziedzictwa chrześcijańskiej Europy. W wielu wystąpieniach papieża zawarta jest głęboka myśl, że przez Słowiańszczyznę przebiegł przed wiekami linia podziału chrześcijaństwa w Europie i że dialog Kościoła zachodniego i wschodniego ma w związku z tym ogromne znaczenie zarówno dla jedności Słowian, jak też i dla budowy zjednoczonej Europy opartej na wartościach chrześcijańskiej cywilizacji. Dla zilustrowania tych stwierdzeń warto przytoczyć fragment wspomnianej encykliki:

*Wcielając Ewangelię w rodzimą kulturę ludów ewangelizowanych, święci Cyryl i Metody położyli szczególne zasługi dla ukształtowania się i rozwoju tej kultury, a raczej wielu kultur. Wszystkie bowiem kultury narodów słowiańskich zawdzięczają swój początek lub własny rozwój dziełu Braci Soluńskich. Oni bowiem, tworząc w sposób oryginalny i genialny alfabet języka słowiańskiego, wnieśli zasadniczy wkład w kulturę wszystkich narodów słowiańskich [...] Realizując własny charakterystyczny wkład w budowę Europy nie tylko jako wspólnoty wiary chrześcijańskiej, ale także jako organizacji państwowego i kulturowego. Dzisiaj również nie ma innej drogi do przezwyciężenia napięć i naprawienia rozłamów czy usunięcia antagonizmów, zarówno w Europie, jak i w świecie, które zagrażają wywołaniem strasznego zniszczenia życia i wartości.***

Jak widać, papież Polak, Słowianin podnosi znaczenie całej chrześcijańskiej Słowiańszczyzny, katolickiej i prawosławnej, w wielowiekowym dziele kształtowania cywilizacji europejskiej. Myśl słowiańska Jana Pawła II może zatem odegrać i odegra z pewnością znaczącą rolę w jednoczeniu Słowian i przezwyciężaniu dzielących ich różnic i uprzedzeń, co ułatwi też budowę – jak to się dzisiaj często określa – wspólnego domu europejskiego w słowiańskiej części naszego kontynentu.

Ostatnie lata dodały swego rodzaju *post scriptum* do podjętych tu rozważań. Oto słyszy się coraz częściej o działającym wśród Rosjan od roku 1985 stowarzyszeniu „Pamięć” (Pamięć). Moskiewski działacz tego stowarzyszenia, Władimir Wasiliew, otwarcie propaguje nacjonalizm, antysemityzm, nie tai swych monarchistycznych sympatii, odwołuje się do tradycji słowiańskich w świadomości rosyjskiej i do poczucia słowiańskiej jedności. Jest to więc do pewnego stopnia kontynuacja w nowych warunkach dawnej rosyjskiej myśli słowianofilskiej. Czy rozwinie się ona szerzej, czy da początek odrodzeniu się słowianofilstwa we współczesnej postaci – nikt nie zdoła przewidzieć. Ale można jednak przewidywać i oczekiwać, że wspomniane już przeobrażenia i reformy, jakie dokonują się obecnie w niektórych krajach słowiańskich, będą wywoływać rosnące w świecie zainteresowanie Słowiańszczyzną, jej kulturą i współczesnymi problemami. Polska naszych dni jest tego żywym potwierdzeniem.

JAN ORŁOWSKI

* Zob. E. Kucharska, *Michała Pogodina zainteresowania polskie*, Warszawa 1978, s. 69.

** Fragment encykliki *Slavorum Apostoli* cytuję za pismem „Katolik”, 1985, nr 30, s. 10–11.



Tomasz G. Masaryk wg drzeworytu Karla Svolinskego

Tomasz Masaryk a Polska

STANISŁAW JEDYNAK

TOMASZ G. MASARYK (1850–1937), wieloletni prezydent Czechosłowacji – od 1918 do 1935 r., gdy abdykował na własną prośbę – był znanym uczonym i myślicielem: filozofem i historykiem myśli społecznej. Jego dorobek zasługuje na przypomnienie i popularyzację. Od wielu lat prace jego nie są jednak wznawiane w Czechosłowacji, co nie znaczy, że na świecie zapomniano już o nim¹.

Masaryk należał do najwybitniejszych myślicieli słowiańskich przełomu wieków, a także do najwybitniejszych polityków słowiańskich tego okresu. Był on również znawcą kultury polskiej i samodzielnie, już w okresie szkolnym, nauczył się języka polskiego. Po polsku na pewno dość dużo przeczytał, między innymi wybór utworów Adama Mickiewicza: *Dziady*, *Konrada Wallenroda*, *O literaturze słowiańskiej*; Zygmunta Krasińskiego *Nie-Boską Komedję*; pisma filozoficzne Augusta Cieszkowskiego, Bronisława Trentowskiego, Andrzeja Towiańskiego. Czytał także teksty Aleksandra Świętochowskiego, później Mariana Zdziechowskiego, a z pisarzy Stefana Żeromskiego, Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Przybyszewskiego.

Zainteresowania sprawami polskimi nie były przypadkowe u tego człowieka, który pochodził z rodziny słowacko-czeskiej (ojciec był Słowakiem, matka pochodziła ze zniemczonej czeskiej rodziny). Już w szkole w Brnie dużo słyszał o powstaniu styczniowym. Później po latach na bankiecie polskiego towarzystwa śpiewaczego „Lutnia” w rewolucyjnej Moskwie w 1917 roku tak wspominał tę młodzieńczą fascynację:

Rewolucja polska z 1863 r. zastała mię jako młodego studenta. Langiewicz i Pustowojtówna byli moimi bohaterami. Czytałem o polskim powstaniu, co tylko mogłem, uczyłem się wszystkiego, co polskie i stałem się szczerym zwolennikiem Polski.

Dalej mówił: *Czytałem Waszych wielkich poetów, zwłaszcza Mickiewicza i Krasińskiego. Studiowałem polskich filozofów – historyków, jak Trentowskiego, Cieszkowskiego, z nowszych zaś Zdziechowskiego i innych. Z tych samych przyczyn interesowała mnie zawsze literatura polska: Wyspiański, Reymont,*

Żeromski – z innych względów dekadentyzm - Przybyszewski itp. Śledziłem różne kierunki kulturalne i polityczne, a więc np. interesowałem się Świętochowskim, z którym się też osobiście poznałem w Warszawie.

Po studiach w Wiedniu, uwieńczonych w 1876 r. doktoratem z filozofii i habilitacją w 1879 r. Masaryk zostaje w 1882 r. profesorem nadzwyczajnym czeskiego Uniwersytetu Praskiego². Wkrótce po przyjeździe do Pragi zakłada pierwszy czeski nowoczesny miesięcznik naukowy „Athenaeum”³, w którym między innymi podjął niepopularną kampanię przeciwko pseudośredniowiecznym rękopisom Kralodworskiemu i Zielonogórskiemu, ogłoszonym wcześniej za autentyki przez Wacława Hankę. Dzięki tej polemice Masaryk związał się z młodą nauką generacją i przede wszystkim z ruchem tzw. realistów. Organami tego ruchu oprócz „Athenaeum” był także „Čas”. Właśnie na łamach praskiego „Času” w 1891 r. Masaryk ogłosił studium w sprawie sporu rosyjsko-polskiego⁴. Zawarł tu swoje wrażenia z podróży przez Kongresówkę do Rosji. Już na granicy po stronie rosyjskiej zauważył, że dwóch Polaków rozmawia ze sobą po francusku. Co się okazało. Jeden z nich był urzędnikiem, a urzędnik na służbie mógł rozmawiać tylko po rosyjsku, w każdym razie nie po polsku. Masaryk wspomina o tym w kontekście rosyjskich dążeń do zjednoczenia wszystkich Słowian w myśl hasła słowianofilijskich. I gorzko zauważa:

Jaki to tam świat słowiański, w którym Słowianin nie waży się mówić swoim ojczystym językiem w obawie narażenia się swoim przełożonym i czemu nie chce on mówić innym, także słowiańskim językiem? I dalej: o tym drobnym epizodzie zawsze pamiętam, gdy zastanawiam się nad losami Polski rosyjskiej – przejawia się w nim cały ten okropny stosunek dwóch bratnich powaśnionych narodów, okropny stosunek zwyciężonego i zwycięzcy. Rosjanin bowiem w Polsce zachowuje się nie jak brat, lecz jak obcy, całkiem obcy zwycięzca – na tym polega cała treść stosunków polsko-rosyjskich.

Rosjanie dążą do całkowitego zrusyfikowania życia publicznego, szkoły, do zrusyfikowania kulturowego i do tego, aby język polski stał się językiem martwym. Jednakże to wszystko.

jak zauważa Masaryk, jest daremne. Między Polakami i Rosjanami są sporne różnice nie tylko religijne, lecz także kulturowe. Rosjanie są w Kongresówce elementem obcym, napływowym. Stosunki między Polakami i Rosjanami są na ogół oficjalne, formalne. Wszystkim dokuczają głupota cenzury, która gdy np. wystawiano *Mazepę* zezwoliła tylko na informację, że sztukę tę napisał niejaki J. S. W stosunkach międzyludzkich szerzy się nieszczerość, obtuda, wypaczają się ludzkie charaktery. Rosjanie – konkluduje Masaryk – zrobiliby lepiej, gdyby zamiast gnębić bratni naród słowiański zajęli się podniesieniem cywilizacyjnym licznych swoich nieoświeconych narodowości.

Od 1891 r. Masaryk jako poseł do parlamentu wiedeńskiego ze stronnictwa „młodoczeskiego”⁵ rozpoczyna ożywioną działalność polityczną. W parlamencie zajmował się między innymi sprawą reformy szkolnej, a także w ramach różnych komisji – kwestią Słowian Bośni i Hercegowiny. Był przeciwny ich okupacji, bo uważał to za niebezpieczne dla pokoju europejskiego. Opowiadał się również za politycznymi reformami w Austrii, aby przekształcić ją w federację równoprawnych narodów. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa niemieckiego (austriackiego i pruskiego) dla Słowian, w tym przede wszystkim dla dwóch narodów słowiańskich najbardziej narażonych na ataki: Polaków i Czechów. Już w 1891 roku w Strakonicach w swej mowie dotyczącej autonomii poruszył kwestię konieczności wspólnego frontu z Polakami przeciwko Niemcom na Śląsku Cieszyńskim.

W 1893 r. z powodu sporów wewnątrz stronnictwa „młodoczeskiego” Masaryk zrzekł się mandatu poselskiego i powrócił do Pragi. Założył tam wówczas nowe czasopismo „*Naše doba*” z podtytułem: „Przegląd dotyczący nauki, sztuki i życia społecznego”. Zajął się też pracą naukową, w której między innymi analizował przeszłość Czech, krytykował marksizm, badał sytuację w Rosji i zajął się sprawami ładu europejskiego. Spokojną pracę akademicką przerwały mu wydarzenia z końca lat dziewięćdziesiątych, gdy w związku z domniemanym zabójstwem dziewczynki przez Żyda Hilsnera (tzw. zabójstwo rytualne) rozpuściła się kampania antysemitka. Masaryk walczył z antysemityzmem i powszechną wiarą w tzw. rytualne zabójstwa. Jego walka z przesądami nabrała dużego rozgłosu i rozstawiła go za granicą.

W naukowej *Problematyce czeskiej*, drukowanej najpierw w 1893 r. w „*Našej dobie*” a następnie w 1895 r. w formie książkowej, Masaryk zajmuje się między innymi specyfiką kulturowo-historiozoficzną Czechów, Polaków i Rosjan. Przedstawia ją na przykładzie twórczości Kollara, Mickiewicza, Kirejewskiego.⁶ Według Masaryka koncepcja wszystkich trzech myślicieli słowiańskich dotyczy losów historycznych ludzkości, tego mianowicie jak definitywnie ułożyć życie wszystkich narodów, całej ludzkości. Czech przy tym chce rozwiązać to zadanie na zasadach rozumowych, a oświata i humanizm mają zapewniać ludzkości dalszy rozwój. Polak również rozstrzyga ten problem, ale nie rozumowo, lecz uczuciowo. Główną rolę do odegrania ma nie oświata, lecz Kościół. Idzie tu, pisze Masaryk, o Kościół katolicki, na którego zasadach mają być oparte dalsze przemiany. Sporą rolę do odegrania ma naród polski, który razem z Francuzami ma przyczynić się do nowej organizacji Europy. I wreszcie Kirejewski eksponuje słowianofilstwo oparte też na Kościele, ale prawosławnym. Uważa, że prawosławie może być dobrą podstawą do zjednoczenia Słowian, a także Wschodu i Zachodu poprzez radykalne przewyciężenie schizmy.

Trzej myśliciele słowiańscy mają ten sam cel: zjednoczenie ludzkości, ale używają bardzo różnych środków. Czech opiera się na nauce i filozofii, Polak i Rosjanin na religii, ale każdy swojej. Czech oczekuje rozwiązania od spokojnej i zgodnej pracy, Rosjanin może by się z nim zgodził, ale Polak chwytą za broń. Ci trzej myśliciele różnią się w rozumieniu swego mesjanizmu: zbawicielem ludzkości będzie Słowianin (Kollar), Polak razem z Francuzem (Mickiewicz), Rosjanin (Kirejewski); a także w rozumieniu przewodników ludzkości: geniusze Słowiańszczyzny (Kollar), geniusz Napoleona (Mickiewicz), prostota prawości rosyjskiego mużika (Kirejewski). Wszyscy trzej opierają się na ogólnych, już wypróbowanych zasadach: Kollar na zasadach humanizmu, Mickiewicz katolicyzmu, a Kirejewski prawostawia.

W okresie publikacji tego tekstu Masaryk poznał wielu polskich polityków w Wiedniu i raziło go nastawienie klerykalno-konserwatywne niektórych z nich, a także ciasne, doktrynerskie podejście do kwestii ruskiej konserwatystów wschodniogalicyskich.

W 1900 r. ruch społeczny realistów wykrystalizował się w Czeską Partię Ludową (realistów). Masaryk z ramienia tej partii został wybrany na posła do parlamentu wiedeńskiego. I znów zasłynął jako demaskator kłamstw, między innymi dotyczących zaarrestowanej grupy polityków z Bośni i Hercegowiny. Szło o przygotowanie aneksji tych prowincji i wykazanie, jak rzekomo rozbijacką i wywrotową politykę prowadzą miejscowi działacze.

Masaryk był już wówczas bardzo liczącym się politykiem słowiańskim, między innymi jego to zaprosiła krakowska „*Krytyka*”, aby wypowiedział się w ankiecie co do przyszłości spraw polskich (głos jego ukazał się w 1900 r. w styczniowym numerze pisma). Masaryk uważał, że Polska w istniejącej sytuacji międzynarodowej nie może liczyć na pomoc Zachodu i że sama nie ma też siły, aby przeciwstawić się zaborcom. Z tego względu

Polacy mogą oczekiwać uznania swej narodowości dopiero w odległej przyszłości. Drogą polityki zbrojnej Polska nie odzyska swej niepodległości. Wszystkie wysiłki Polaków, moim zdaniem, winny być skierowane ku temu, aby usilną pracą cywilizacyjną wymusić sobie uznanie praw narodowych i językowych. W każdym razie powinni Polacy pracować dla porozumienia z Rosją.

Wkrótce Masaryk przekonał się jak kruche były perspektywy prawdziwego zbliżenia między politykami polskimi i rosyjskimi po 1905 r. i przygotowując dużą pracę o Rosji (*Russland und Europa*) przestrzegał przed bezkrytycznym podziwem dla Rosji i dostrzegał niebezpieczeństwo załamania społecznego i politycznego, które może zagrozić cywilizacyjnie temu krajowi. Jak później, już po rewolucji 1917 r. powiedział, zaczął nienawidzić systemu carskiego nie mniej niż Mickiewicz.

W 1914 r. po wybuchu wojny Masaryk opuścił Austrię i udał się na Zachód. Już w 1915 r. w Genewie ostatecznie zerwał z rządem austriackim i zaczął prowadzić rozmowy z zachodnimi mężami stanu, a także obszerną kampanię prasową i organizacyjną na rzecz stworzenia oddziałów czeskich i słowackich we Francji, Rosji i Włoszech. Cała ta działalność przysporzyła mu sławy i uznania, co też w znacznym stopniu przyczyniło się do przekonania polityków zachodnich (także Wilsona) do idei stworzenia państwa czeskosłowackiego. W trak-

cie swojej kampanii politycznej wielokrotnie podkreślał, że bez wolnej Polski nie będzie wolnych Czech, ale też i bez wolnych Czech nie będzie wolnej Polski. Na Zachodzie Masaryk spotykał się niejednokrotnie z polskimi działaczami niepodległościowymi, przede wszystkim z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim. Dyskutowano o przyszłej współpracy polsko-czechosłowackiej, o możliwości federacji. Rozważając przyszły model Europy Masaryk pisał w studiach *Nova Europa*, publikowanych w czeskich czasopismach w porewolucyjnej Rosji (w 1917 r.):

*Polacy z Poznańskiego i pruskiego Śląska połączą się ze swymi rodakami z Rosji i Austrii, nie jest rzeczą niesprawiedliwą dać Polsce Gdańsk, aby miała bezpośredni dostęp do morza.*⁷

14 listopada 1918 r. Masaryk zostaje pierwszym prezydentem Czechosłowacji. Zaraz po przyjeździe w grudniu tegoż roku wygłasza przed Zgromadzeniem Narodowym pierwsze swe orędzie. W orędziu tym mowa jest również o sprawach polskich:

Sąsiedztwo i analogie dziejowe nakazują nam polityczną przyjaźń z Polakami. O tym wiele traktowaliśmy z kierowniczymi osobistościami polskimi, zastanawialiśmy się nawet nad federacją, ale powiedzieliśmy sobie, że na najbliższą przyszłość każdy naród ma masę swojej własnej pracy konstrukcyjnej i dlatego będzie lepiej nie komplikować zadań, starać się jednak będziemy o zawarcie ugody gospodarczej i wojskowej.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Czechosłowację między dwoma krajami pojawiły się kwestie konfliktowe. Dotyczyły one między innymi przyszłości Śląska Cieszyńskiego. Czesi stali na stanowisku, że ze względów historycznych cały Śląsk Cieszyński powinien należeć do Czechosłowacji, dodatkowo powoływali się na racje ekonomiczne (węgiel, huty) i wskazywali, że na wschodzie Polacy również kierują się racjami historycznymi, nie etnograficznymi. Z kolei Polacy wskazywali, że na Śląsku Cieszyńskim żyje spora grupa rdzennej polskiej ludności. Masaryk z niepokojem śledził rozwój konfliktu i jak mógł łagodził go, ale pewne posunięcia wojskowe (atak czeski na Śląsk Cieszyński) nie zależały od niego. Wielokrotnie podkreślał, że zatarg dotyczy niewielkiego obszaru i nie powinien rzutować na całość stosunków między bliskimi sobie kulturowo i językowo narodami. Z jeszcze większym niepokojem śledził przebieg wojny polsko-rosyjskiej z 1920 r. Był zresztą przekonany, jak wielu, że Polacy przegrają bitwę pod Warszawą i przybywającej do Polski misji angielskiej doradzał zabezpieczenie się w konwój aeroplanowy, aby móc się ewakuować na wypadek otoczenia Warszawy od zachodu, co zresztą, jak wiadomo, planował Tuchaczewski. Z tym większą satysfakcją i zadowoleniem przyjął zwycięstwo wojsk polskich w sierpniowej bitwie o Warszawę, że w ogóle był przeciwnikiem rozwiązań skrajnych i narzucania jakiegokolwiek porządku przez obce bagnety. Sam w czasie rewolucji rosyjskiej będąc w Rosji, zakazał czeskim oddziałom mieszania się w wewnętrzne walki między „białymi” i „czerwonymi”. Był przekonany, że w tworzeniu nowego układu powojennego każdy kraj ma swoje miejsce i swoją rolę do odegrania. W jednym z powojennych wystąpień powiedział między innymi:

Polisce należy się w odnowionej Europie wybitne miejsce i zadanie, nie jest przypadkiem upadek trzech absolutnych dy nastii i ich państw, które rozszarpały waszą ojczyznę. Z całego serca życzę narodowi polskiemu aby jak najprędzej i najtrwalej skonsolidował swoje wznowione państwo.

Masaryk uważał, że rzeczą niezwykle istotną jest wewnętrzna konsolidacja i odrodzenie narodu. Polega to między innymi na harmonizowaniu uczucia z rozumem, na tworzeniu zdrowych wspólnot rodzinnych i politycznych, na przeciwdziałaniu różnym formom zła. Za takie zło uważał np. pijaństwo. Chętnie powtarzał zasłyszane w Gdańsku w 1905 r. słowa, że przyszłość należy do tego narodu, który będzie mniej pił. Odnosił też te słowa do Polaków w kontekście konfliktu narodowościowego polsko-niemieckiego na Pomorzu.

Jeżeli idzie o stosunki polsko-czeskie i -słowackie, to dążył do ich poprawy. Jeszcze w latach trzydziestych, już u schyłku życia, interesował się działalnością kulturalną Polaków zaolziańskich i z własnej kieszeni wyłożył pokaźną sumę 100 tysięcy koron na budowę polskiego domu ludowego. Będąc pół-Słowakiem podkreślał, że w przysłowiu „Węgier, Polak dwa bratanki” idzie nie tyle o Węgrów, ile o Słowaków, bo przysłowie dotyczy czasów Odrodzenia, gdy Węgry prawie całkowicie ograniczały się do ziem słowackich (reszta była zajęta przez Turków), a ze źródeł wiadomo, że Polacy z owymi „Węgrami” swobodnie rozmawiali bez tłumaczy.

Każdy naród według Masaryka ma swe miejsce w procesie dziejowym, a wszystkie powinny ze sobą swobodnie współżyć, zgodnie z zasadami prawa naturalnego oraz zasadą równouprawnienia na podstawie przykazania: czego sobie nie życzysz, nie czyni innym. Nie znaczy to, że nie należy czynnie przeciwstawiać się złu (Masaryk nie zgadzał się z Tołstojowską koncepcją biernego oporu). Obrona przed krzywdą jest zarówno dopuszczalna, jak i konieczna. Masaryk uważał, że zarówno Polacy, jak i Czesi muszą się bronić przed naporem niemieczyny, aby przeciwdziałać krzywdom, jakie ich spotykały, czy mogą spotykać. W przyszłości jednak nie wykluczał zgodnego ułożenia stosunków między Słowianami i Niemcami. Ideałem współżycia europejskiego, za jakim się wypowiadał, były przecież jakieś federacyjne Stany Zjednoczone Europy. Drogę do takich stanów zjednoczonej Europy widział poprzez zbliżenie gospodarcze i kulturalne, później także polityczne Polski i Czechosłowacji.

STANISŁAW JEDYNAK

¹ W Czechosłowacji niektóre prace Masaryka wydawano jeszcze w okresie 1967–1968, np. *Problem czeski* (Česká otázka) oraz wybór utworów: *Idealy ľudzkosti*, *Problem malého narodu*, *Demokracja w polityce*. Szereg prac Masaryka wydaje się na Zachodzie, np. *Humanistic Ideals* (Lewisburg 1971). W Zurychu J. Dresler wydał w 1976 r. *Masarykova Abeceda* (Abecadło Masaryka), zawierające wybór myśli Masaryka... W Nowym Jorku ukazały się też niedawno monografie: R. Szporluka *The political thought of T. Masaryk*, 1981; H. J. Hajeka, *T. G. Masaryk revisited*, 1983.

² Uniwersytet Praski został w 1882 r. podzielony na dwie uczelnie: niemiecką i czeską. Stan taki przetrwał do drugiej wojny światowej.

³ W miesięczniku tym napisał między innymi o potrzebie zbliżenia literatur polskiej i czeskiej, tak aby Czesi pisali dla Polaków, a Polacy dla Czechów. Przykładem takiego zbliżenia, na jaki się powoływał, były kraje skandynawskie.

⁴ *Ke sporu rusko-polskému*.

⁵ Młodoczesi – czeska partia liberalna, domagająca się autonomii dla Czech w ramach Austrii.

⁶ Jan Kollar (1793–1852), pisarz, profesor archeologii w Wiedniu. rzecznik wspólnoty kulturalnej Słowian; Iwan Kirejewski (1806–1856), jeden z głównych twórców rosyjskiego słowianofilstwa.

⁷ *Nova Europa*, Praha 1920, s. 215–216.

OD TEOKRACJI DO DEMOKRACJI

KAROL ČAPEK: Powiedział Pan, że wojna światowa była też rewolucją światową. Czy sądzi Pan, że ta rewolucja światowa jest jedną z ostatnich?

TOMASZ G. MASARYK: – Rewolucje były zawsze, ale nowe czasy są, rzec by można, rewolucyjne permanentnie. Proszę sobie przypomnieć oprócz rewolucji reformacyjnej walkę Holandii o wolność, angielską rebelię, amerykańską akcję niepodległościową, a przede wszystkim wielką rewolucję francuską. Walka z Napoleonem była kontrrewolucyjną reakcją, zmierzającą do zduszenia zasad rewolucji francuskiej; przeciwko tej reakcji wybuchły rewolucje roku trzydziestego, czterdziestego ósmego i tak dalej. Włochy mają też w rewolucjonizowaniu Europy przodujące miejsce. Żyjemy *de facto* w stuleciu rewolucyjnym, rewolucyjność stała się niemal obyczajem. Wojna światowa jest dzieckiem rewolucyjności i sama była wielką rewolucją. Żyłem dość długo, aby być świadkiem wielu rewolucji politycznych, ale także kulturalnych, literackich i innych; rewolucyjność naszego okresu nie sprowadza się do dziedziny politycznej; polityczne przewroty w znacznym stopniu są wywoływane przez rewolucyjne idee.

Czy rewolucja światowa jest ostatnią – chciałbym, aby tak było – zgodnie z sytuacją powszechną byłoby to możliwe. Jest ogromną zdobyczą polityczną, że państwa rozmawiają ze sobą w Genewie i gdzie indziej o ważnych problemach. To że ludzie nie mają dosyć cierpliwości, gdy dzieło wielkie, jedno z największych nie realizuje się raz dwa, jest oznaką poli-

tycznej słabości i dość silną pozostałością duchową *ancien régime*.

Powtarzam: rewolucje, a myślę o rewolucjach krwawych, będą zbyteczne, gdy przewyciężymy ucisk narodu przez naród, klasy przez klasę i panowanie przemocy jednych nad umysłami innych. Rewolucji może już nie być, ale rewolucyjność pozostanie. Czyż nie mówimy o rewolucyjnych wynalazkach i czyż każda nowa wielka myśl nie stanowi na swój sposób przewrotu?

– To potwierdzają też nauki przyrodnicze, które wskazują, że rozwój ma miejsce nie tylko przez powolne zmiany, ale i poprzez skok, mutację, czyli przebiega rewolucyjnie.

– Właśnie. Rewolucją była reformacja – rewolucją religijną, ale ponieważ religia moralnie prowadzi jednostkę i społeczeństwo, to była też rewolucją społeczną i polityczną. Państwa katolickie, ponieważ nie przeszły tak silnej rewolucji religijnej i kościelnej, są pod względem politycznym bardziej rewolucyjne i radykalne; sprzeczność między kościelną religijnością a antykościelnym ruchem oświeceniowym utrzymuje u nich większe duchowe, a także polityczne napięcie. To można dostrzec na przykładzie prawosławnej Rosji oraz chronicznej rewolucyjności państw romańskich lub na przykładzie zróżnicowania protestanckiego temperamentu angielskiego i katolickiego temperamentu irlandzkiego. Także u nas potykają się ze sobą temperamenty katolicki i protestancki, radykalny i reformistyczny; ten konflikt i to wzajemne równoważenie się obu można obserwować w naszej politycznej rzeczywistości.

Nasza polityka była i jest od naszego przebudzenia z istoty jednak racjonalistyczna, oświeceniowa. Pod tym względem upodobniamy się do Francji – stąd te naturalne sympatie do niej.

– Mówił Pan, że kraje protestanckie są bardziej demokratyczne niż katolickie.

– No tak. Protestantyzm przecież odrzucił arystokratyczną instytucję księży i celibat, odrzucił katolicką hierarchię przez to zdemokratyzował Kościół i całe społeczeństwo. Odwołanie się do Biblii prowadziło do większego kształcenia i wzrostu refleksji kleru; a przez to, że ostatnią instancją w sprawach wiary uczyniło jednostkową świadomość, utrwaliło indywidualizm, subiektywizm, jednostkową wolność i jednostkową odpowiedzialność wobec autorytetu kleru i Kościoła. Dzięki temu wszystkiemu protestantyzm przygotował polityczną demokrację.

– Czy powiedziałby Pan również dzisiaj, że państwa protestanckie są bardziej demokratyczne?

– Wiem, o czym Pan myśli, ale trzeba poczekać na dalszy bieg wypadków. Kiedy mówię o krajach protestanckich, to myślę o tych, które dobrze znam: o Anglii i Ameryce. Anglia dzięki swemu systemowi parlamentarnemu, a Ameryka dzięki Deklaracji Praw Człowieka są przecież nauczycielkami demokracji.

– A co z Francją?

– Francja także przeprowadziła swoją reformację, ale politycznie dzięki Oświeceniowi i rewolucji. Pozytywizm jest dzieckiem Francji i Francja politycznie oraz gospodarczo jest kierowana przez ten pozytywizm; można to dostrzec w jej kapitalizmie. Nowoczesny kapitalizm, in-

dustrializm oraz burżuazja rozwinęły się jednakże najwcześniej i w największym stopniu w krajach protestanckich, zwłaszcza kalwińskich, purytańskich. O tym pod wpływem Maxa Webera wciąż się dyskutuje. Cały system i duch protestantyzmu przez to, że osłabił element cudowności i sakramentalizmu, a wzmocnił jednostkową inicjatywę, prowadził do uznania jednostkowego wysiłku i codziennej pracy. Nowoczesny kapitalizm oraz demokracja rozwinęły się również z tego źródła. A jedno i drugie zależy też od nowożytnej nauki i filozofii – nie jest przypadkiem, że nowoczesny nurt naukowy i filozoficzny był bardziej radykalny w krajach protestanckich. Również nauka o gospodarce narodowej najlepiej rozwinęła się w Anglii. Nie jest przypadkiem, że w Anglii naukowo dojrzał socjalizm marksistowski, odrębny od socjalizmu francuskiego lub rosyjskiego, bo te są bardziej polityczne, utopijne, a tamten bardziej zorientowany naukowo. Marks i Engels w końcu – pod wpływem Anglii – uznali przeciwstawiając się rewolucyjnemu radykalizmowi 1848 roku taktykę demokratyczną, parlamentarną za właściwszą. Można mówić jakby o dwóch Marksach – to jest aktualne do dzisiaj. Lenin nawiązywał raczej do młodego Marksa, niedojrzałego, bardziej rewolucyjnego, a także do Bakunina, niż do Marksa starszego, dojrzałego.

Rozumie się samo przez się, że nie przeciwstawiam ostro katolicyzmowi i protestantyzmowi. Przeciwnie w konflikcie reformacyjnym katolicyzm sam się też wewnętrznie reformował i od tamtych czasów istnieje między tymi nurtami chrześcijańskimi silna wzajemność – wzajemność polemiczna, ale przez to tym skuteczniejsza. Idzie mi tylko o to, aby znów podkreślić ten głęboki związek, jaki jest między religią i polityką, kościołem i państwem. Kościół duchowo prowadził społeczeństwo a poprzez nie państwo; z drugiej strony państwo chroniło prawo i ustawy, oparte u swych źródeł na moralności, a przez to na religii. Katolicyzm przez swoją wspaniałą organizację kościelną stworzył najwyższy typ teokracji, papocentryzm. Prawosławie było cesaropapistyczne, także reformacja i kontrreformacja – to jest sformułowane w regule *cuius regio eius religio*. Nowoczesne państwo stale się ześwieccza, przejmuje kontrolę nad całą społeczną organizacją; najpierw absolutystycznie i autorytatywnie, jak np. w teokracji, a później przekształca się w rząd konstytucyjny, półde-

mokratyczny i demokratyczny. Tak więc demokracje, nowoczesne przedsięwzięcia państwowe, są dziedzicami reżymu teokratycznego. Teokracja wywodzi wszelką państwową i polityczną władzę z woli bożej, demokracja od ludu; lud i przez niego wybrany parlament jest źródłem wszelkiej władzy i najwyższym autorytetem politycznym. Ale nie można zapominać, że już scholastycy uznawali polityczną siłę ludu i że istnieli katolicycy oraz protestanccy prawnicy i teologowie, którzy głosili prawo do rewolucji i zabijania tyranów.

– Nie sądzi Pan, że religia prowadzi raczej do monarchizmu niż do demokracji?

– Religia nie, lecz teokracja tak. Ileż to razy monarchizm dowodził, że jest z bożej łaski? Monarchizm jest państwową formą arystokratyzmu, a czyż nie był arystokratyzm politycznie, ale i religijnie hierarchią? Arystokratyzm mówi: ja jestem panem, a ty jesteś sługą lub niewolnikiem; demokratyzm mówi: ja jestem panem i ty jesteś panem. Nauka Jezusa, nauka o miłości bliźniego i powszechnej równości nie jest arystokratyczna, przeciwnie. Z miłości bliźniego, z idei synostwa bożego wywodzi się dla mnie demokratyzm, rzekłbym autentyczny.

– Jak by więc Pan sformułował swe własne i najbardziej zasadne przekonanie na rzecz demokracji?

– Najbardziej zasadnym argumentem na rzecz demokracji jest wiara w człowieka, w jego wartość, w jego pierwiastek duchowy i w nieśmiertelną duszę; jest to właściwa, metafizyczna równość. Etycznie demokracja jest uzasadniona jako polityczna realizacja miłości bliźniego. To, co wieczne nie może być obojętne wobec wiecznego, nie może go nadużywać, wykorzystywać i gwałcić.

– Pan więc widzi w końcu właściwą podstawę demokracji w religii; i śmiem tak rzec, jest właściwie także teokratą.

– Nie boję się słów i dlatego nie mam nic przeciwko tej formule, jeżeli traktuje Pan teokrację dosłownie jako bogowładzę. Rozumiem państwo, życie państwowe, politykę jako całokształt życia, istotnie *sub specie aeternitatis*. Demokracja właściwa, oparta na miłości i szacunku do bliźniego i do wszystkich bliźnich, jest realizacją bożych rządów na ziemi.

Demokracja nie jest tylko formą pań-

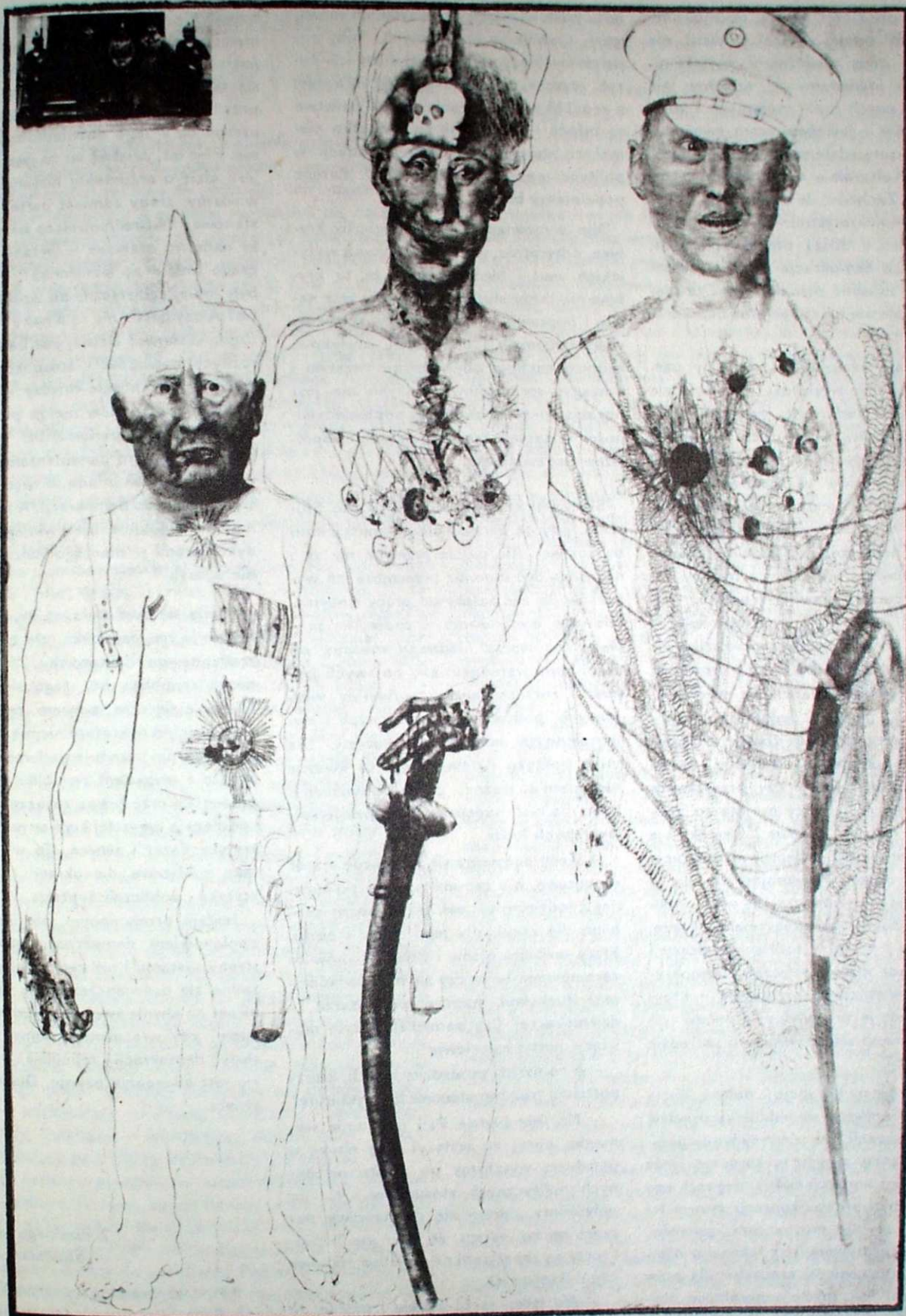
stwową, nie jest tylko tym, co jest napisane w ustawach; demokracja jest poglądem na życie, opiera się na zaufaniu wobec ludzi, ludzkości, człowieczeństwa. I nie ma zaufania bez miłości i miłości bez zaufania. Powiedziałem kiedyś, że demokracja jest dyskusją. Ale właściwa dyskusja jest możliwa tylko tam, gdzie ludzie sobie nawzajem wierzą i uczciwie szukają prawdy. Demokracja to jest jakby rozmowa między równymi, przemyślenia wolnych obywateli wobec całego społeczeństwa – słowo „parlament” ma jakże piękny sens, trzeba to tylko ucieleścić!

Powiedziałem, między równymi. Wiem, że ludzie nie są równi: nigdzie na ziemi, wśród ludzi ani w przyrodzie nie ma równości – jest tylko różnorodność: tylko jako nieśmiertelne dusze jesteśmy naprawdę równowartościowi. Liberté, égalité, fraternité – również rewolucja francuska przyjęła *de facto* przykazanie Jezusa, przykazanie miłości bliźniego. Brzmi to jak paradoks, ale jest prawdą: również francuscy racjonalści byli teokratami, gdyby nawet Boga traktowali tylko jako Najwyższy Byt.

Ideał demokratyczny nie jest tylko polityczny, lecz także społeczny i gospodarczy. Komunizm odrzucam. Bez indywidualizmu, bez utalentowanych i twórczych jednostek, bez żadnych przywódców, bez geniuszu pracy dla społeczeństwa nie da się rozumnie i sprawiedliwie organizować. Demokracja w aspekcie społecznym oznacza przewyżczenie degradującej biedy; w republice, w demokracji powinno być niemożliwe to, aby jednostki lub stany wykorzystywały swych współobywateli – w demokracji człowiek dla człowieka nie może być środkiem. Ta przyrodzona różnorodność musi być uporządkowana przez podział i hierarchię funkcji i pracy; nie jest bowiem możliwa organizacja ludzi bez przełożonych i podwładnych, ale musi to być właśnie zorganizowanie a nie przywilej, nie arystokratyczne panowanie, lecz wzajemna służba. Demokracja potrzebuje przywódców, ale nie panów.[...]

– Mówi Pan o doskonałej demokracji; dzisiaj jest zaś w modzie doszukiwanie się w niej wad i rozprawianie o kryzysie demokracji.

– Kryzys demokracji – proszę Pana – co dziś nie przeżywa kryzysu? Żyjemy właśnie w okresie przejściowym [...]. Demokracja ma swoje wady, bo obywatele mają swoje wady. Jaki pan, taki kram.



Jiří Anderle: *Elita*, 1981, mezzotinta, collage, 96 x 63,5. Autor grafiki, prażanin, należy do czołowych twórców europejskich w tej dziedzinie sztuki. Reprodukowana praca wystawiona była na I Międzynarodowym Triennale Sztuki „Przeciw Wojnie” – Majdanek '85 w Lublinie, gdzie Anderle otrzymał Grand Prix

Proszę popatrzeć na nas: nie mieliśmy przez wieki swojej własnej dynastii, nie mieliśmy, poza nielicznymi wyjątkami, narodowo uświadomionej szlachty, nie mieliśmy swych ludzi majątnych i wielkich panów – jesteśmy przez swoją historię i naturę zdeterminowani demokratycznie. Kulturalnie należymy do europejskiego Zachodu; do dziedzictwa oświeconego demokratyzmu. Jesteśmy narodem ciałem i duszą demokratycznym, jeżeli nasza demokracja ma swe niedostatki, to musimy przewyżczać te niedostatki, ale nie przewyżczać demokracji.

Mówi się na przykład, że niby parlament już nie wystarczy. Nie już, ale jeszcze nie! Parlament jest wybierany przez wyborców, a kto tych wyborców wychował politycznie i moralnie? Stary ustrój, bo postów ukształtowanych za czasów republiki jeszcze nie mamy. Demokracja nie może być tylko na papierze, w ustach demagogów. Żaden parlament, nawet najlepszy, nie jest po to, aby dekretował co jest prawdą, prawem i moralnością; o prawdzie, o podstawowych zasadach polityki, prawa i moralności nie można się wypowiadać przez głosowanie. Demokracja sama ludzi nie wychowa. Przyzwoici, porządni ludzie są wychowywani przez rodzinę, szkoły, kościoły, instytucje państwowe, literaturę, dziennikarkę i tak dalej – czy przeszkadza temu demokracja? Czy nie ma tu politycznego *circulus vitiosus*? Demokrację tworzą demokraci, a lepszą demokrację lepsi demokraci. Przyznajmy się, że w tej sprawie ma swoją część winy inteligencja – duchowni, nauczyciele, pisarze, urzędnicy i w ogóle ludzie kształcący i prowadzący masy społeczne. Demokracja jest większością sterowaną – kto i jacy są tedy jej przywódcy? Francuski pisarz niedawno właściwie pisał o „zdradzie inteligencji”.

Skarżą się na korupcję – dobrze, huzia na nią! Nie dajmy się jednak sprowadzić do generalizacji i nie wiermy korupcjonistom uskarżającym się na korupcję. Dość jest bowiem korupcji cichej, eleganckiego obchodzenia prawa, korupcji prawie legalnej – tej nie można przeciwstawiać się tylko negatywnie, lecz także pozytywnie: potrzeba więcej szacunku dla praw i państwa! Tak, myślę o moralności obywatelskiej, o lojalności w sensie angielskim.

Tak samo jak na korupcję, skarżymy się też na błędy polityczne, na niezdol-

ność postów, władzy i wszystkich możliwych czynników społecznych. Tak, popełniamy błędy, sam popełniłem ich dosyć, jeszcze wiele musimy się nauczyć, a republika, demokracja, nasze państwo są młode i dostaliśmy to wszystko niemal za darmo. Nie mamy tradycji w polityce oraz w administracji i dlatego popełniamy błędy.

Nie wypowiadam się przeciwko krytyce, odwrotnie, jestem za krytyką wszystkich wad i błędów, tylko że ta krytyka nie może służyć demagogii, lecz nauce i poprawie. Potrzebujemy krytyków wykształconych i uczciwych, krytyków, których cechuje obywatelskie męstwo i odwaga; sprawiedliwa krytyka nie jest negacją ani przenoszeniem odpowiedzialności na innych, lecz współpracą i współodpowiedzialnością.

Skarżymy się na partie polityczne. Słusznie, gdy te partie hołdują partyjnemu sobkostwu. Ale partie przecież nie są i nie mogą być inne niż przeciętna ich wyborców, ta zaś zależy od pracy i obywatelskiego wychowania – znów ten problem kierowania! Jednego musimy od partii stale wymagać: aby na swych postów i reprezentantów wybierały właściwych, politycznie uzdolnionych i wykształconych mężczyzn i kobiety. Dla mnie polityka i demokracja to kwestie niezmiernie ważne: praca, powiedziałbym, dla tych najlepszych i najwłaściwiej wybranych ludzi.

A kiedy będziemy się naprawdę starać o naprawę, nie zapominajmy o politycznej młodzieży, to jest także ważny problem dla kraju, dla jego rządu i partii. Stary problem ojców i dzieci. I znów to zaczarowane koło: czy są tego świadomi nasi duchowni, nauczyciele, pisarze i dziennikarze? Czy pamiętają o tym rządzący, partie i postowie?

– A co można powiedzieć o tych, którzy postulują państwo stanowe lub dyktaturę?

– No, nie będzie Pan ode mnie wymagał, abym tu wyłożył całą naukę o państwie; wyszliśmy po prostu od danych politycznych stosunków i to, co mówiliśmy, odnosi się do naprawy naszych spraw. Wiem, że są u nas ludzie, którzy są zapatrzeni na państwa stanowe czy dyktatorskie.

– Ale tylko na te wielkie i mocne; te mniejsze już nie stanowią takiego kuszącego przykładu.

– Oczywiście. Ludziom podoba się władza, ale ta władza się przecież naśla-

dować nie da; żaden rząd nie uczyni z małego państwa mocarstwa. Ludzie mało patrzą na to, co się odnosi do nas, często się tylko małpuje to, co obce, zamiast uczyć się na cudzym doświadczeniu i poczekać co z tego doświadczenia wyniknie. Pięć lat, dziesięć lat to jeszcze mało, jeśli idzie o argumenty historyczne. Powiedzmy: stany zamiast partii, państwo stanowe? W Średniowieczu wszędzie było państwo stanowe – pytam się, dlaczego ludzie go poniechali? Czy stany były mniej egoistyczne niż dzisiejsza partia? A czy partie nie są u nas po większej części stanowe? Dzisiaj jest bardzo wiele różnych zawodów i stosunków stanowych – jak chcecie między nimi dojść do ugody, czy znów nie za pomocą jakiegoś nowego parlamentu? Dyktatury odrzuciły system parlamentarny, ale odwołują się do woli ludu, a więc odwołują się w istocie do demokracji. A z kolei monarchie absolutne były swojego rodzaju dyktaturami – dlaczego ludzie od nich nie odeszli?

Kiedy się skończyła wojna, myślałem: będzie u nas republika, ale z początku rządzona po dyktatorsku. Widzi Pan, nasza republika bez tego się obeszła. Nie boję się słów, powiem, że bez pewnego stopnia dyktatury nie ma demokracji: kiedy nie obraduje parlament, działa władza i prezydent republiki nieograniczenie, ale przecież są związani prawami i podlegają przyszłej krytyce parlamentu, krytyce gazet i zebrań. To właśnie jest taka podstawa demokracji: swobodna krytyka i publiczna kontrola.

Jestem przekonany, ale nie ślepym zwolennikiem demokracji; znam słabe strony systemu i nie uszło mojej uwadze żadne złe doświadczenie, ale nie żałuję nawet na chwilę swej decyzji, którą podjąłem, gdy wracałem z wojny: że będę służył demokracji i republice. Demokracja jest gwarancją pokoju. Dla nas i dla świata.

Z czeskiego przełożył:
Stanisław Jedynak

* Poniższy tekst pochodzi z książki Karola Čapka *Rozmowy z Masarykiem* (*Hořovy s T. G. Masarykiem*, Praha 1946, s. 186–192), która powstała z rozmów pisarza z prezydentem, przeprowadzonych w latach dwudziestych.

Czeski i słowacki

Język czeski i słowacki należą, w obrębie rodziny słowiańskiej, do grupy zachodniosłowiańskiej i współcześnie są one najbardziej zbliżone do polskiego. Ich wzajemne pokrewieństwo w dziedzinie gramatyki sprowadza się do takich cech jak: zachowanie akcentu inicjalnego (tj. spoczywającego na początkowej sylabie wyrazu), przejście spółgłoski *g* w dźwięczne *h* oraz samogłosek nosowych *ą*, *ę*, w *u*, *a*, *e* (np. *holub* – *gołąb*, *hora* – *góra*, *hus* – *gęś*), utrzymanie spółgłosek *r*, *l* jako sylabotwórczych (np. *hrdlo* – *gardło*, *vlk* – *wilk*), grupy *ra*, *la* w miejsce polskich *ro*, *lo* (np. *hrad* – *gród*, *kráva* – *krowa*, *zlato* – *złoto*), brak zmiękczenia spółgłosek – częściowy w słowackim (np. *den* – *dzień*, *nebeský* – *niebieski*), zachowanie spółgłosek długich i krótkich (np. *dráha* – *droga*, *trasa* ale *drahá* – *droga*, *míla*), brak polskiego przejścia *l* w *ł* itp. Cechy te wytworzyły się w obydwu tych językach na skutek stałego sąsiedztwa plemion czeskich i słowackich, zwłaszcza po przekroczeniu przez nie Karpat (w VII w.) i oddzieleniu się górami od plemion polskich.

Omawiane plemiona stanowiły początkowo, tak jak to było i na terenie Polski, grupę zróżnicowaną i niejedolitą. W zachodniej części ich terytorium (na obszarze obecnej republiki czeskiej) żyły w IX–X wieku liczne szczepy: Chybianie, Chorwaci, Czesi czyli Prażanie, Deczanie, Dulebowie, Lemuzi, Litomierzycy, Łuczanie, Pszowianie, Siedliczanie, Zliczanie; stopniowo zostały one zdominowane przez najbardziej prężnych Czechów, którzy zjednoczyli je, tworząc wspólny organizm państwowy i nadając mu jednocześnie swoją nazwę. Wyrazy: Czech, Czechy są interpretowane z punktu widzenia etymologii jako pochodzące od określeń: *czetník*, *członek czety*, tj. *drużyny* lub *czeljadin* – *jeden z czeladzi*, *członek określonej grupy*, przez dodanie przyrostka *-ch* do ich pierwszej sylaby (w identyczny sposób objaśnia się nazwy Lech i Lach, jako pochodzące od nazwy plemiennej *Lędzanin*, związanej z kolei z wyrazem *łęd* *stały łąd*). Łacińska i niemiecka nazwa kraju i narodowości (Bohemia, Boehmen) wywodzą się od celtyckiego plemienia Bojów (łac. *Bohemi*), które zajmowało ten obszar przed Słowianami. Nazwa plemienna *Słowak* pochodzi, tak jak i *Słowianin*, od rdzenia *słow-*, *slaw-*, występującego często w nazwach wodnych, gdyż w dawnych wiekach osiedlano się właśnie w dolinach rzek, dających przecież ludziom wodę, żywność, możność obrony i komunikacji; podobne nazwy plemienne to: Bużanie, Czrepienie – *mieszkający za Pianą*, Obodrzycy – *mieszkający wzdłuż Odry*, Połabianie – *mieszkający wzdłuż Łaby*, Wiercanie – *mieszkający nad Wartą*, Włślanie i wiele innych.

Pierwsze państwo, powstałe na terenie dzisiejszej Czechosłowacji, to państwo Samona, kupca frankijskiego, z lat 626–661, na obszarze zakarpackim. Na początku IX wieku ukształtowało się słowackie państwo Pribiny ze stolicą w Nitrze, przyłączone jednak zostało wkrótce do potężnego Państwa Wielkomorawskiego, istniejącego w latach 822–906, obejmującego też kraj Wiślan (dzisiejszą południową Małopolskę z Krakowem); w tym to czasie, za króla Rościstawa, miała miejsce znana misja Cyryla i Metodego z Bizancjum. Na początku X wieku Czesi utworzyli swoje państwo, którym władowały kolejno wszystkie dynastie: Przemysłowiców (Przemyslidów), Luksemburgów i Ja-

giellonów i które w roku 1526 przeszło pod panowanie Habsburgów, a następnie zostało włączone w skład ich cesarstwa. Słowacy już w XI wieku zostali uzależnieni przez Węgrów (jedynie przejściowo należeli do Polski) i wraz z nimi weszli w skład austro-węgierskiej monarchii Habsburgów, pozostając jednak nadal pod ścisłą administracją Węgier. Przez jedenaście stuleci losy Czechów i Słowaków kształtowały się zatem w odmiennych warunkach i niezależnie od siebie.

W wyniku I wojny światowej i rozpadu Austro-Węgier uzyskało niepodległość wiele krajów, w dniu 28 października 1918 roku proklamowano powstanie Republiki Czechosłowackiej; poza Czechami, Morawami i Słowacją weszły do niej: Śląsk Opawski, część Śląska Cieszyńskiego (na południe od Olzy), część Spiszu i Orawy oraz Ruś Zakarpacka. W nowym państwie elementem dominującym we wszystkich dziedzinach życia stali się Czesi. Stanowili oni aż 50 proc. ludności, podczas gdy Słowacy tylko 15 proc. (reszta to: Niemcy 23,4 proc., Węgrzy 5,3 proc., Ukraińcy 3,4 proc. i Polacy 0,6 proc.). Prowincja czeska posiadała wysoko rozwinięty przemysł i rolnictwo, zaś Słowacja nie posiadała w ogóle przemysłu, a rolnictwo stało tam na bardzo niskim poziomie. Także pod względem oświaty, wykształcenia i udziału w rządach i administracji wiedli prym Czesi. Ówczesny rząd negował nawet odrębność narodową Słowaków, uważając ich za plemię czeskie. Sytuacja taka musiała budzić stałe niezadowolenie Słowaków, wyzwalając ich dążenia do większej autonomii i do możliwości decydowania o swoich sprawach. Ujawniło się to w pełni podczas II wojny światowej, kiedy pod egidą Niemców istniały dwa niezależne od siebie państwa: Protektorat Czech i Moraw oraz Republika Słowacka.

Po II wojnie światowej, w roku 1945, odnowiono federację Czech i Słowacji, tworząc państwo związkowe o dzisiejszej nazwie: Československ'a Socialistick'a Republika (Czechosłowacka Republika Socjalistyczna), złożone z dwóch republik, z których każda posiadała swój odrębny język, parlament, rząd oraz instytucje państwowe i społeczno-polityczne (nawet oddzielne partie komunistyczne z własnymi komitetami centralnymi). Mimo iż gospodarka i oświata Słowacji znacznie się w tym okresie rozwinęły, Słowacy nadal odczuwają niedosyt co do autonomii i samodzielności swojej republiki.

Związki kulturalne Polski ze Słowacją i Czechami są bardzo dawne. Wpływy słowackie są regionalne i ograniczone do gwar południowych, stykających się z tym terenem (do gwary podhalańskiej, spiskiej i orawskiej); zapożyczone słownictwo wiąże się zwykle z górami i pasterstwem. Natomiast wpływy czeskie, obecne także w gwarach śląskich (np. typowe dla Śląska nazwy miejscowe *Li(i)gota*, będące odpowiednikiem polskiego *Wola*), zaznaczyły się wydatnie i w języku literackim. Jak wiadomo, do XVI wieku kultura polska pozostawała pod przemożnym wpływem czeskiej, będącej pośrednikiem między kulturą zachodnią (głównie niemiecką) a polską. Liczba Czechizmów, tj. przejętych przez język polski wyrazów czeskich, oceniana jest obecnie na ponad sto. Do bardziej znanych należą np. wyrazy: *bawelna*, *blańha*, *brama*, *hańbić*, *hardy*, *hojny*, *istota*, *jedwab*, *Jerzy*, *krotochwila*, *kuchnia*, *małżeństwo*, *masarz*, *nabożeństwo*, *obywatel*, *okrutny*, *porucznik*, *rusznica*, *rzetelny*, *serce*, *straż*, *szata*, *śmiertelny*, *tabor*, *uprzejmy*, *wesele*, *wesoły*, *Władysław*, *własny*, *zakonnik*.

Przenikanie się słowem

Zakład Filologii Słowiańskiej UMCS w Lublinie prowadzi badania dialektologiczne i onomastyczne na obszarach Lubelszczyzny, Chełmszczyzny i Zamojszczyzny, a więc na terenach etnicznie i językowo mieszanych, polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich, gdzie istniało i nadal istnieje zjawisko bilingwizmu.

Przy współdziałaniu finansowym i organizacyjnym Wydziałów Kultury i Sztuki Urzędów Wojewódzkich w Zamościu i Chełmie Zakład Filologii Słowiańskiej przeprowadził trzy międzynarodowe konferencje slawistyczne. Rozprawy i artykuły stanowiące plon pierwszego sympozjum pt. „Formacje hybrydalne w językach słowiańskich”, które odbyło się w dniach 10-11 maja 1984 roku, zostały wydane przez UMCS w formie serii „Rozpraw Slawistycznych”, a przewodniczącym komitetu redakcyjnego był doc. dr hab. Stefan Warchoła.

Tom konferencyjny jest dość zróżnicowany treściowo, a więc został podzielony na dwie części. Pierwsza z nich zawiera prace o charakterze teoretyczno-językowym, dotyczącym formacji hybrydalnych, czyli rozwiniętych struktur, w których skład wchodzi elementy należące do dwu różnych języków, a druga – szczegółową analizę formacji hybrydalnych, dokonaną na konkretnym materiale historycznym lub współczesnym.

W tomie znalazły się m.in. rozprawy przedstawiające problem formacji hybrydalnych na terenach Chełmszczyzny. Na uwagę czytelników zasługuje artykuł Barbary Czopek pt. „Ukraińskie cechy językowe w nazwach miejscowych dawnej Ziemi Chełmskiej i Bełskiej”. Wprowadzenie w tematykę rozpoczyna autorka od przypomnienia kwestii historycznych, dotyczących tych ziem, będących przedmiotem odwiecznego sporu między władcami Polski i książętami ruskimi. Stu-

sznie zauważa także ich swoistą specyfikę, a mianowicie przejściowe, peryferyjne położenie między wschodnią i zachodnią Słowiańszczyzną, zróżnicowanie geograficzne, niejednorodność narodowościową i wyznaniową (od średniowiecza współistniała tu ludność z dwóch różnych grup etnicznych: polskiej i ukraińskiej), a wreszcie fakt istnienia różnej administracji kościelnej. Opierając się na kartotece „Słownika historyczno-etymologicznego nazw miejscowych Polski”, B. Czopek stara się w swym artykule przedstawić najbardziej typowe zjawiska językowe, występujące na badanym terenie i czyni to w sposób przemyślany i systematyczny. Wyróżnia i omawia trzy grupy cech: słowotwórcze, fonetyczne i leksykalne, popierając swoje wywody ciekawymi przykładami i podając przedziały czasowe funkcjonowania określonych form nazwicznych. Wymieniając liczne nazwy miejscowe (np.: Zadubce, Honiatycze, Pawliszcze, Podymyszczyna, Tełatyn, Hniszów, Tucząpy, Drohojówka, Skomorochy, Husynne, Tarnowatka, Metelin, Futory, Lademiska, Pokrówka, Prehoryle i wiele innych) autorka dostrzega w nich polsko-ukraińskie cechy językowe oraz ich wzajemne przenikanie się, będące właśnie rezultatem istnienia na obszarze dawnej Ziemi Chełmskiej i Bełskiej dwóch różnych grup etnicznych: polskiej i ukraińskiej.

Inną pracą, poruszającą problem formacji hybrydalnych funkcjonujących na terenie Chełmszczyzny, jest artykuł Bronisławy Lindert pt. „Formacje hybrydalne w nazwach miejscowości z terenu dawnej Ziemi Chełmskiej”. Autorka również (podobnie jak B. Czopek) rozpoczyna od istotnej informacji historyczno-geograficznej, dotyczącej Ziemi Chełmskiej od czasów Rusi Halickiej i omawia kolejno losy tej Ziemi, przechodzącej niejedno-

krotnie z rąk polskich w ruskie. Wiążąc niewątpliwie słusznie formacje hybrydalne w nazwach miejscowości dawnej Ziemi Chełmskiej z jej historią, autorka podaje nazwy notowane w wiekach XV i XVI, które później zaginęły (np. Arupliwo, Chańcowo, Kaszuła itp.). Autorka wymienia w porządku alfabetycznym 34 nazwy miejscowe, podając ich obecną przynależność administracyjną i dokonując analizy słowotwórczej i fonetycznej określonej hybrydy. Podstawę materiałową stanowiły: „Księga ziemska hrubieszowska” i „Księga chełmska”, znajdujące się w Archiwum Wojewódzkim w Lublinie.

B. Lindert zauważa na omawianym przez siebie terenie nie tylko wpływy, a więc i hybrydy, związane z istnieniem na tym obszarze oprócz grupy etnicznie polskiej – grupy ukraińskiej, ale także wpływy litewskie (np. Witficzo), turecko-tatarskie (np. Kurmanów), niemieckie (np. Bekiesza), czy węgierskie (np. Koczów) i zwraca uwagę na ich koncentrację w okolicach Chełma i Hrubieszowa, motywując ten fakt dobrymi warunkami osadniczymi, urodzajną glebą, istnieniem ważnych dróg handlowych i bliskością rzeki Bug, tzn. faktami nielingwistycznymi.

Artykuły, które zostały wyżej omówione jeszcze raz zapewne potwierdzają fakt, że Chełmszczyzna ze względu na swoją specyfikę stanowiła i nadal stanowi obszar bardzo ciekawy pod względem językowym i historycznym. Wymaga ten teren jednak dalszych skrupulatnych i szczegółowych badań. I takie badania nadal są prowadzone.

Lucyna Zienkiewicz

„Formacje hybrydalne w językach słowiańskich” pod red. Stefana Warchoły. „Rozprawy Slawistyczne”, 1, UMCS, Lublin 1987.

WIKTOR AMBROZIEWICZ

Wiktor Grzegorz Ambroziewicz (1882–1968), wybitny pedagog i publicysta, zasłużony działacz niepodległościowy, urodził się w Warszawie 23 listopada, w rodzinie urzędnika kolejowego, a dzieciństwo i młodość spędził w Siedlcach. Z domu wyniósł wpojony mu szacunek do pracy ludzkiej i gorące umiłowanie ojczyzny, ukształtowane na rodzinnych tradycjach powstańczych. W 1901 r. ukończył gimnazjum rosyjskie w Siedlcach. W szkole brał żywy udział w uczniowskim ruchu samokształceniowym, którego celem było pogłębienie znajomości literatury i historii ojczyzny. Z kolei podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie był czynnym członkiem tajnej organizacji „Zet” (Związek Młodzieży Polskiej) i redagował studenckie pismo „Znicz”. W czasie wrzenia rewolucyjnego w 1905 r. wziął aktywny udział w strajku akademickim, domagającym się wprowadzenia do szkół języka polskiego, za co został wydalony z uczelni. W rezultacie przeniósł się do Galicji i tam ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Lwowskim.

Pracę zawodową podjął we Włocławku jako dziennikarz, będąc współredaktorem „Dziennika Kujawskiego”. Po wkroczeniu Niemców w 1915 r. został aresztowany i uwięziony jako tzw. „cywilny jeńiec wojenny” na zamku Celle i w Gardelengen.

Po zwolnieniu z niewoli przybył do Chełma, by wzmocnić polskością, tępiącą tu zażarcie przez zaborcze władze rosyjskie. W sierpniu 1917 r. objął stanowisko dyrektora Szkoły Filologicznej, którą wkrótce przekształcił w państwowe gimnazjum. Był współorganizatorem tajnej organizacji „Straż Kresowa”. Jego też staraniem zorganizowana została 3 maja 1918 r. masowa

manifestacja patriotyczna, stanowiąca protest społeczeństwa polskiego przeciwko traktatowi brzeskiemu, który zmierzał do oderwania Ziemi Chełmskiej od Macierzy. Był naczelnym redaktorem czasopism „Głos Ziemi Chełmskiej” i „Polak Kresowy”, broniących sprawy polskiej. Jego uczniowie wzięli udział w rozbrojeniu austriackiego garnizonu w Chełmie 2 listopada 1918 r., a on sam mianowany został komisarzem rządowym miasta. Dzięki osobistym staraniom Ambroziewicza w czerwcu 1919 r. otwarto muzeum regionalne przy gimnazjum, inicjując polskie muzealnictwo w Chełmie. Obok wydajnej pracy pedagogicznej i ofiarnej działalności społecznej dyrektor pisał wiele artykułów i innych tekstów o tematyce wychowawczej, które były publikowane w wydawnictwach profesjonalnych.

Jego wybitne zdolności, ogromny zapał i niespożyta energia sprawiły, że Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie stało się jedną z przodujących szkół średnich w kraju. W rezultacie dostrzeżono Ambroziewicza na szczeblu centralnym i decyzją ministra w 1930 r. przeniesiono go na stanowisko dyrektora gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. Po sześciu latach chlubnego sprawowania swych obowiązków został mianowany kuratorem warszawskiego okręgu szkolnego.

W czasie okupacji, w latach 1939–1941, był dyrektorem polskiej średniej szkoły w Wilnie, po czym powrócił do Warszawy, gdzie prowadził tajne nauczanie i uczestniczył w działalności konspiracyjnej, w końcu brał udział w powstaniu warszawskim.

Po wyzwoleniu reaktywował Państwowy Instytut Robót Ręcznych, dyktując mu w Łodzi, a następnie w Bielsku-Białej. W 1950 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł w Warszawie 23 listopada 1968 r. Był odznaczony komandorią Orderu Polki Odrodzonej.

MARIA HEMPLÓWNA

Maria Hemplówna (1834–1904), etnografka i botaniczka, urodziła się 6 maja w Puchaczowie, gdzie początkowo zamieszkiwała jej rodzice. Ojciec, Aleksander Hempel, był dyplomowanym majorem WP, a matka, Marianna z Bogdanowiczów, pochodziła z ziemiańskiej rodziny właścicieli dóbr puchaczowskich. W 1846 r. otrzymała ona w wianie, zakupiony wówczas przez jej ojca, Jakuba Bogdanowicza, majątek Tarnów (obecnie w gminie Wierzbica), dokąd się Hemplowie przenieśli na stałe. Tutaj też przyszła etnografka spędziła swą młodość, poznając życie miejscowej ludności wiejskiej. Miała pięcioro rodzeństwa i jako najstarsza, po utracie w 1857 r. matki, przejęła na swe barki ciężar prowadzenia domu. Do dziś zachował się na cmentarzu w Wereszczynie piaskowcowy nagrobek Marianny z Bogdanowiczów Hemplowej.

W 1857 r. zaręczyła się ze swym kuzynem, inż. Kazimierzem Łapczyńskim, zapalonym botanikiem, badaczem flory krajowej. Pod jego też wpływem żywo zainteresowała się miejscową florą i na własną rękę podjęła nad nią studia. Zebrała wiele rzadkich roślin, sporządzając zasobne, usystematyzowane zielniki. Wyniki swych badań i obserwacji publikowała w takich czasopismach, jak: „Wszczęhawiat”, „Pamiętnik Fizjograficzny”, „Przyroda i Przemysł”. Sporządziła m. in. spis roślin stepowych okolic Teresina (gmina Białopole). Największą jednak jej zasługą w dziedzinie botaniki krajowej było odkrycie w dniu 8 sierpnia 1881 r. na Stawskiej Górze jedyne w ówczesnym znanym na ziemiach polskich stanowiska niezwykle rzadkiej rośliny stepowej – dziewięciolatki popłocholistnej (*Carlina onopordifolia*). Obecnie istnieje tam od 1956 r. rezerwat przyrody.

Dwór Hemplów w Tarnowie stanowił w latach 1867, 1868 i 1870 bazę wypadową dla Oskara Kolberga w jego badaniach folklorystycznych na terenie Chełmskiego. Jego przewodniczką

i pomocnicą była Maria Hemplówna, która zebrała w okolicznych wsiach ogromną masę materiału etnograficznego. Można powiedzieć, że bez jej udziału w tych pracach Kolberg nie mógłby wydać dwu tomów swych prac pt. *Chełmskie* (t. I – 1890 i t. II – 1891). Zebrane w tomie II opowieści ludowe w oryginale były spisane niemal wyłącznie ręką Marii; przez nią osobiście zebrane i ujęte w sposób wierny w brzmieniu gwarowym. Tak więc materiały te poza wartościami etnograficznymi stanowią niezwykle cenne źródło dla studiów dialektycznych. Można o niej śmiało powiedzieć, że faktycznie jest współautorką obu tomów prac Kolberga pt. *Chełmskie. Obraz etnograficzny*. Uważana jest zresztą za czołową etnografkę lubelskiego makroregionu.

Hemplówna próbowała też swych sił na polu literatury. Powieść jej autorstwa *Dalcia* drukowana była w 1892 r. w „Kurierze Polskim” i w „Gazecie Przemyskiej”. Pisała również książki dla dzieci oraz wydała opracowane przez siebie w skrócie *Dzieje Starego Testamentu*.

W czasie powstania styczniowego była kurierką i wywiadowczynią. W tarnowskim dworze znaleźli schronienie ścigani przez żandarmów komisarze Rządu Narodowego – Maurycy Wejde i Dąbkowski, tutaj też często biwakowały partie powstańcze. O Marii Hempel można powiedzieć, że była cichą bohaterką i weteranką powstania 1863 r.

Po utracie majątku Tarnów, który uległ licytacji w 1875 r., Maria przebywała u swych krewnych i znajomych w Nadrybiu, Słupi, Skorczycach i Samoklęskach, zajmując się prowadzeniem gospodarstwa kobiecego.

Zmarła 3 lutego 1904 r. w Węglinie, gdzie spędziła kilka ostatnich lat swego życia. Pochowana została na cmentarzu w Rzeczycy Kościelnej.

ZAMEK

W

KRUPEM

MIECZYŚLAW KURZAŃKOWSKI

Dlaczego ten zamek jeszcze istnieje? Co sprawiło, że on jeden zachował się na wielkiej przestrzeni między zamkami nadwiślańskimi i Łuckiem, między Liwem i Krasieczynem? Bo przecież tereny te w czasach średniowiecza i renesansu nie były „dzikimi polami” z Kazimierzem, Lublinem i Zamościem jak wyspami na pogranicznym pustkowiu Zachodu i Wschodu. Ryciny, wzmianki archiwalne, wyniki badań archeologicznych, szczątki murów, fundamenty ukryte pod ziemią zaprzeczają takiemu wyobrażeniu. Czy tylko wojnom i rozbiorem należy przypisać, że właśnie rzeczony obszar jest ogolony z zamków, należących do najbardziej charakterystycznych znaków kulturowych w krajobrazie Europy?

Szczególny zbieg okoliczności okazał się pomyślny nie tylko dla murów zamku w Krupem, lecz także dla dokumentów rodzinnych Orzechowskich herbu Rogala, którzy fortalicję tę zbudowali. Do rzadkości należą staropolskie archiwa rodziny niemagnackich. Pomyślnym trafem nie mała część papierów dotyczących spraw majątkowych, finansowych i handlowych Orzechowskich znalazła się w rękach Hieronima Łopacińskiego i przechowywana jest w lubelskiej bibliotece jego imienia.

Gdyby nie te dokumenty, może do dziś wierzylibyśmy wszyscy zmyśleniom Sadyka Paszy – Michała Czajkowskiego z

powieści *Stefan Czarniecki*, przypisującym zbudowanie zamku krupskiego Samuelowi Zborowskiemu i czyniącym z tej obronnej siedziby miejsce obleśnych występów banity. Jeszcze w poważnych opracowaniach historii sztuki polskiej sprzed ćwierćwiecza nasz zamek wymieniany jako własność Zborowskich, zestawiany jako z rezydencjami innych senatorskich rodów. Fikcja literacka okazała się tak sugestywna, że historyk Stanisław Tworek, najlepiej wprowadzony w interesy rodziny Orzechowskich uznał, że Krupem musiało w jakiejś części należeć do Zborowskich, choć próżno by gdziekolwiek znaleźć na to potwierdzenie źródłowe.

Przekazy archiwalne mówią, że w połowie XV w. Krupem należało do Krupskich herbu Korczak, którzy mieli tu „fortalitium” wzmiankowane w 1523 r. w *Metryce Koronnej*. Około 1577 r. wieś przeszła na własność Pawła Orzechowskiego, podkomorzego chełmskiego i starosty suraskiego i on to w ostatniej ćwierci XVI w. przystąpił do budowy zamku, ciągnącej się do 1608 r. Dokładne poznanie istniejących murów zabytku pozwala na stwierdzenie, że od powzięcia zamysłu zbudowania nowej siedziby do zakończenia „fabryki” co najmniej trzykrotnie ulegała zmianie koncepcja przestrzenna i architektoniczna. W pierwszym zamierzeniu był to chyba dwór obronny, który w ciągu około dwudziestu lat nieustannego powiększania rozrósł się do dużego rozmiarami zamku z wielkim ufortyfikowanym majdanem gospo-

darczym. Tak w kształcie rezydencji wyraziła się postępująca zamożność „inwestora”.

Paweł Orzechowski, odziedziczywszy po ojcu w 1569 r. trzy wsie i jedno miasto, zmarł w 1612 r. jako właściciel 23 wsi pełnych, części w czterech wsiach trzech miast (Bełżyce, Piaski, Rejowiec), dwóch kamienic w Lublinie i jednej w Zamościu, spichlerza w Siostrzewitowie oraz jako dzierżawca starostwa suraskiego i ruskiej komory celnej.

Odebranie Krupem Samuelowi Zborowskiemu i zwrócenie Pawłowi Orzechowskiemu jest nie tylko faktograficznym sprostowaniem. Co Zborowscy mieli wspólnego z ziemią chełmską? Nic! Co więcej, nic wspólnego z całym międzyrzeczem środkowej Wisły i Bugu. Tymczasem Paweł Orzechowski to obok Jana Zamoyskiego „chełmianin” najbardziej czynny na polskiej scenie politycznej czasów Stefana Batorego i Zygmunta III, jedna ze znaczących postaci wśród „Braci Polskich”. Zaufany Jana Zamoyskiego, jako jego pełnomocnik – wraz z Mikołajem Uhrowieckim z Sielca – wybrał miejsce pod budowę Zamościa.

Zamek w Krupem jest jedynym przekazem źródłowym, który może coś powiedzieć o stosunku zamożnej szlachty chełmskiej do architektury, o wymaganiach i aspiracjach artystycznych. Ciekawe, że choć na życzenie Wielkiego Kanclerza podkomorza chełmskiego na bieżąco zajmował się sprawami związanymi z budową Zamościa i wzywał na roz-

mowy do Krupego Bernarda Moranda, nie korzystał z usług tego architekta. Swą rezydencję kazał ukształtować dość tradycyjnie, całkowicie „podług nieba i zwyczaju polskiego”. Niewątpliwie natomiast zamawiał u kamieniarzy zamojskich mistrzowsko wykonane obramienia.

Rezydencją zamek w Krupem nie był długo. Po działaniach wojennych połowy XVII wieku *tylko mury stoją, nakryte teraz po spustoszeniu dachem słomianym* [...] (1665). Inwentarz z 1782 r. podaje, że są dwa pokoje po części zdane do mieszkania [...] reszta zaś pokojów [...] ze szczętem są zrujnowane [...]. Rejowie, będący właścicielami Krupego od 1670 roku, nie podtrzymują zamku. Murują w sąsiedztwie parterowy dwór. Na pewno jest to tańsze niż remontowanie zdevastowanej budowli, a i wygoda większa, aniżeli w wielkich zimnych komnatach rozciągniętych w długiej amfiladzie. Jest to sytuacja powtarzająca się w dziesiątkach przypadków w Polsce. Jakże krótko egzystowały zgodnie z przeznaczeniem,

wznoszone wielkim nakładem kosztów, zamki i fortalicje.

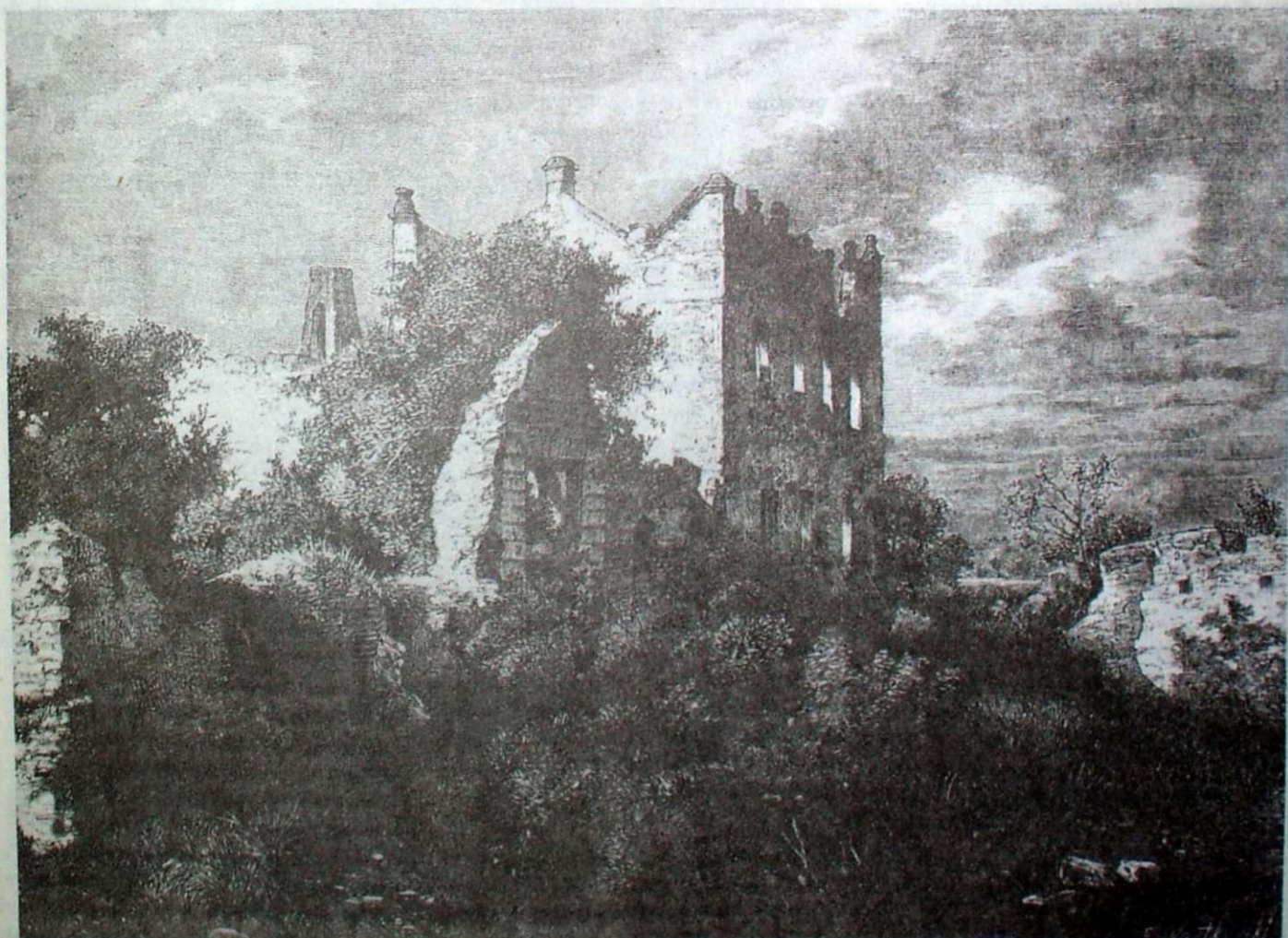
Zniszczenia wojenne, klęski żywiołowe, upadki fortun powodowały niszczenie zamków również i w innych krajach. Tam jednak rezydencje odbudowywano, modernizowano według nowych wymagań, przekształcano zgodnie ze zmieniającymi się gustami, a w XIX wieku czyniono nawet bardziej gotyckimi czy renesansowymi, niż były kiedykolwiek. U nas porzucano, nie zapobiegając popadaniu w ruinę, a często rozbierając na materiał budowlany.

Chyba dużym uproszczeniem jest upatrywanie przyczyn tak znacznego przetrzebień naszej spuścizny materialnej li tylko w zniszczeniach wojennych i rozbiorowej niewoli. Zaważyła kiepska kondycja ekonomiczna, niezdolność do szybkiego podźwignięcia się, a także zmiany struktury własności ziemskiej, powodujące przechodzenie dóbr w ręce posiadaczy coraz mniej zamożnych, coraz bardziej spauperyzowanych, a jeżeli nawet

mających, to nie zainteresowanych podtrzymaniem tradycji dawnej rezydencji. Spośród zamków małopolskich o średniowiecznej metryce tylko jeden Janowiec nad Wisłą zachował ciągłość funkcji rezydencji magnackiej przez cały okres Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

Czyżowscy, Rejowie, Sieniccy, Uchańscy, Uhrowieccy, to sąsiedzi i ziomkowie, krewni i powinowaci Orzechowskich na obszarze między Wieprzem i Bugiem, elita tej ziemi w XVI i na początku XVII w; rodziny, z których wywodzili się ludzie wpływający na bieg wydarzeń w Koronie i trwale zapisani w historii kultury. Jak znikome ślady materialne po nich pozostały: jakaś tablica epitafijna, pomnik nagrobny, jakieś szczątki fundamentów... Zrządzeniem przypadku zachowały się ruiny zamku Orzechowskich, jedyny znak w przestrzeni mówiący cokolwiek o kulturze artystycznej ludzi, spośród których wyrósł Jan Zamojski.

MIECZYSLAW KURZAŃKOWSKI



Zwaliska zamku w Krupem. (wg. F. Wastkowskiego rytował I. Sosiński dla „Tygodnika Ilustrowanego” 1870, cz. I nr 123, s. 217.)

Pianista wschodni – koń zachodni

Aleksander Wielhorski (1888–1952) pochodził z Żytomierza na Wołyniu. Wyższe studia muzyczne odbył w Moskwie, następnie był wykładowcą w Szkole Muzycznej w Kijowie. W roku 1920 przybył do Polski, gdzie zaczął prowadzić klasę fortepianu w Konserwatorium w Warszawie. Recenzje z jego koncertów pianistycznych w stolicy były niezbyt przychylnie.

Wielhorskiego poznałem w Lublinie dopiero w 1946 r. Mimo że był muzykiem, garnął się do środowiska literackiego. Inteligentny i kulturalny z dobrymi manierami towarzyskimi, elegancki starszy pan czuł się znakomicie jako gość przy ul. Olejnej. Niewątpliwie miał tu coś do rzeczy fakt, że wspólnie z żoną pisaliśmy wówczas recenzje z koncertów do „Sztandaru Ludu”.

Na jednym z koncertów w sali Towarzystwa Muzycznego świetny pianista Władysław Kędra wykonał na bis utwór Wielhorskiego „Quasi Valse”, a w kilka dni później odegrał go sam kompozytor. W recenzji z występu pana Aleksandra pisałem: „Wolę słuchać tego utworu w wykonaniu Kędry, aniżeli Wielhorskiego”. Sprawił mi zadowolenie, gdy w rozmowie ze mną, w gronie naszych wspólnych znajomych, przyznał mi całkowitą rację.

Będąc człowiekiem ruchliwym i pełnym inicjatywy, Wielhorski skontaktował się rychło ze swoimi znajomymi muzykami, przebywającymi od wielu lat w Stanach Zjednoczonych – pianistą Józefem Hofmanem i dyrygentem Arturem Rodzińskim oraz wydawcą Konradem Laskiem, którzy zaprosili go do USA. Występował jako pianista grający własne utwory – głównie w ośrodkach polonijnych, w bardziej podrzędnych salach takich miast, jak: Buffalo, Amsterdam, Chicago, Sche-necktady, Milwaukee, Detroit i innych. Jak grał, tak grał, w każdym razie był pierwszym pianistą polskim, który zaraz po ukończeniu wojny przybył do Ameryki. Recenzje z jego koncertów tchnęły patriotycznym entuzjazmem, często egzaltacją typową dla stylu amerykańskiego. Oto fragment z gazety „Dziennik dla Wszystkich” z 9. XI. 1946 r., wychodzącej w Buffalo: „Artysta z Bożej faski... bohater ostatniej wojny i męczennik sprawy polskiej, który znalazł się na liście skazańców Warszawy, jako zakładnik stolicy polskiej”.

W jednym z listów z USA pisał Wielhor-

ski do nas: „Jak widać z fotografii – ludzie przychodzą na moje recitale, a krytyki angielskie i polskie znacznie przychylniejsze niż ... w Lublinie. Wróć na wiosnę”. Wy-czułem w tym liście lekką aluzję do moich recenzji.

W maju 1947 r., po półrocznym poby- cie w USA, powrócił Wielhorski do kraju. W Lublinie, w którym jeszcze przez pewien czas przebywał, wygłosił odczyt w sali Towarzystwa Muzycznego o swoich wrażeniach i przeżyciach za oceanem. Opowiadał o znacznej pomocy, jakiej udzielił mu dyrygent Artur Rodziński, i niewielkiej ze strony kolegi po fachu, Józefa Hofmana.

Rozgłosu przysporzył mu w USA koń, który nazywał się „Bessy”. Znając dobrze sposoby często niewybrednej reklamy amerykańskiej, polscy rodacy wpadli na następujący pomysł. Trzech spryciarzy amerykańskich miało „inteligentnego” konia, którego wyuczili trochę cyrkowych sztuczek. Gdy zjawiali się w jakimś miasteczku, kupcy zamykali sklepy, burmistrz wręczał koniowi do pyska symbolicznie klucze do bram miasta, a zwierzę z kolei – swoim menażerom. Wyuczili go również uderzania językiem w kilka klawiszy fortepianu bez zawadzania o sąsiednie. Do konia dodano zatem naszego pianistę i dla reklamy zrobiono nawet wspólne zdjęcie Wielhorskiego i „Bessy” przy fortepianie. Umieszczona w kronice filmowej, ta „artystyczna” fotografia zainteresowała publiczność amerykańską. „Musimy pójść na koncert Wielhorskiego. To chyba dobry pianista, skoro razem z nim gra „Bessy”, która przecież z byle kim grać nie będzie”. W rezultacie frekwencja na koncertach Wielhorskiego poprawiła się znacznie.

Pianista niedługo przebywał w Lublinie. Latem 1948 roku przeprowadził się do swojego odzyskanego i odnowionego mieszkania na Żoliborzu w Warszawie. Prowadził klasę fortepianu w Konserwatorium Warszawskim, koncertując w wielu miastach polskich. Radio Warszawa I nadało (31 stycznia 1948 r.) z płyt nagranych w USA Jego recital kompozytorski. Jedną z tych płyt, z podpisem kompozytora, mam we własnych zbiorach.

Po wyjeździe Wielhorskiego z Lublina utrzymaliśmy nadal korespondencję. W ostatnim swoim liście do nas (z 19 kwiet-

nia 1952 r.) donosił, że ówczesny „Artos” proponuje mu recital w Lublinie. Nie- stety, koncert ten nie doszedł do skutku. Wracając z występu w Białymstoku, Wiel- horski zmarł nagle na atak serca, jadąc dorożką z sali koncertowej na dworzec kolejowy. Przeżył lat 63 i pochowany został w grobie rodzinnym na starym cmentarzu powązkowskim w Warszawie (sekcja 176 rząd 5).

Jan Szorc

Powyższy tekst otrzymaliśmy w spadku po lubelskiej „Kamenie” i publikujemy go z ochotą, aczkolwiek można mieć niejakie wątpliwości, czy pod względem tematycznym idealnie odpowiada tej rubryce.

A teraz proponujemy wycieczkę w przeszłość, drogą rymowaną i ciągle niestety używaną. Oryginalny tytuł wierszowanej satyry, informacyjnie pusty, zamieniliśmy na taki:

Już to my dołę mamy...

*W szybszym niż iskra czas podąży biegu;
Na starej drodze nic go nie powstrzyma;
Minął już grudzień, ostatni w szeregu
Miesiący – roku starego już nie ma.
A był ten miesiąc od innych nie różny!
Szary i smutny, jak jego pogoda,
Choć bieda piszczy i trzosa nasz jest próżny,
Bawić się jednak zalecała moda.
Lecz że to przerwa balów w życiu naszym,
Zaczął się rautem, a skończył kiermaszem,*

*Gdy się tak bawią Ygreki i lksy
W rautów gwarze, w oświetlonej sali,
Bandyty również wznovili jour-fixy
I po dawnemu czynią – zmartwychwstali.
Mało im miasta, Woli, Saskiej Kępy,
Pragną ogarnąć szersze widnokreśli,
Włęcz do Krakowa gościnne występy
Urządzać jadą – lecz tam biorą cięgi.
Wciąż się tam mnożą bandytów drużyny,
Towar z Królestwa na wywóz – jedyny.
[...]*

*Już to my dołę mamy... niech ją gęś zje!
I druhów: Rusin, Litwak – nie daj Boże!
Teraz znów Litwin przedstawia „pretężyę”,
Twierdząc, że z nami zgodzić się nie może.
Chociaż się w wspólnym młynie zboże męto
Przed wielu laty – dziś się na nas dęsa,
Gniewa go nasza Jadwiga, Jagietto,*

Horodło, Lublin – obrzydzeniem wstrząsa.
 Za zbrodnię ma nam, najcięższą na szali,
 Żeśmy Witolda królem nie obrali.
 Ha! I tę klęskę przetrzymamy pewnie,
 Jak neosławizm żeśmy przetrzymali,
 Który rozbiły, skarżąc się rzewnie,
 Ledwie się trzyma dziś na życia falli.
 Ujrawszy, że jest krucho w interesie,
 Chce zyskać dawną (krótkotrwałą) cenę
 I ma w tym celu na jakimś kongresie
 Neostowiańską przedstawić higienę.
 W neosławizmie słuszną to sublekcja,
 Bo tam potrzebna nawet dezynfekcja.

Mocarstwa różne, gotowe do boju,
 Robią przeglądy swych zbrojnych szeregów
 Dla utrwalenia zgody i pokoju,
 Wzajemnie sobie wytapują szpiegów,
 Lecz w mundurach brak jeszcze guzików
 A zaś w deadnotach kilku jeszcze śrubek,
 Włęcz mimo głośnych wojowniczych krzyków
 Rok znowu minął bez wojennych próbek
 I według wróżby człeka z wieszczęj kasty
 Wojnę ma dać rok dziewięćset trzynasty.
 [...]

Wieczór Sylwestra stał się dla nas rajem,
 Który się skończył dopiero nad ranem,

Bo warszawiacy (litwackim zwyczajem)
 Nowy Rok hucznie witali szampanem.
 Chciał lada golec stać w panów szeregu,
 Włęcz sypał złotem dla służby podziwu.
 O czyliż nigdy od naszego brzegu
 Morze głupoty nie dozna odpywu?
 Mamy – ż się stawać naiwniejsi co rok
 I zawsze obcy klep ma być nam prorok?

Krogulec

Ten wierszyk satyryczny przedrukowaliśmy ze styczniowego (1) numeru tygodnika ilustrowanego „Świat” z 1911 roku – a dlaczego, łatwo się chyba zorientować.

A oto „polemika” wyjęta z pisma chełmskiego z 1927 roku:

Zarzut: Trzech sublokatorów p. Konstancji Gołackiej wykleja mieszkanie ohydliwymi pornograficznymi rysunkami własnej roboty, nie oszczędzając napisów w gwarze spelunkowej, którą to gwarą panowie ci bez względu na obecność dzieci postępują się w rozmowie. Na drzwiach wywieszono napis „Gość w dom – Bóg za drzwi”. Wolne godziny spędza ta nowo-

czesna chełmska młodzież w doborowym towarzystwie tanich dzieł – porozbie-rani do naga sięgają zgorzenie i zepsucie.

Sprostowanie: Kłamstwem jest, że wyklejaliśmy mieszkanie jakimiś rysunkami, i bezczelnym kłamstwem jest, że w naszym pokoju bywały inne dziełowe oprócz p. Konstancji Gołackiej, która sama nie jest doskonałością, o czym ze względów etycznych przemilczymy.

Na koniec krótki acz wymowny tekst z podobnego źródła, tyle że datowany na rok 1934:

Chełm liczbą mieszkańców i żywym tętnem życia społecznego dorósł do poziomu miasta kulturalnego, mogącego sobie pozwolić na utrzymanie gazety codziennej. [...] 30 tysięcy mieszkańców. Parę tysięcy zawodowej inteligencji! Kilka tysięcy umiejących czytać i pisać i bez wątplenia uważających się za inteligentnych robotników i rzemieślników. I ci wszyscy razem wzięci ludzie nie potrafili dotąd dać odpowiedniej ilości czytelników na utrzymanie w Chełmie gazety.



Amatorska orkiestra związku zawodowego tramwajarzy we Lwowie w 1935 r. Zdjęcie nadesłane na wystawę „Fotografii robotniczej” w warszawskiej „Zachęcie” (1989) przez F. Szpuarkiewicza z Gilwic i uhonorowane tam nagrodą Ministra Komunikacji za kolekcję obrazującą działalność klasowych związków zawodowych w międzywojniu we Lwowie.

Kronika wschodnia

* Gromadzone przez WK SD w Chełmie książki pod hasłem „Braciom Polakom – Chełmscy demokraci” przekazane zostały uczniom i nauczycielom z rejonu wileńskiego, którzy przebywali na koloniach letnich w Starym Brusie. Liczący ponad trzy tysiące woluminów księgozbiór udało się zgromadzić dzięki poparciu oficyn wydawniczych, drużyn harcerskich i osób prywatnych z całej Polski.

* W chełmskim antykwariacie przy ulicy Lubelskiej pojawiły się w sprzedaży egzemplarze „Zwierciadła” z 1931 roku. Numer pojedynczy tego Niezależnego Piśmie Demokratycznego – tak określał je redaktor i wydawca Kazimierz Czernicki – kosztował wówczas 30 groszy. Obecnie sprzedawano je po 500 złotych. Chętnych do kupienia długo nie było. „Zwierciadła” zniknęły z witryny po dwóch miesiącach leżakowania w stołcu. Kto był nabywcą – nie wiadomo, ale nietrudno zgadnąć, kto pozbył się tych numerów.

* Konsul PRL we Lwowie poinformował w dzienniku telewizyjnym, że uzgodnił z władzami Łucka ekshumację i przewiezienie do Polski zwłok byłego dowódcy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, płk. dypl. Jana Wojciecha Kiwerskiego – „Olivy”. Poległ on w nie wyjaśnionych do dziś okolicznościach 18 kwietnia 1944 roku w lasach wołyńskich i pochowany jest w gajówce Stężarzyce.

* Anna Kicińska – poetka, zmarła w Krasnymstawie 23 sierpnia mając 48 lat. Należała do grupy literackiej „Stowo”. Opublikowała wiele wierszy w prasie społeczno-kulturalnej i almanachach poetyckich. Była laureatką „Ziarna '86”. Na cmentarzu żegnała ją garstka przyjaciół i znajomych.

* Polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe im. A. Mickiewicza w Grodnie i grodzieński oddział Radzieckiego Funduszu Kultury wystąpiły z inicjatywą utworzenia Funduszu Adama Mickiewicza. Zwrócono się z apelem do obywateli Polski i ZSRR, środowisk polonijnych za granicą, emigracji litewskiej i białoruskiej, o wniesienie wkładu na Fundusz. Użytkowane środki mają być wykorzystane na odrestaurowanie miejsc związanych z życiem i twórczością poety: w Nowogródku, Zasławiu, Tuhanowiczach, Wilnie, Kownie, Leningradzie, Moskwie i Odessie. Planowane jest wystąpienie do UNESCO z propozycją ogłoszenia 1998 r. Rokiem Adama Mickiewicza (w dwusetną rocznicę urodzin).

* Instytut Wydawniczy PAX wydał *Pobojwisko* Kazimierza Wierzyńskiego – zbiór kilkunastu krótkich opowiadań o Wrześniu '39. Akcja niektórych rozgrywa się na Wołyniu, Chełmszczyźnie i w okolicach Lwowa. Napisane w 1943 roku, a wydane w 1944 w Nowym Jorku, *Pobojwisko* po raz pierwszy ukazało się w Polsce. Wydanie PAX-u jest wiernym powtórzeniem edycji nowojorskiej.

* Telewizja Polska wyświetliła w dwóch częściach film produkcji angielskiej pt. *Ucieczka z Sobiboru* (reż. Jack Gold). Znany dotąd niektórym widzom obraz obozu zagłady w Sobiborze z kaset wideo dotarł do milionów odbiorców. W jednej z głównych ról wystąpiła polska aktorka Joanna Pacuła. Twórcy filmu starali się wiernie odtworzyć wydarzenia poprzedzające bunt więźniów żydowskich w październiku 1943 roku.

* „... w centrum Kowna w stoisku smizatów „Sajudisu” kupowaliśmy, rozchwytywaną przez przechodniów, mapę. Na niej Litwa jaka jest i jaka być powinna. Nie wdaję się w rewindykacje dotyczące terytorium Białorusi, wystarczy powiedzieć, że większa część województwa suwalskiego to ziemia litewska znajdująca się pod zaborem. Prócz tego konkretnie zaznaczono, gdzie tak naprawdę Lenkija (Polska) powinna się kończyć. Otóż z pewnymi poprawkami powinna obowiązywać granica Prus Wschodnich, choć one same nie były przez kręślarzy przewidziane. Według autorów mapy należały nam się Gdańsk, ale już nie Elbingas (Elbląg), Marienburgas (Malbork), Selburg (chyba Działdowo), Nida (Nidzica), Kalnas (Kolno), Kauniske (Knyszyn), Bałstoge (Białystok) oraz Bałtryziu Giria (co – jak się domyślam – oznacza Puszcę Białowieską z przyległościami). Tak pisał w reportażu „Złoty róg” Marek Sarjusz-Wolski; „Przegląd Tygodniowy” nr 35.

* Z programem „Ta Jój, ta Lwów – kochany Lwów” wystąpili w Chełmie muzycy Domu Kultury Służby Zdrowia z Wrocławia. Wykonawców zaprosił Zakładowy Dom Kultury Kombinat Cementowego „Chełm”. Przedstawienie było nad wyraz smętne, reklamy żadnej, bilety po tysiąc złotych. Zainteresowanie imprezą – adekwatne do całości.

* W nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy ukazała się w sprzedaży długogrająca płyta „A kto z nami trzyma sztamy”, na której artyści OTO „Kalambur”, z Wrocławia prezentują piosenki lwowskie. Płyta cieszy się dużym powodzeniem, m. in. przebrane z niej utwory odtwarzane są podróżnym w ekspresie „Bystrzyca” relacji Chełm–Warszawa.

* Henryk Dederko w Studiu Teatralnym „Dwójki” chciał odtworzyć wizję przedwojennych Kresów Wschodnich, prezentując spektakl „Bruno – autobiografia pośmiertna Brunona S., nauczyciela rysunków z miasta Drohobycza”. Mocno-poetyckie widowisko o barokowym tytule było swobodną kompilacją fragmentów prozy Schulza oraz wyobraźni reżysera i jego wiedzy o bohaterze. Połączano naszą wrażliwość plastyczną, ale z treści sztuki niewiele wynikało. Mimo znakomitej obsady (Olgiard Łukaszewicz, Jerzy Nowak, Anna Chudzikiewicz) zapewne niewielu widzów wytrzymało przed ekranem telewizora.

* Na Lubelszczyźnie przebywał minister religii Izraela Zewulun Hammer, którego przodkowie wywodzą się z okolic Zamościa. W Lublinie odwiedził on cmentarz żydowski na Grodzisku i przy ul. Walecznych. Odwiedził również Majdanek i Bełżec, gdzie złożył wieńce i pokłonił się prochom pomordowanych. Zatrzymał się również w Tyszowcach, gdzie odwiedził miejsca związane z życiem swojej rodziny. W tym też dniu odstonięto tam pomnik upamiętniający żydowskich mieszkańców Tyszowców.

* Kariera polityczna robią poeci Ukrainy. Na zjeździe założycielskim ukraińskiego Ruchu Ludowego jego przewodniczącym został poeta Siergiej Koniew. Natomiast poeta Iwan Dracz został przewodniczącym Narodowego Ruchu Ukrainy na Rzecz Przebudowy. Było to w trakcie trzydniowego zjazdu „Ruchu”, którego gośćmi byli także polscy parlamentarzyści: Adam Michnik, Zbigniew Janas i Włodzimierz Mokry. Opowiedziano się za suwerenną Ukrainą pozostającą w składzie federacji radzieckiej. Prasa polska poinformowała, że na wiecu w Kijowie z tej samej okazji znalazły się herby Chełma i Przemyśla oraz hasła żądania przyłączenia tych miast do Ukrainy, zaś na wiecu we Lwowie w 50 rocznicę zajęcia miasta przez wojska radzieckie nazwano ten fakt „drugą okupacją po okupacji polskiej”.

* 16 września na Jasnej Górze w Częstochowie odbyła się uroczystość konsekracji ks. Jana Martyniaka – kapłana obrządku grekokatolickiego na biskupa pomocniczego Prymasa Polski. Świadkiem ceremonii było 23 duchownych różnych Kościołów Chrześcijańskich z całego świata i kilka tysięcy unitów – pielgrzymów. W czasie sprawowania wschodniej liturgii bullę Jana Pawła II odczytano po łacinie i po ukraińsku. Wspólnota grekokatolicka w Polsce liczy obecnie ok. 400 tysięcy wiernych, z których ponad 90 proc. jest narodowości ukraińskiej. Ostatni biskup grekokatolicki, ordynariusz przemyski, został aresztowany w 1946 roku i wywieziony na Syberię, gdzie zmarł w więzieniu.

* W Muzeum Okręgowym w Chełmie otwarto interesującą wystawę historyczną „Wrzesień 1939 – początek okupacji”. Zgromadzono na niej wiele cennych dokumentów i eksponatów przywołujących pamięć i refleksję o wydarzeniach sprzed pół wieku. Ekspozycję tłumnie odwiedzały wycieczki szkolne. Niektóre białe plamy wreszcie wypetnięły się tręścią.

* Warszawska „Kultura” (nr 38 z br.) rozpoczęła druk prozy Bogdana Madeja pt. „Zmiercz w Bazylanach”. Przewijające się przez tekst Pilichonki, Bazylany i Trubaków wywołują u czytelnika znające topografię Chełma jednoznaczne skojarzenia. W tym samym numerze pisma znajduje się reportaż Dariusza J. Mikusa o strajku więźniów w Zakładzie Karnym w Chełmie, do jakiego doszło na przelocie sierpnia i września.

KRONIKA WSCHODNIA

* W sporze o polską autonomię na Litwie pojawiły się głosy o „nowym Karabachu”. W tydzień po ogłoszeniu polskiej autonomii przez sołeczniką radę rejonową, to samo uczynili w Niemenicznie radni rejonu wileńskiego. Rada Najwyższa Litwy uznaje decyzje radnych za nieważne i sprzeczną z konstytucją republiki. Przedstawiciele Związku Polaków twierdzą, że autonomia to konieczność wobec braku reakcji władz na polskie postulaty.

* Czesław Miłosz – laureat Literackiej Nagrody Nobla z 1980 roku przebywał w Polsce. Odwiedził Kraków, Gdańsk i Warszawę. Na jego wykłady i spotkania autorskie przychodziły setki słuchaczy. Uniwersytet Jagielloński uhonorował dostojnego gościa tytułem doktora *honoris causa*. Czesław Miłosz jest niewątpliwie najwybitniejszym z żyjących polskich poetów. Jednak nie wyraził on zgody na włączenie swoich wierszy do polskiej antologii „Wilno w poezji”, która ma być wydana na Litwie.

* Chełmski KMPIK urządził wystawę malarstwa i rysunku Jolanty Świdorskiej. Autorka ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Gdańsku i od trzech lat związana jest ze środowiskiem twórczym Chełma. Wystawiane prace można było oglądać do końca listopada.

* Od 21 września przez kilka wieczorów odbywały się w Zamościu 16 Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych. Przed imprezą анонсowano koncerty artystek światowego formatu: Dee Dee Bridgewater i Basi Trzetrzelewskiej, choć dobrze zorientowani fani od dawna wiedzieli, że i tak nie przyjadą. Miał wystąpić zachodnoniemiecki zespół „One, Two, Three”, ale Niemcy zgubili się w drodze do Zamościa. Nie dojechali i nie zdążyli także na czas goście z Estonii i Grupa „Diskomfort”. Na estradzie w amfiteatrze spotkali się więc prawie „sami swoi”. Honor imprezy z dobrym skutkiem ratowali: Hanna Banaszak, Lora Szafran, Stanisław Sojka, Marek Bałata oraz „gwiazdy wieczorów” z Chicago, Szwajcarii i Kijowa.

* W dniach 21–24 września Białystok był miejscem I Międzynarodowej Konferencji pod hasłem „Wilno – Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur”. Uczestniczyło w niej ponad 200 przedstawicieli wielu państw europejskich i Izraela. Wygłoszono kilkanaście referatów o tematyce historycznej i współczesnej. Spotkanie było też okazją do wielu polemik i przewartościowań w sferze oceny kultury i faktów historycznych Wileńszczyzny.

* Ubiegłoroczne „Dni Chełma” minęły prawie nie zauważone. Kto chciał, ten mógł skorzystać z imprez kulturalnych i sportowo-rekreacyjnych nagromadzonych od 22 do 24 września. Niestety, sensacja nie wywołały nawet projekcje filmowe

„Czerwonej gorączki” w kinie „Kultura”. Kabaret „AJA” z Wrocławia wystąpił tylko raz, bo na drugi występ nie było chętnych. Artyści pojechali więc do Włodawy, gdzie przyjęto ich z aplauzem. W koncercie „Mojemu miastu”, który miał godnie zakończyć „Dni Chełma”, wystąpiły tylko dwa zespoły artystyczne z miejskich placówek kultury. Nieco kolorystu dodał „Dniom” „Jarmark u Bielucha” na Placu Konstytucji. Tradycyjnie, rodzime placówki handlowe „wystąpiły” ze sprzedażą piwa w centrum miasta.

* Zamojska Galeria Sztuki Współczesnej zaprezentowała w październiku wystawę malarstwa, rzeźby i rysunku Janiny Kaczmarczyk pt. „Kresy”.

* Wielkim wydarzeniem dla zamojskiej kultury było oddanie w dniu 11 października na potrzeby Muzeum Okręgowego pięknych kamieniczek ormiańskich przy rynku. Na inaugurację działalności przygotowano dwie wystawy: „Historia renowacji Zamościa” i „Ocalone dla przyszłości”.

* Skandalem i wielkim nieporozumieniem zakończyły się „mecze przyjaźni” zorganizowane we Lwowie i Łucku przy współudziale „Teleexpressu” oraz polskich i ukraińskich agencji turystycznych i artystycznych. Strona ukraińska wyraźnie przesadziła wystawiając do boju przeciwko rozbawionym dziennikarzom z Polski drugoligową drużyną złożoną m.in. z zawodników „Karpaty” Lwów. W rezultacie naszym dokopano nie tylko do bramki. Amatorów dobrej zabawy i futbolu z Polski dotkliwie poraniono z potamaniem nóg włącznie. Reszty dopełnił niesamowity bałagan organizacyjny. Kibice gospodarzy próbowali nadać imprezie nacjonalistyczny charakter.

* W niedzielę 15 października na stadionie w Białej Podlaskiej odbyły się uroczystości religijne wieńczące rocznicę beatyfikacji pierwszego w dziejach Kościoła Podlasiaka – Ojca Honorata Koźmińskiego. Na nabożeństwo przybyli członkowie Episkopatu Polski z kardynałem Józefem Gięmpem oraz generał Zakonu Kapucynów Flavio Carraro z Rzymu. Homilię do wiernych wygłosił biskup lubelski Jan Mazur.

* W połowie października ubr. na uniwersytecie w Grodnie rozpoczęła pracę sekcja filologii polskiej. W tym samym czasie około 100 szkół na Białorusi wprowadziło język polski jako wykładowy, niekiedy równoległe z językiem rosyjskim.

* Pracownicy placówek kultury w Białej Podlaskiej wystąpili w liście otwartym do władz miasta o usunięcie imienia Feliksa Dzierżyńskiego z nazwy głównej ulicy, z jednoczesnym przywróceniem jej dawnej nazwy „Warszawska”.

* Polsko-Litewski „okrągły stół” rozpoczął się 28 października w Warszawie, ale bez przedstawicieli litewskiego ruchu na rzecz przebudowy – „Sajudisu”, którzy nie przybyli na spotkanie bez podania przyczyn.

* Od 22 do 29 października trwały V Podlaskie Spotkania Literackie. Większość imprez odbywała się w Białej Podlaskiej, ale spotkania autorskie – również w Wisznicach, Międzyrzeczu Podlaskim i Romanowie. Gościem tegorocznych Spotkań był przedstawiciel literatury arabskiej Hatif-al Dżanabi. Podczas imprezy dokonano podsumowania Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego. I nagrodę w dziedzinie poezji otrzymała Józefa Fryszakowa z Tarnowa. W dziedzinie prozy najwyższą oceniono Tadeusza Zubirskiego z Suchedniowa. Nagrodę za wiersz o tematyce podlaskiej przyznano Stanisławowi Polaczowski z Bielska Białego. Główny organizator Spotkań – Klub Literacki „Maksyma” wydał „Oświadczenie w sprawie sytuacji w kulturze”, w którym wyrażono zaniepokojenie pogarszającym się stanem bazy materialnej kultury na tzw. prowincji.

* W listopadzie w chełmskiej „Galerii 72” czynna była wystawa Grzegorza Sztabińskiego, wybitnego malarza i teoretyka sztuki, mieszkającego w Łodzi.

* W Chełmie rozpoczęła działalność handlową prywatna księgarnia „Volumen”. Na jej otwarcie zgromadzono wiele atrakcyjnych tytułów wydawniczych, które zostały wykupione w ciągu kilku godzin. „Volumen” zaopatrzył się nie tylko w składnicy księgarskiej, ale też w różnych oficynach wydawniczych na terenie całego kraju. W najbliższym czasie zorganizowany będzie dział komisowy i sprzedaż objazdowa.

* W dniach 21 listopada do 2 grudnia w województwie chełmskim trwały „Dni” wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Wystawy dorobku cenionego edytora można było oglądać w sali Muzeum Okręgowego w Chełmie i w czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Odbyły się też kiermasze dość atrakcyjnych i poszukiwanych przez czytelników książek. Wszystkie książki z wystaw zostały przekazane bibliotekom w Chełmie i Krasnymstawie.

* Miejski Ośrodek Kultury w Chełmie był gospodarzem Regionalnego Forum Literackiego, zorganizowanego dla członków klubów literackich Białej Podlaskiej, Chełma i Zamościa. Z tej okazji staraniem MOK-u opublikowano jednodniówkę „Kresy Literackie”. Imprezę zakończono wydaniem oświadczenia o niepokojącej sytuacji w kulturze i ruchu edytorskim.

(hr)

„doznaję bólu i upokorzenia”

Zwracam się z prośbą o zainteresowanie się redakcji miejscem kaźni hitlerowskiej – Borkiem, lasem położonym między Krasnymstawem a wsią Kasjan w woj. chełmskim, gdzie w latach 1940-1944 rozstrzeliwano patriotów polskich z okolicznych więzień i aresztów.

To miejsce nie znalazło dotychczas niczyjego zainteresowania, o czym świadczy mniej niż skromny, symboliczny grób, a raczej zaniedbany kopczyk z malutkim krzyżykiem, bez żadnej informacji czy tabliczki, komu jest poświęcony. Niby-grobkiem opiekują się chyba tylko dzieci ze szkoły w Kasjanie, które w dniu Święta Zmarłych zapalają tam kilka świeczek i kładą skromne wiązanki kwiatów. To żenujące, że to miejsce straceń nie znalazło się w sferze zainteresowania ZBoWiD-u lub innych powołanych do tego organizacji.

Powiedziano mi, że w Kasjanie żyją jeszcze świadkowie rozstrzeliwań, ale ponieważ jestem mieszkanką Gdyni, trudno mi tam dotrzeć, by sporządzić jakąś dokumentację czy nawiązać kontakt z rodzinami rozstrzelanych.

Tam właśnie został najprawdopodobniej rozstrzelany mój ojciec, Kazimierz Malczewski, mieszkaniec Tarnogóry (obecnie woj. zamojskie). Aresztowany 20 czerwca 1940 roku, przez tydzień przebywał w areszcie w Izbicy, a następnie

widziano, jak pobitego wtłoczono do samochodu terenowego i wywieziono do Krasnegostawu bądź Chełma. Miejsca dalszego więzienia i miejsca rozstrzelania mojego ojca nie udało się ustalić rodzinie, choć przez kilka powojennych lat dociekała tego moja matka, Helena Malczewska – po powrocie z obozu w Oświęcimiu. Jedynym śladem owego tragicznego faktu okazała się nieoficjalna informacja, którą w lipcu czy sierpniu 1940 roku matka otrzymała od pracownika gminy – że „ktoś” w rozmowie z urzędnikiem powiedział: „Malczewskiego można wykreślić z rejestru żyjących, został rozwalony w Borku”.

W dniu aresztowania mojego ojca aresztowano również dyrektora kliniki w Izbicy, inż. Paulewicza, oraz nauczyciela Śliwę z Tarnogóry. Ich los w okresie wojny, jak i w latach powojennych nie został przez rodziny ustalony, choć poszukiwania były wspólne. Można domniemywać, że również zostali straceni w Borku.

Ojciec mój, ur. w 1907 roku, służbę czynną odbył w XII Pułku Ułanów w Prużanach koło Brześcia. W cywilu był społecznikiem, pracował z młodzieżą, m.in. pełnił funkcję komendanta lokalnej organizacji strzeleckiej. Odbył kampanię wrześniową w armii gen. Kleeberga, a po bitwie pod Kockiem i po rozwiązaniu

wojska wrócił do domu. Tu zajął się organizacją ZWZ w grupach kilkuosobowych, będąc podporządkowany adwokatowi Kociubie z Krasnegostawu, który przeżył wojnę, a informacje o tej karnej działalności ojca przekazał mi osobiście w latach sześćdziesiątych. W chwili aresztowania ojca miałam sześć lat, stąd sama niewiele pamiętam.

Prawie rokrocznie jeżdżę na symboliczny grób w Borku z okazji Święta Zmarłych, ustawiam kwiaty i palę świeczki, a równocześnie doznaję bólu i upokorzenia na myśl, że ludzie, którzy swoje życie rzucili na szalę Sprawy, nie znaleźli miejsca w pamięci tych, w których imieniu i obronie stawali w pierwszym szeregu.

Gdyby kwestia upamiętania tego miejsca znalazła zainteresowanie redakcji „Kamenu”, a ta byłaby w stanie zainicjować jakieś działanie w tym kierunku, jestem gotowa do aktywnego współdziałania.

Alicja Malczewska-Mosek
ul. Krasickiego 14/18
81-385 Gdynia

Od redakcji: List kierujemy pod uwagę Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Chełmie, nie tracąc oczywiście całej sprawy z pola widzenia redakcji.

Życzenia z Düsseldorfu

Ze wzruszeniem i prawdziwą dumą powitałam przesłany mi pierwszy numer wznowionej „Kamenu”! Jaka radość! Proszę przyjąć jak najserdeczniejsze gratulacje i wyrazy głębokiego uznania za upór i wytrwałość w staraniach o to cenne i tak bardzo zasłużone pismo. Gratuluję również nowego formatu i wspaniałych, bardzo aktualnych artykułów.

Całemu zespołowi redakcyjnemu życzę sukcesów w tej niełatwej konkurencyjnej pracy i licznych, licznych czytelników, opiekunów i przyjaciół. Rada jestem bardzo, że współpracuje z „Kamemą” wielce zasłużone Polonijne Centrum Kultural-

no-Oświatowe UMCS, dzięki czemu może trafi to pismo do szerszych kręgów społeczności polonijnej. Osobiście już dzisiaj zamawiam jedną prenumeratę dla siebie. Będę werbować nowych czytelników. [...]

Kończąc, życzę szanownej redakcji i „Kamenu” wszelkiej pomyślności i pozostaję z wyrazami szacunku i sympatii.

Paulina Lemke
(Düsseldorf)

Od redakcji: Dziękując p. Lemke za życzliwość i zaufanie, pozwalamy sobie

przypomnieć, że fakt wznowienia „Kamenu” i treść pierwszego numeru kwartalnika przychylnie skomentowano lub choćby odnotowano w „Panoramie lubelskiej” (TV), „Panoramie dnia” (TV), w lubelskim „Poranku z radiem” oraz na łamach „Kurier Lubelskiego”, „Sztandar Ludu”, „Trybuny Ludu”, „Tygodnika Chełmskiego”, „Tygodnika Zamojskiego”, „Życia Literackiego” i „Kultury”. Pojawienie się pisma zauważyła też „Polityka”, znajdując w „Kamenu”: „Wiele interesujących tekstów, związanych z regionem”. Zdajemy sobie przecież sprawę, że „einmal ist keinmal”.

Proj. graf. i str. okładki: Jerzy Durakiewicz

Zdjęcia reprodukowane w numerze: Erazm Ciołek, Lucjan Demidowski, Zbigniew Jaśkiewicz, Andrzej Polakowski i archiwum



„Za jedno z najważniejszych naszych zadań uważamy odtworzenie trwałych więzi z Macierzą – Polską. Powstanie ostatnio w Kraju licznych towarzystw i klubów zrzeszających ludzi, którzy musieli niegdyś swoją ojcowiznę opuścić, jak też tych, którzy się czują w jakikolwiek sposób z tymi stronami związani, świadczy, iż znajdziemy w ich środowisku wdzięcznych Czytelników i Przyjaciół. Mocno na to liczymy deklarując im ze swej strony rzetelną informację o tym, co dziś się w naszych – a częstokroć i ich – stronach rodzinnych dzieje i gotowość wszelkiej praktycznej pomocy w odwiedzaniu miejsc, z którymi łączą ich wspomnienia dzieciństwa i młodości, w których spędzili część życia, w opiece nad grobami bliskich. Z kolei sami oczekujemy od nich pomocy w postaci informacji z Kraju” – czytamy w tekście programowym efektownej reklamówki zapowiadającej „Magazyn Wileński”, dwutygodnik społeczno-polityczny i kulturalno-literacki Polaków na Litwie, którego nr 1 ukaże się w styczniu br.

Życząc kolegom z Wilna spełnienia ambitnych zamierzeń, podajemy adres redakcji: „Magazyn Wileński”, 232600 Wilno, Litwa, ul. Wielka (Didžioji) 40. Prenumeratę w Polsce przyjmują placówki RSW „Prasa-Książka-Ruch”. (red.)

WYDAWNICTWO OSSOLINEUM zapowiada:

Stanisław Machowski

BERNARDYŃSKI MIJAM PLAC

Książka zawiera gawędę S. Machowskiego, dziennikarza wrocławskiego, dzięki której możemy odbyć spacer po dzielnicach, ulicach i placach Lwowa, zwiedzić jego zabytki, wstąpić do znanych restauracji, kawiarenek i teatrzyków, poznać charakterystyczne postacie Lwowa i obyczaje mieszkańców miasta. Spacerowi temu towarzyszą popularne lwowskie piosenki. Dłużej zatrzymuje się autor przy osobach Szczepka i Tońka oraz całej rodzinie „Wesołej Lwowskiej Fali”. Ten fragment wspomnień uzupełniają słynne dialogi bohaterów. Książkę wzbogacają liczne (57) ilustracje – fotografie miasta i postaci z nim związanych.

Witold H. Trawiński

ODYSEJA POLSKIEJ ARMII BŁĘKITNEJ

Interesująco napisany pamiętnik przypomina dzieje polskiej „Armii Błękitnej” sformowanej w czasie I wojny światowej we Francji i walczącej na froncie francusko-niemieckim. Autor, działacz Związku Sokółów Polskich w Stanach Zjednoczonych, przedstawia także nastroje i wysiłki Polonii amerykańskiej zainteresowanej walką o niepodległość Polski. M.in. omawia przebieg szkolenia wojskowego w USA i Kanadzie emigrantów, spośród których rekrutowała się „Armia Błękitna”. Wspomnienia urywają się w kwietniu 1919 r., gdy oddziały armii Hallera powracają do kraju.

Henryk Wereszycki

HISTORIA POLITYCZNA POLSKI 1864–1918

Jest to II krajowe wydanie książki, która po raz pierwszy ukazała się w 1948 r. i natychmiast została wycofana z księgarń za eksponowanie wątku zbrojnych walk o niepodległość oraz pozytywną ocenę działalności PPS. Po 1956 r. tej cennej pracy również nie udało się wznowić. Wydanie aktualnie przygotowane przez Ossolineum wzorowane jest na edycji paryskiej z 1979 roku. Dokonanie Wereszyckiego do dzisiaj zachowało aktualność naukową, a zawarte w nim ustalenia i tezy nie znalazły konkurencyjnych w całej późniejszej literaturze naukowej poświęconej temu okresowi dziejów Polski.

Jacek M. Majchrowski

ULUBIENIEC CEZARA. BOLESŁAW WIENIAWA –DŁUGOSZOWSKI.

Zarys biografii.

Biografia legendarnej postaci II Rzeczypospolitej, ulubieńca Komendanta – Józefa Piłsudskiego i równocześnie „bożyszczka Polek”, generała zwanego popularnie Wieniawą. Jego losy osobiste i kariera zawodowa, związane z nim anegdoty, barwne przygody, życie towarzyskie, różne zakulisowe sprawy życia politycznego – wszystko to decyduje o atrakcyjności czytelniczej tej biografii. Równocześnie odbiorca ma możliwość zapoznać się z nowym spojrzeniem autora na rolę historyczną generała Wieniawy-Długoszewskiego i kręgów politycznych, z którymi był związany.

Kazimierz Wajda, Henryk Vogel-fänger

SZCZEPKO I TOŃKO. Dialogi radiowe z „Wesołej Lwowskiej Fali”

Książka stanowi reprint wydania z 1934 roku zawierającego teksty dialogów radiowych. Opatrzona jest kompetentnym i bogatym w informacje „Posłowiem” autorstwa Jerzego Janickiego. Starszemu pokoleniu przypomni parę popularnych bohaterów radiowych z okresu młodości, a młodszymi uświadomi, na czym polegał fenomen lwowskiego humoru.

KSIĄŻKI NADESLANE

WYDAWNICTWO OSSOLINEUM

- Stefan Kieniewicz, *Dereszewicz 1863*, 1986, s. 184.
Mieczysław Opalek, *O Lwowie i mojej młodości*, 1987, s. 218
Zofia Ottawa-Rogalska, *Lwy spod ratusza słuchają muzyki*, 1987, s. 156
Kazimierz Olszański, *Juliusz Kossak*, 1988, s. 131, il. 719
Antoni Kieniewicz, *Nad Prypiecią, dawno temu...*, 1989, s. 557

WYDAWNICTWO ŚLĄSK, Katowice 1989

- Stefan Aksamitek, *Generał Józef Haller. Zarys biografii politycznej*, s. 275
Czesław Binek, *Przeklęty szatan i wielka miłość Antoniny Tyczkówny*, s. 156
Anthony Hope, *Więzień na zamku Zenda czyli trzy miesiące w życiu angielskiego dżentelmana*, przeł. Robert Stiller, s. 222
Roman Hrabar, *Skazane na zagładę*, s. 168
Zofia Lewandowska, *Życie odzyskane*, s. 142
Zdzisław Nardelli, *Otchłań ptaków*, s. 332
Krystian Piwowarski, *Portret trumienny*, s. 144.



Handwritten text at top right: *Chelm 02.11.1970*

KAROL DROMLEWSKI: Kościół Rozesłania Św. Apostołów w Chelmie. (Współfundatorem świątyni był Władaw Rzewuski, a architektem Paweł Fontana)